

Jan Paweł II: 20 lat znikania ■ Rząd zawiesza prawa człowieka ■ Siła Saudów
Rynek książki przed rewolucją ■ Zagraj w Pana Boga ■ Jak żyć bez sukcesów

Kraków 2 – 8 kwietnia 2025 nr 14 (3952)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

DANUTA STENKA
NA WIELKI POST

Wreszcie wiek mi sprzyja

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480505

NOWA KSIĄŻKA AUTORA NAGRADZANYCH „DWUNASTU SROK ZA OGON”

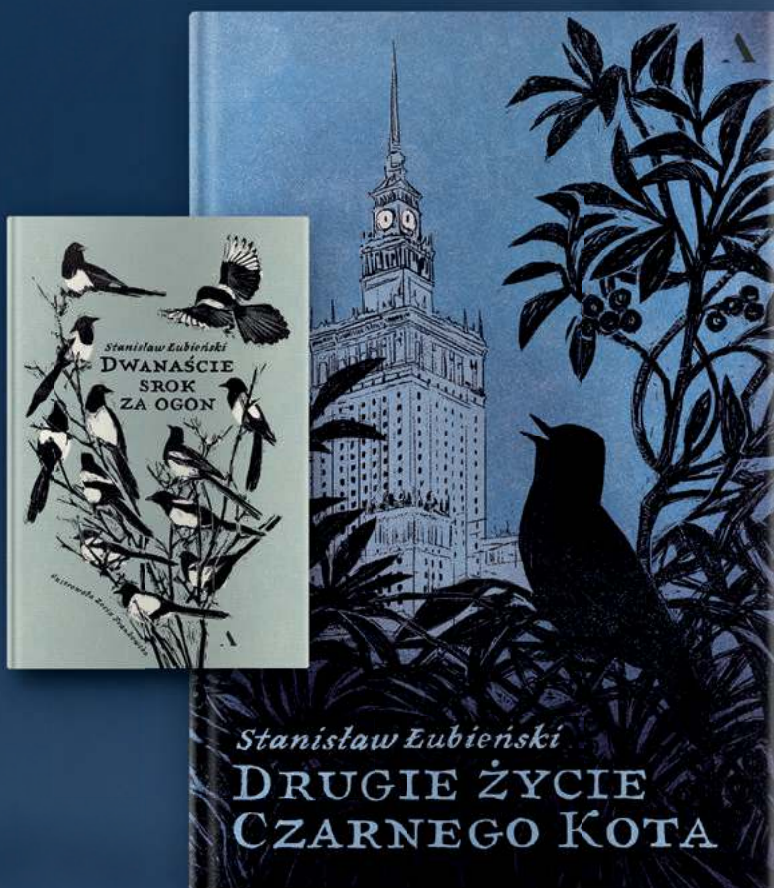


*To nie jest literatura przyrodnicza ani filozoficzny esej.
To po prostu literatura. Piękna.*

Krzysztof Środa

*Skorzystajcie z wiedzy i wysokiej wrażliwości Staszka.
Niech nas otwierają na doświadczanie natury w organizmie miasta.*

Natalia Przybysz



Czy można opowiedzieć historię miasta inaczej, by ani człowiek, ani beton, żelazo czy szkło nie były głównymi bohaterami? Niech będą nimi pozostałości prastarych puszcz, rosnące na pomnikach porosty, ale i ruderalne samosiejki kiełkujące spomiędzy chodnikowych płyt.

Premiera 9 kwietnia

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



KS. ADAM

Boniecki: To było tak niedawno

JAN PAWEŁ II ZMARŁ 2 KWIETNIA 2005 ROKU O GODZINIE 21.37. To już 20 lat. Dla jednych dawno, dla innych – tak leciwych jak ja – to niedawno. Miałem szczęście, że przez sporą część tego okresu pracowałem dzięki niemu w Watykanie. Moment był dość niezwykły. Jan Paweł II podjął tradycję odwiedzania różnych krajów i niebawem ją rozwinął. Odwiedził 132 państwa, 900 miejscowości. W wielu miejscach na Ziemi przywrócił lub wręcz wzbudził żywe poczucie należenia do Kościoła. Cieszy mnie oczywiście, że 27 kwietnia 2014 r. został wraz z Janem XXIII ogłoszony świętym. I bez tego zresztą trudno było nie być pod wrażeniem jego wiary i energii. I świętości... Ale nie piszę tu wspomnień. Zastanawiam się tylko, kim jest dla nas 20 lat po śmierci.

Pierwszy raz zobaczyłem go w okolicach Zakopanego. Poszedłem na jego nabożeństwo u pallotynów. A on się spóźnił, chyba godzinę, może nawet więcej. Czekał i byliśmy zdumieni. Prymas nigdy się nie spóźniał. Drugie najstarsze wspomnienie mam z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Inauguracja roku w nabitej auli, zamieszanie z tyłu, przy drzwiach, i wkacza on. Po drodze w kieszeniach szuka biskupiej piuski, którą znajduje, wkłada na głowę, siada. Na sali żywiliwy szmer ludzi zadowolonych, że jest. Potem chodziłem (bo byłem zobowiązany) na jego wykłady. Były długie i trudne do zapamiętania. Czytał skrypt. Wiedziałem, że seminaria są ciekawsze, ale w nich nie uczestniczyłem. Z tych wykładów dobrze zapamiętałem (wstyd powiedzieć, że tylko to), jak zatrzymał mnie po jednym z nich. Krótko omówił sprawę mającej się zacząć po studiach mojej pracy w Krakowie. Pamiętam, że powiedział wtedy, iż nie wyobraża sobie, by młody ksiądz pracował tylko w redakcji. Powiedział, że chce, żebym był u św. Anny jako pomocnik ówczesnego duszpasterza akademickiego. Nie wiedziałem, że mój los się wtedy decyduje na tyle dalszych lat.

Potem praca w redakcji „Tygodnika” i duszpasterstwo akademickie. Nie wiem, jak to zostało ustalone (jeśli zostało), że byłem mniej więcej co miesiąc u arcybiskupa, potem kardynała, żeby zdawać sprawę z tego, co robię. Niektóre jego wskazania okazały się niezwykle skuteczne, jak na przykład to, by nie bać się dużo wymagać od studentów. W szczególności nie wchodził. Pamiętam, że chętnie przyjmował zaproszenia: prowadził rekolekcje, spowiadał, sam zapraszał studentów do siebie, tworzył klimat bliskości z tymi ludźmi. Niektóre pomysły, jak np. letnie prace przy budowie kościołów czy pomoc w organizowaniu rekolekcji dla chronicznie chorych, bardzo mu się podobały. Ale nie on sugerował, tylko słuchał i aprobował.

Potem polecił mi duszpasterstwo ludzi po studiach. Nie było to tak intensywne jak duszpasterstwo akademickie, jednak i tu zainteresowanie i obecność kardynała mi towarzyszyły. Jako papież miał potem cały świat na głowie. Zaprosił mnie do Rzymu, bym robił polskie wydanie „L’Osservatore Romano”. Po każdej mojej wizycie w Polsce byłem zapraszany i papież cierpliwie słuchał moich relacji, tak jakby nie miał żadnych innych. Miał ich z pewnością wiele, ale z różnych opowieści budował swoją wiedzę, całkiem niezłą, jak świadczą jego przemówienia w Polsce podczas kolejnych wizyt.

Jan Paweł II wiedział, co się dzieje w Polsce, i sądzę, że nie miał złudzeń. Chciał jednak „swoją umiłowaną ojczyznę” ocalić, umocnić na czas próby. Być może się łudził, sądząc, że czas próby da się jakoś złagodzić. Czy uzbroił Polaków na czasy, które miały nadejść? Myślę, że niektórych Polaków tak. Tak czy inaczej, bez tego pontyfikatu Polska byłaby inna. My bylibyśmy inni.

© P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.



GRAZYNA MAKARA

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

JAGODA SZELC

na Wielki Post. Co jest ważniejsze od robienia filmów?
Jak wygląda duchowa droga osoby niewierzącej?

MARTA ZDZIEBORSKA

o cesarzu Trumpie.
Jak zmienia się sposób rządzenia w USA? Czy to tylko zmiana stylu, czy już ustroju?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

o komputerach kwantowych.
Czy kolejna technologiczna rewolucja jest już za progiem?

Słowa „światło” i „świat” należą do tej samej rodziny wyrazów i dawniej oznaczały „jasność”. Nic dziwnego: światło codziennie stwarza nam przecież świat, o czym doskonale wiedzą poetki i poeci. W wierszach kochającego słońce Juliana Przybosa świat spełniał się w błysku, a „schwytać promień” oznaczało tyle co „pojąć znaczenie”. Poetka **JULIA FIEDORCZUK** pisze w tym numerze, że „szara godzina” zawsze otwierała w niej „jakąś szczelinę i budziła nieforemny lęk”, dlatego jako mała dziewczynka cieszyła się, kiedy „dzień wprowadzał się do środka” i nie trzeba było już włączać w domu lamp. Ja też bardzo lubię ten moment roku, gdy jasność wygrywa z ciemnością, a dni robią się coraz dłuższe. Razem z wiosną dostajemy jakby więcej świata.

DANUTA STENKA w rozmowie z Katarzyną Kubisiowską dotyka jeszcze innego aspektu związanego z jasnością, bardziej zagadkowego – pamięci światła. W rozmowie otwierającej dział Wiara mówi tak: „Mam szczególną wrażliwość na światło pory dnia, światło pór roku, światło w pomieszczeniach (...) Kiedy wyjeżdżaliśmy na festiwal i graliśmy na scenie, która nie dawała możliwości zawieszenia reflektorów w podobnym miejscu co zazwyczaj, zdarzało mi się zapominać tekstu. Inne światło przenosiło mnie w inną rzeczywistość”. Ciekawe, prawda? Naukowcy zajmują się już ponoć konstrukcją pamięci światła, ale czy będą w stanie wyjaśnić, w jaki sposób wpływa ono także na kształt naszych wspomnień?

No dobrze, zejdźmy na ziemię i pograjmy w grę o świat. Ukazała się siódma już część legendarnej „Cywilizacji”. Czy dobrze jest być Bogiem? – pyta **MICHAŁ WALKIEWICZ**, robiąc przegląd gier pozwalających nam na uzurpację boskich mocy. Okazuje się, że zabawa w demokrację jest dużo bardziej skomplikowana i wymaga dużo większego zaangażowania niż rządy silnej ręki.

Skoro o grach – **GRZEGORZ KORDYLAS** pisze, że Saudowie coraz częściej organizują wydarzenia e-sportowe, będą także gospodarzem pierwszych eSportowych Igrzysk Olimpijskich w 2027 r. To część większego planu, który ma unowocześnić Arabię. Między innymi dlatego księżę Mohamed ibn Salman – następca tronu i faktyczny władca – gości dziś Ukrainę, Rosję i USA. Cóż, nowa odsłona gry w cywilizację rozgrywa się nie tylko w przestrzeniach wirtualnych. ©©

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



30 Nie patrz w górę JULIA FIEDORCZUK

„Urodziłaś się i przyszła wiosna”, mówiła moja matka. Wróciła ze mną ze szpitala w końcówce lutego, wkrótce potem dni zrobiły się dłuższe i można było suszyć pranie na słońcu.

BOHATERKA Z OKŁADKI



44 Stan błogosławiony DANUTA STENKA, AKTORKA:

Czy dojrzała kobieta to gorszy sort człowieka, skoro nie interesują nas jej historie, skoro nie chcemy o nich opowiadać?



78 Widok z góry MICHAŁ WALKIEWICZ

Czy dzięki grze wideo można przeniknąć współczesną geopolityczną wojnę? Zrozumieć Donalda Trumpa? Albo wyobrazić sobie świat, w którym Włosi ścigają się w kosmosie z Inkami?

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Zawieszona moralność
WŁODZIMIERZ WRÓBEL**7-11 Komentarze i informacje**

■ ■ KRAJ

20 Bunt maszyn do pisaniaMAREK RABIJ *o tym, co przyniosły ostatnie spory autorów z wydawcami***24 Nie lubimy tańca na grobach**PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*Śmierć współpracownicy Kaczyńskiego nastąpiła w takim momencie, że PiS musiał ją wykorzystać politycznie***26 Jak chcesz**PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Całkowite ubezwłasnowolnienie dotyczy niemal 150 tys. Polaków. Rząd chce znieść to narzędzie, uznając je za relik i pole do nadużyć

■ ■ WIOSNA

30 Nie patrz w góręJULIA FIEDORCZUK *wita wiosnę*

■ ■ ŚWIAT

34 Ja już męża oddałamANTONINA PALARCZYK *z Ukrainy***38 Mediator z Zatoki Perskiej**GRZEGORZ KORDYLAS *o tym, dlaczego Arabia Saudyjska stała się miejscem negocjacji między USA, Rosją i Ukrainą***39 Erdoğan domyka dzieło życia**KRZYSZTOF STRACHOTA:
*Aresztowanie mera Stambułu spowodowało gwałtowne protesty***41 Zagrożona misja w Berlinie**ŁUKASZ GRAJEWSKI:
Nowy dyrektor Instytutu Pileckiego zapowiada zmiany w berlińskim oddziale. Czy słuszne?

■ ■ WIARA

44 Stan błogosławionyZ AKTORKĄ DANUTĄ STENKĄ ROZMAWIA
KATARZYNA KUBISIOWSKA**48 Kochaj i nie bój się strachu**PIOTR SIKORA: *Ewangelia nie obiecuje, że nic złego nas nie spotka. Ale wskazuje, co robić, by strach nas nie zniszczył*

TEMAT TYGODNIKA

12

Kiedy zniknął nam papież

WOJCIECH BONOWICZ

Kiedy Jan Paweł II zaczął nam zniknąć? Jak to się stało, że konstrukty przesłoniły osobę: to, co było w niej wielkie, skomplikowane – i co było niedoskonałe? Czy da się opowiedzieć ten ludzki los kolejnym pokoleniom?



■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ

29 OLGA DRENDĄ

54 WOJCIECH BONOWICZ

63 STANISŁAW MANCEWICZ

76 PAWEŁ BRAVO

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
DANUTA STENKA
FOT.: JACEK POREMBA

50 Utopijna doktrynaARTUR SPORNIĄK:
*Trzydzieści lat po ogłoszeniu „Evangelium vitae” nie sposób nie zauważyć, że encyklika Jana Pawła II ignoruje perspektywę kobiet***53 Czytania**O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

56 Nie ma pokoju bez wolnościCECYLIA KUTA *o tym, czym był Ruch „Wolność i Pokój”*

■ ■ NAUKA

60 Prawo Dunsza SzkotaKS. MICHAŁ HELLER *o jedynym prawie w nauce, które mówi wprost o czymkolwiek***62 Pionierki**ŁUKASZ KWIATEK:
Jak udało się pokonać 8 tys. km starożytnym jaszczurkom z Ameryki do Wysp Fidżi

■ ■ KULTURA

64 Gra w przegrywMAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK:
*„Życie każdego z nas jest porażką”, twierdził Kołakowski. Nadeszła moda na tę mądrość***68 Narodowy kapiszon**DARIUSZ KOSIŃSKI: *Czas najwyższy, by zacząć zamach na narodowy stary teatr, nie tylko ten krakowski***70 Chuligani literatury**MICHAŁ SOWIŃSKI *o wyjątkowości wydawnictwa ArtRage***73 Polecamy**

SPEKTAKL, GRA, KSIĄŻKA

74 Bong w stylu BongaANITA PIOTROWSKA *o filmie „Mickey 17”***75 Po końcu świata**LEKTOR *o nowej biografii Witkacego autorstwa Przemysława Pawlaka*

■ ■ ZMYŚŁY

78 Widok z góryMICHAŁ WALKIEWICZ *o nowej edycji gry „Cywilizacja”*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONIE

84



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ w /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

ZAWIESZONA MORALNOŚĆ

Parlament i rząd przyjęły regulacje prawne, które na polsko-białoruskiej granicy zawiesiły prawo uchodźców do ubiegania się o azyl w naszym kraju. To jawne naruszenie konstytucji i zobowiązań traktatowych.

WŁODZIMIERZ WRÓBEL

POWYŻEJ:

Donald Tusk wraz z ministrami obrony narodowej i spraw wewnętrznych na granicy z Białorusią. Ozierany Małe, 22 marca 2025 r.

PRZECIWKO TYM DECYZJOM PROTESTOWALI prawie wszyscy eksperci i autorytety prawnicze, rzecznik praw obywatelskich i organizacje zajmujące się prawami człowieka, ale na politykach rządzącej koalicji nie robiło to żadnego wrażenia. Z kamieniem na twarz połykali własne języki, gdy przypominano im, jak protestowali wobec podobnych niekonstytucyjnych działań podejmowanych przez rząd PiS na tej samej polsko-białoruskiej granicy. Wtedy to byli „autorytarne metody”, dziś to „konieczna ochrona bezpieczeństwa”.

Obecna władza w kwestiach uchodźców gładko weszła w buty poprzedników, kontynuując pushbacki, wprowadzając nadgraniczne strefy zakazane, legalizując sprzeczne z zasadami użycie broni, a teraz posuwając się do uchylenia fundamentalnej zasady prawa humanitarnego. Obowiązek udzielenia ochrony osobom prześladowanym, ofiarom

kłęsk żywiołowych czy wojen, to nie tylko oczywiste moralne zobowiązanie państwa, które w preambule swojej konstytucji powołuje się na wartości chrześcijańskie, ale prawny obowiązek zapisany w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka (art. 18) oraz Konwencji Genewskiej czy ostatecznie wspomnianej konstytucji.

Czemu władza, która wygrywała wybory z hasłem przywracania praworządności, tak ostentacyjnie ową praworządność łamie? Można się domyślać, że decyzja o zawieszeniu prawa do azylu miała na politycznym rynku przeliczyć żądania innych populistów i zapewnić w sondażowych słupkach kilkuprocentowy wzrost.

HISTORIA JEDNAK UCZY, że takiej licytacji nie da się wygrać. Istota współczesnego populistycznego autorytaryzmu polega m.in. na tym, że do ograniczania praw i wolności

dochodzi się nie przez czołgi na ulicach i represje, ale przez propagandowe i emocjonalne szarże, gwarantujące poparcie zmanipulowanego elektoratu dla coraz bardziej antyliberalnych zmian.

W tym kontekście nam wszystkim powinno się zapalić czerwone światło – jeżeli można tak łatwo rządową decyzją zawiesić podstawowe prawa humanitarne, wystarczająco często powołując się na „wojnę hybrydową”, „sytuację nadzwyczajną” czy „obronę bezpieczeństwa”, to identyczna retoryka może służyć zawieszeniu także innych praw i wolności zagwarantowanych w konstytucji i traktatach.

A że słowa te były zwykłą retoryką, świadczy fakt, że na kilka dni przed zawieszeniem prawa do azylu politycy chwalili się 98-procentową skutecznością urzędów ochronnych na polsko-białoruskiej granicy. Tymczasem, zgodnie z uchwaloną ustawą, prawo do azylu można było zawiesić wyłącznie wówczas, gdy doszło do „poważnego i rzeczywistego zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa”, którego nie są w stanie wyeliminować „dotychczasowe środki” chroniące przed nielegalnym przekroczeniem granicy. Trudno uwierzyć, że przez te ostatnie dni doszło do jakiegoś spektakularnego załamania się granicy. Co jest więc prawdą?

ZAWIESZENIE PRAWA DO AZYLU polega w istocie na zakazaniu funkcjonariuszom Straży Granicznej przyjmowania takich wniosków o azyl przez osobę, która ubiega się o ochronę na terytorium Polski. Nikt jednak nie wyjaśnił, w jaki sposób zakaz przyjmowania owych wniosków miałby wspomagać walkę z wojną hybrydową. Przecież wnioski azylowe są następnie oceniane w urzędowych procedurach, a osoby, które je złożyły, zostają umieszczone w strzeżonym ośrodku dla emigrantów; potem ci, którzy faktycznie chronią się w Polsce przed prześladowaniami czy wojną, otrzymują prawo pobytu w Polsce, ci zaś, którzy w rzeczywistości nie są uchodźca-

mi, są odsyłani do kraju, z którego przybyli.

Tworząc nowe regulacje, politycy zastawili przy okazji pułapkę na funkcjonariuszy Straży Granicznej. Nikt bowiem nie uchylił art. 91 ust. 2 konstytucji RP, zgodnie z którym to traktaty międzynarodowe mają pierwszeństwo przed sprzeczną z nimi ustawą, a tym bardziej rządowym rozporządzeniem. Polska nie wypowiedziała Europejskiej Konwencji Praw Człowieka ani Konwencji Genewskiej, przewidujących prawo do złożenia wniosku o azyl. Wobec tego przedstawiciele władz publicznych, w tym funkcjonariusze Straży Granicznej, są zobowiązani do jej stosowania, nawet gdy decyzja rządu mówi co innego. A jak tych obowiązków nie wykonają, to sądy będą ich zachowania oceniać jako bezprawne.

Na dodatek, z dosłownego brzmienia przyjętych regulacji zawieszających prawo do azylu wynika, że mają one zastosowanie wyłącznie na określonym „odcinku granicy”, a więc wyłącznie na linii granicznej. Jeżeli więc uchodźca będzie chciał złożyć wniosek azylowy już w pewnej odległości od niej, funkcjonariusz Straży Granicznej zobowiązany będzie taki wniosek przyjąć. Warto przy tym przypomnieć, że jedyne otwarte przejście graniczne z Białorusią (w Terespolu) znajduje się ok. 700 metrów od linii granicznej, cały ochronny płot na granicy polsko-białoruskiej znajduje się zaś kilka metrów w głąb terytorium Polski.

Czy twórcy tych przepisów byli tego w pełni świadomi? ©

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL

jest sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego, kierownikiem Katedry Prawa Karnego UJ, autorem książek i współautorem licznych publikacji z zakresu prawa karnego, m.in. „Komentarza do Kodeksu Karnego” i podręcznika akademickiego „Polskie prawo karne. Część ogólna”. W marcu 2024 r. minister Adam Bodnar nominował go na przewodniczącego Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego. Stale współpracuje z „TP”.



W impasie

WOJCIECH PIĘCIAK

DWA MIESIĄCE MINĘŁY OD OBJĘCIA URZĘDU PRZEZ Trumpa – i wygląda na to, że rację mieli sceptycy, którzy prognozowali, iż podjęta przez niego próba skłonienia Putina do zakończenia agresji skończy się, przynajmniej przy pierwszym podejściu, porażką.

Nieważne w tym momencie, co sądzimy o taktyce Trumpa i jego ludzi oraz o tym wszystkim, co się działo przez ten czas – efekt jest taki, że Rosja i Ukraina zgodziły się jedynie powstrzymać od ataków na infrastrukturę energetyczną oraz rozejm na Morzu Czarnym. Oba moratoria są nieprecyzyjne i trudno uznać je za ustępstwo agresora (w obu przypadkach Rosja coś uzyskuje; w drugim nawet więcej niż Ukraina, która wcześniej wypchnęła stąd rosyjską flotę).

Gdy natomiast idzie o rzecz zasadniczą – warunki zakończenia wojny – między USA a Rosją zapanował impas. Taktyka Trumpa, który nieustannie wychodził naprzeciw Putinowi z deklaracjami kolejnych ustępstw, najwyraźniej utwierdziła Kreml w poglądzie, iż najlepiej jest czekać, aż prezydent USA znudzi się Ukrainą i na koniec sam wymusi na napadniętym kraju to, czego Rosja nie jest zdolna wymusić na nim od trzech lat.

Ponadto, zgodnie z sowiecką logiką negocjacji, Rosja eskaluje: wzmacnia presję politycznie i militarnie.

O ile jednak na lądzie znów obserwujemy impas – obrońcy wyhamowali rosyjską ofensywę, wróg prawie nie ma postępów, a na niektórych odcinkach został nawet odrzucony – o tyle drastycznie nasilają się uderzenia lotnicze.

Co noc Rosja wypuszcza więc po sto kilkadziesiąt dronów dalekiego zasięgu typu szahed. Choć raczej omijają one energetykę (nie zawsze), niszczą wszystko inne: infrastrukturę kolejową, przedsiębiorstwa, bloki mieszkalne. Niepokojące, że obrona przed nimi słabnie: wcześniej udawało się likwidować prawie wszystkie szahedy, teraz zwykle kilkanaście trafia w cel. Z kolei w ciągu dnia nasilają się naloty (rakiety, drony, bomby) na miasta na zapleczu frontu: Charków, Dniepr, Krzywy Róg, Sumy, Chersoń.

Towarzyszy temu eskalacja polityczna: wzmoczenie coraz bardziej abstrakcyjnych pomysłów rzucanych przez Putina – że Ukraina powinna trafić pod zarządek ONZ albo że władzę powinien objąć jakiś rząd tymczasowy (bo tylko z nim Kreml podpisze pokój) itd., itp.

W tej sytuacji piłka jest po stronie Trumpa. Wygląda jednak na to, że nie ma on przemyślanego „planu B”: jak postąpić, gdy Putin słowami i czynami odrzuca jego gotowość do ustępstw. ©TP



Wartość koalicyjna

PIOTR ŚMIŁOWICZ

OD WROGA GORSZY JEST ŚMIERTELNY wróg. A od śmiertelnego wroga? Koalicjant. To znane powiedzenie okazuje się prawdziwe zwłaszcza w okresach kampanii wyborczych – gdy partnerzy koalicyjni rywalizują ze sobą, tak jak w tegorocznych wyborach prezydenckich.

Kampania prezydencka, w ramach której trzej partnerzy wystawiają swoich kandydatów, już odcisnęła piętno na koalicyjnej współpracy. Sprzeciw lewicy wobec obniżenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, żądanie likwidacji Funduszu Kościelnego, sprawa podatku cyfrowego – te wszystkie spory ostatnich dni mają swój kampanijny kontekst. Tak jak – do pewnego stopnia – medialne doniesienia o niewłaściwych zachowaniach koalicyjnych wiceministrów, Zbigniewa Ziembiewskiego czy Andrzeja Szejny.

Najbardziej widoczny skutek sporu to brak możliwości przeferowania przez rząd Tuska wielu pomysłów. Pozornie to słabość. Jednak doświadczenia okresu po roku 2015, gdy PiS dysponowało samodzielną większością i mogło bezkarnie wdrażać w życie wszelkie pomysły, włącznie z destrukcyjnymi dla demokracji, pozwala na taki koalicyjny impossibilizm spojrzeć także jak na wartość. I lepsze odzwierciedlenie złożonych społecznie interesów.

W koalicyjnych sporach niebezpieczniejsze jest coś innego. Logika takich konfliktów, zwłaszcza w koalicjach składających się z trzech podmiotów, i z jednym dominującym, prowadzi w nieunikniony sposób do sytuacji, w której dwaj słabsi są rozgrywani przez silniejszego. Stają się przez to coraz słabsi, a większy podmiot silniejszy. Ma to również miejsce w układzie Koalicja Obywatelska–Trzecia Droga–Lewica.

Co więcej: jeśli w wyborach prezydenckich Szymon Hołownia i Magdalena Biejat otrzymają śladowe poparcie, do pełnej kanibalizacji mniejszych partnerów przez PO zostanie już tylko krok. A to z kolei wzmocni duopol na scenie politycznej, który, co wskazuje doświadczenie ostatnich 20 lat, nie służy demokracji, bo eskaluje społeczne podziały. Poza tym od duopolu jest zawsze bliżej do autokracji. Bo jeden z antagonistów może nie oprzeć się pokusie próby trwałego wyeliminowania rywala.

Klucz do rozwiązania problemu ma przede wszystkim dominujący koalicjant, jeśli będzie potrafił mądrze się samoograniczyć. Co oczywiście nie jest łatwe, a nie niemożliwe, jak wskazuje przykład z kampanii w 2023 roku. Gdy wezwanie Donalda Tuska do głosowania na inne opozycyjne listy posłużyło wszystkim. ©



Kampania wyborcza przed wyborami prezydenckimi. Marzec 2025 r.



Szkoła castingu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

WIMIENIU SWOIM – MATKI DZIECKA ROZPOCZYNAJĄcego edukację w szkole podstawowej oraz w imieniu Fundacji Espero – Nadzieja dla Dzieci (...) zwracam się z prośbą o poprawę sytuacji dzieci z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego” – napisała w zeszłym tygodniu w petycji do ministra edukacji Barbary Nowackiej Patrycja Rudnicka. Dzieci, w imieniu których wystąpiła do MEN, jest w polskich szkołach ponad 220 tys., a więc nieco ponad 4 proc. wszystkich. Chodzi m.in. o uczniów z niepełnosprawnościami, w spektrum autyzmu, z ADHD. Część z nich – z największymi trudnościami – chodzi do szkół specjalnych, ale dla większości najlepszym rozwiązaniem są szkoły integracyjne, gromadzące zarówno uczniów z orzeczeniami, jak i bez nich.

Tyle że w placówkach tych, pisze Rudnicka, brakuje miejsc. Najbardziej dramatyczna sytuacja jest w miastach – np. Warszawa ma ok. 4,5 tys. miejsc dla dzieci z orzeczeniami w szkołach integracyjnych, a samych tylko uczniów w spektrum autyzmu jest ponad 17 tys. Kto dostaje miejsca? Według szefowej „Espero” niejasne kryteria kwalifikacji sprawiają, że dyrektorzy bronią się przed przyjmowaniem dzieci z największymi trudnościami.

„Mówiąc potocznie, komisje rekrutacyjne urządzają »casting« na przyjęcie ucznia z jak najmniejszą ilością problemów” – alarmuje Rudnicka.

I domaga się od MEN m.in. ujednolicenia kryteriów kwalifikacyjnych oraz zwiększenia liczby oddziałów integracyjnych.

Kłopot w tym, że resort edukacji nie jest w stanie zrobić nic z dnia na dzień. – Powód jest prosty: brak na rynku nauczycieli z dyplomami pedagogów specjalnych – diagnozuje Tomasz Michałowicz, prezes Fundacji JiM działającej na rzecz dzieci neuroatypowych, czyli m.in. w spektrum autyzmu. – Dlatego ani szkoły ogólnodostępne, ani integracyjne, ani specjalne nie są w stanie odpowiedzieć na szczególne potrzeby dzieci, i w efekcie wszystkie one organizują wspomniane „castingi”.

A i tak, dodaje prezes Fundacji JiM, nie są późnie w stanie zapewnić dzieciom pełnej opieki. – Pierwszy przykład z brzegu – opowiada Michałowicz. – Uczeń ma zapisane w orzeczeniu, że powinien mieć nauczyciela wspomagającego, ale szkoła od trzech lat nie jest w stanie go zapewnić. Żeby to zmienić, musimy ulecić cały system, a nie tylko jego fragment. ©

NA PUNKTY

JAJECZNICA KAMPANII

„Sam widzisz, że merytoryka się tak nie sprzedaje, jak robienie cyrku” – powiedział kandydat na prezydenta Krzysztof Stanowski do kandydata na prezydenta Sławomira Mentzena po tym, jak w studiu Kanalu Zero nakłonił go do przygotowania jajecznicy, a zmagania polityka z miską, trzepaczką, żółtkami i białkami oglądało na żywo 225 tys. widzów.

MIĘSO KAMPANII

Oprócz robienia cyrku trzeba jednak mieć struktury: o ile przedstawiciel Konfederacji bez kłopotu zebrał wymagane 100 tys. podpisów i w sondażach goni Karola Nawrockiego, to popularny youtuber wciąż nie zarejestrował swojej kandydatury, a głosować na niego zamierza ok. 2 proc. badanych.

SPACERY KAMPANII

A kto ma największe struktury, przekonamy się już niebawem: na 12 kwietnia, z okazji 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 500-lecia Hołdu Pruskiego, w Warszawie zwołali swój marsz działacze PiS; miesiąc później – na tydzień przed wyborami – „wielkim majowym marszem patriotów” odpowie KO. Oby się nam po tym chciało jeszcze pójść do urn. ©P



Ludzie Trumpa o Europie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

CZOŁOWI POLITYCY I URZĘDNICY USA ustalali plan ataku na jemeńskich Hutich na czacie w aplikacji Signal: to samo w sobie jest pogwałceniem zasad bezpieczeństwa. Fakt, że przypadkiem do rozmowy zaproszono dziennikarza, dodaje tej aferze smaczek galopującej niekompetencji.

11 marca Jeffrey Goldberg, redaktor naczelny magazynu „The Atlantic”, dostał na Signalu zaproszenie do kontaktu od Michaela Walta, doradcy Trumpa ds. bezpieczeństwa. Dwa dni później Walt dodał Goldberga do czatu, którego członkami byli m.in. wiceprezydent Vance (na zdj.), sekretarz obrony Hegseth i sekretarz stanu Rubio. Goldberg był przekonany, że ktoś go wrabia. Że czat jest autentyczny, uwierzył, jak pojawiła się w nim informacja, że dojdzie do nalotu w Jemenie, a potem bomby faktycznie zaczęły tam spadać.

Co takiego mówili (tj. pisali w czacie) najważniejsi ludzie administracji USA, gdy uważali, że nikt niepowołany ich nie słucha? „Sądzę, że popełniamy błąd. Przez Suez biegnie 3 procent amerykańskiego handlu i 40 procent handlu europejskiego (...) Nie jestem pewien, czy prezydent jest

świadomy tego, jak niespójne to jest z jego obecnym przekazem dotyczącym Europy” – pisał Vance, wątpiąc, czy armia USA powinna uderzyć w Hutich (ich ataki na statki od lat utrudniają żeglugę po Morzu Czerwonym, co godzi w handel, zwłaszcza między Europą a Azją).

Vance wyjaśniał swoje zastrzeżenia wobec tego zaangażowania

USA, dodając: „Nienawidzę tego, że znowu ratujemy Europę”. Wtórował mu Hegseth: „W pełni podzielam twoją pogardę dla europejskiego darmozjadztwa. Jest ŻAŁOSNE”. Użytkownik

„S.M.” (Stephen Miller, doradca Trumpa) uspokajał, że USA nie robią

nic z dobroci serca: „Niedługo jasno przekażemy Egipcjom i Europie, czego oczekujemy w zamian. Będziemy też musieli wymyślić, jak wygzekwować takie oczekiwania. Jeśli Europa nie zapłaci, co wtedy?”.

Te uwagi na nasz temat powinny dać nam do myślenia. Jeśli wiceprezydent USA nie chce przeprowadzić ataku mającego zapewnić bezpieczeństwo globalnego handlu i jako argument wskazuje, że miałoby to pomóc Europie, można się zastanawiać, co stanie się w wypadku ataku Rosji na państwa bałtyckie, Finlandię czy Polskę? ©



JIM WATSON / GETTY IMAGES



Z Funduszem Kościelnym na wybory

ARTUR SPORNIK

PRZEDSTAWICIELKI LEWICY – ministra rodziny Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i kandydatka partii na prezydenta Magdalena Biejat – zaprezentowały projekt ustawy, który zakłada likwidację Funduszu Kościelnego. Wedle ich pomysłu połowę składki emerytalnej i zdrowotnej opłacałby duchowny, a resztę instytucja kościelna, do której należy. Członkom zakonów klauzurowych i misjonarzom składkę emerytalną w pełni pokrywały Ko-

ściół. Obecnie robi to państwo, które opłaca też 80 proc. składek duchownych niepracujących na etacie. Na Fundusz Kościelny przeznaczono w tym roku z budżetu państwa 275,7 mln zł. Korzysta z niego 189 Kościołów i związków wyznaniowych.

Katolicka Agencja Informacyjna przypominała, że od 2004 r. w Sejmie pojawiło się już osiem projektów likwidacji Funduszu Kościelnego, które koszty ubezpieczeń duchownych przerzucały na stro-

nę kościelną. Wnoszone były one głównie przez lewicę, zwykle w czasowym sąsiedztwie wyborów. Wszystkie zostały odrzucone na wczesnych etapach legislacyjnych. Artykuł 22. konkordatu stwierdza, że nowe regulacje w sprawach finansowych mają być uzgadniane przez wspólną komisję kościelno-rządową. Jednostronne działania rządu mogą więc zostać podważone.

Fundusz Kościelny to instytucja archaiczna, która powsta-

ła w 1950 r. jako rekompensata za przejęte dobra kościelne, a w rzeczywistości finansowała walkę z Kościołem. W 2013 r. rządząca koalicja PO-PSL przygotowała projekt zastąpienia go 0,5 proc. asygnatą podatkową na rzecz wybranej wspólnoty religijnej. Utknął on na etapie konsultacji społecznych – okazało się, że asygnata nie wystarczy na finansowanie składek Kościołom mniejszościowym. Z podobnym problemem zmagają się komisja wicepremiera Władysława Kosinika-Kamysza, przygotowująca nowe rozwiązania. Dofinansowanie wspólnot religijnych przez państwo wydaje się więc nieuniknione. ©P



MACIEJ KAPEK: POMYSŁODAWCA ŚPIEWANIA NAJDŁUŻSZYCH PIEŚNI PASYJNYCH.

*Śpiewam dawne pieśni,
by przypomnieć ich
bogactwo i pełniej
przeżywać Wielki Post*

JACEK TARAN: Skąd pomysł na takie przeżywanie Wielkiego Postu?

MACIEJ KAPEK: Miałem 11 lat, kiedy dowiedziałem się, że pieśń „Ogrodzie oliwny” ma trzydzieści dziewięć zwrotek. Odnalazłem pełny tekst i ręcznie przepisałem, żeby móc używać go w czasie prywatnej modlitwy. Później propagowałem tę formę w rodzinnej parafii w Mikołajowicach, gdzie prowadziłem adoracje przy Grobie Pańskim. Po przeprowadzce do Krakowa zaangażowałem się w Duszpasterstwo Wiernych Tradycji Łacińskiej. Zaczęliśmy organizować comiesięczne spotkania pod nazwą „Śpiewać imieniu Twemu, Najwyższy”, podczas których wykonujemy dawne pieśni w pełnych wersjach. Śpiewamy nie tylko w Wielkim Poście, ale przez cały rok i zawsze są to pieśni dobrane do aktualnego okresu liturgicznego. Chcemy pokazać, jak bogate jest to dziedzictwo, którego dziś często nie znamy. Najdłuższa z pieśni „Ojcze, Boże wszechmogący” ma aż pięćdziesiąt dwie zwrotki. Jej odśpiewanie trwa około godziny.

Co nas dziś zaskakuje w tych pieśniach?

Pieśń „Ogrodzie Oliwny” ma trzydzieści dziewięć zwrotek. Według tradycji tyle ciosów otrzymał Chrystus w czasie biczowania. Panoowało przekonanie, że czterdzieste uderzenie byłoby śmiertelne. Bardzo ciekawa jest pieśń „Płaczcie, Anieli” (dwadzieścia siedem zwrotek), w której wzywa się ciała niebieskie, przyrodę i wszystkie stworzenia świata, by płakały nad Męką Pańską. To też interesujące doświadczenie językowe, możliwość spotkania z takimi formami jak „płaczcie i ryby i wielorybowie, płaczcie syreny,

płaczcie delfinowie”, które dziś brzmią archaicznie. Druga część pieśni rozpoczyna się słowami „A na ostatek zapłacz ty, człowiecze”. Wzywa do nawrócenia i przemiany życia.

Gdzie szukać pełnych tekstów starych pieśni?

Ważnym źródłem są XIX-wieczne zbiory, jak choćby najbardziej znany śpiewnik Michała Mioduszeńskiego czy „Zbiór pieśni nabożnych” znany też jako „Śpiewnik Pelpliński”, w których znajdziemy pełne teksty. Dziś powszechnie używa się śpiewnika księdza Jana Siedleckiego, którego celem było pomieszczenie jak największej liczby pieśni, więc ich teksty były skracane. Dlatego na mszach śpiewa się zwykle dwie-trzy zwrotki, rzadko więcej. Chcemy pokazać zapomniane części tych utworów.

Odkrywanie starych pieśni to dla Pana nie tylko modlitwa, ale też pasja.

Fascynuje mnie ich bogactwo językowe i literackie. W pieśni „Ogrodzie Oliwny” opisy obrażeń, których doznał Chrystus, są bardzo szczegółowe, niemal anatomiczne. Poruszają serce, trafiają do wyobraźni. Są też wyrazem pobożności dawnych wieków. To również spotkanie z zabytkami języka polskiego: archaiczne formy, dziś już niespotykane, świadczą o przemianach, jakie zaszły w języku. ©P

Śpiewanie najdłuższych polskich pieśni pasyjnych odbędzie się w kościele Niepokalanego Poczęcia NMP (tzw. szpitalnym) przy ul. Kopernika 19 w Krakowie w dniach: 7 kwietnia („Ogrodzie Oliwny” – 39 zwrotek, „Płaczcie Anieli” – 27 zwrotek) i 14 kwietnia („Ojcze, Boże Wszechmogący” – 52 zwrotki) ok. godz. 19.20 (po mszy św. wieczornej).

Wojsko ma Borsuka

OBRONNOŚĆ ■ Waży 28 ton, mieści dziewięciu żołnierzy, których przed minami chroni ponoć nie gorzej niż nowoczesny czołg. Na lądzie może się rozpędzić do 65 km na godzinę, ale potrafi też pływać. A najważniejsze – że w końcu jest.

Za 6,5 mld zł rząd zlecił w ub. tygodniu produkcję pierwszej partii 111 bojowych wozów piechoty Borsuk. Docelowo polska armia ma dostać około tysiąca Borsuków w wersji bojowej oraz kilkaset innych, m.in. w wariantach sanitarnym lub wsparcia technicznego. Pojazdy zastąpią poradzieckie wozy piechoty serii BWP, z których część ma nawet po 50 lat.

Projekt Borsuka w zeszłym roku skończył 7 lat. Prototyp zbudowano już w 2019 r., ale jeszcze dwa lata temu nie było pewne, czy polska armia go dostanie. Wokół kontraktu na nowe bojowe wozy piechoty krążyli lobbysci firm zbrojeniowych oferujących podobne rozwiązania, próbując wmówić decydentom z MON, że taniej i szybciej będzie kupić coś z zagranicy.



JAKUB BOROWSKI / PAP

Bojowy wóz piechoty Borsuk w czasie pokazu na poligonie 1. Warszawskiej Brygady Pancernej w Wesolej. 13 sierpnia 2024 r.

Borsuk szczęśliwie przedarł się przez te przeszkody. To wciąż młoda konstrukcja, która musi jeszcze dojrzeć, ale zdaniem specjalistów od uzbrojenia mieści się w globalnej czołówce tego typu produkcji. Choć więc nie brak głosów rozczarowania, na przykład w sprawie ceny (lekceważących fakt, że teraz windują ją koszty budowy linii produkcyjnej i kolejne partie wozów powinny być o wiele tańsze), trzeba przyznać, że to przełomowy moment w historii krajowego przemysłu zbrojeniowego. Borsuk to pierwszy gąsienicowy pojazd wojskowy skonstruowany od zera w Polsce. Początek jego produkcji jest zarazem dobrą okazją, by uświadomić sobie, na jakim etapie rozwoju jest rodzima zbrojeniówka, która nieźle radzi sobie z budową pojazdów, lekkich dronów wywiadowczych czy ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych, ale o samodzielnej budowie samolotów czy systemów obrony powietrznej może tylko marzyć.

©P MAREK RABIJ

Birma i Tajlandia: trzęsienie ziemi i bomby

AZJA ■ W poniedziałek 31 marca spod gruzów małej szkoły udało się wydobyć cztery żywe osoby. Szanse na ratunek dla pozostałych przy życiu ofiar trzęsienia ziemi, które 28 marca nawiedziło Birnę i Tajlandię, maleją dosłownie z każdą minutą. Z coraz większej liczby birmańskich miejscowości dotkniętych kataklizmem docierają za to doniesienia o feterze zwłok, które w upalnym klimacie (zaczyna się apogeum pory suchej z temperaturami sięgającymi w dzień 40 stopni) bardzo szybko rozkładają się pod gruzami.

Piątkowe trzęsienie ziemi było jednym z najsilniejszych od lat w tej części Azji. Uderzyło głównie w centralne prowincje Birmy, w tym w historyczną stolicę kraju Mandalaj. Liczba potwierdzonych ofiar śmiertelnych w momencie zamykania tego wydania zbliża się do dwóch tysięcy, ale jest niestety niemal przesądzone, że jeszcze wzrośnie. Rządząca Birną junta kompletnie nie radzi sobie z kryzysem humanitarnym wywołanym przez kataklizm (w kraju od lat toczy się zresztą wojna domowa, a nad przeszło jedną trzecią powierzchni kraju rząd nie ma realnej kontroli). Do wielu miejscowości wciąż nie dotarła pomoc, brakuje też ciężkiego sprzętu i wsparcia medycznego.

Wojska rządowe nasiliły za to ataki na separatystów, wykorzystując zamieszanie wywołane przez trzęsienie ziemi. Birmańskie lotnictwo, jak podaje tamtejsza sekcja BBC, zaledwie trzy godziny po kataklizmie zbombardowało pozycje lokalnej partyzantki w stanie Szan (w wyniku nalotu miało zginąć siedem osób). Do ataków lotniczych doszło nawet w południowej części prowincji Sikong, w pobliżu epicentrum piątkowego trzęsienia.

© P MAREK RABII

Tomáš Halík kupuje klasztor

U SĄSIADÓW ■ Instytut Kolínský klášter działa od 2003 r. w Kolinie, miasteczku położonym 70 km na wschód od Pragi. Tysiące ludzi rozmaitych wyznań (a także niewierzących) zgłębia tam duchowość chrześcijańską w cyklach konferencji, rekolekcji i dni skupienia.

Po upadku komunizmu barokowy klasztor w Kolinie wrócił do zakonu kapucynów, ale brakowało pomysłu, jak go dobrze wykorzystać. Nawiązano więc współpracę z parafią akademicką w Pradze, gdzie rektorem i proboszczem jest ks. Tomáš Halík, oraz z Czeską Akademią Chrześcijańską. W ten sposób Kolínský klášter stał się centrum dojrzałej formacji chrześcijańskiej, z jednej strony przypominającym starożytne tradycje medytacyjne w zlaicyzowanym kraju, z drugiej – otwierającym się na najnowsze poszukiwania duchowe i teologiczne.

Dla tysięcy ludzi, wychowanych w czeskich niewierzących rodzinach, był też miejscem przygotowania się do chrztu, I komunii czy bierzmowania. Nawet jeśli pierwszy kontakt z katolicyzmem nawiązywali w praskiej parafii ks. Halíka, do Kolina jeździli regularnie na kilkudniowe dni skupienia. Instytut przygotowywał też spotkania

formacyjne dla ludzi biznesu, dziennikarzy i twórców kultury.

W czasie pandemii działalność centrum została mocno ograniczona. A całkiem niedawno kapucyni oznajmili, że z powodu rosnących nakładów i konieczności przeprowadzenia kosztownych renowacji, zmuszeni są wystawić klasztor na sprzedaż. Co oznaczałoby także kres prowadzonego w nim Instytutu.



Pod koniec marca ogłoszono jednak, że istniejące od ponad 20 lat centrum duchowości chrześcijańskiej Kolínský klášter będzie nadal działać. Zabytkowy budynek został zakupiony przez założyciela Instytutu, ks. Halíka. By pozyskać środki na ten cel, czeski teolog zlikwidował fundację swego imienia, działającą od dekady dzięki pieniądзом z przyznanej mu prestiżowej nagrody im. Templetona. Na zakup przeznaczył też część spadku otrzymanego po rodzicach. Cena transakcji, ustalona w trakcie długich negocjacji, wyniosła 15 mln koron (ok. 2,5 mln złotych).

© TOMASZ MAĆKOWIAK

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.





KIEDY ZNIKNĄŁ NAM PAPIEŻ

Kiedy Jan Paweł II zaczął nam zniknąć?
Jak to się stało, że konstrukty przesłoniły
osobę: to, co było w niej wielkie,
skomplikowane – i co było niedoskonałe?
Czy da się opowiedzieć ten ludzki los
kolejnym pokoleniom?

WOJCIECH BONOWICZ

KIEDY ZNIKNĄŁ NAM PAPIEŻ? KIEDY ZNIKNĄŁ KAROL Wojtyła, Jan Paweł II – żywy człowiek, a w jego miejsce pojawiły się rozmaite konstrukty, apologetyczne i krytyczne? Kiedy ktoś, kto był ciekawą, złożoną osobowością, zatracił rysy indywidualne, stał się papieżem-symbolem, przez jednych czczonym, przez innych kwestionowanym? I czy to proces nieuchronny, wynikający z upływu czasu, czy też rezultat rozmaitych operacji dokonywanych na jego wizerunku jeszcze za życia, a potem także po śmierci, której 20. rocznicę właśnie wspominamy?

Czy było go za dużo

Zacznijmy od zastrzeżenia: czy rzeczywiście zniknął? Żaden z wcześniejszych papieży nie został tak wielostronnie opisany, życie żadnego nie zostało tak gruntownie przebadane i wystawione na widok publiczny. Bibliografia dotycząca papieża-Polaka jest przytłaczająca, obejmuje właściwie wszystkie aspekty jego życia – od najwcześniejszego dzieciństwa, przez lata wojenne, posługę młodego księdza, a potem biskupa w Krakowie, aż po długi i pełen zwrotów pontyfikat.

Dostępne są wspomnienia jego współpracowników i współpracowników, osób, z którymi się przyjaźnił →

Baner na budynku Kurii Metropolitalnej w Krakowie, wykonany z kilkudziesięciu tysięcy zdjęć młodych ludzi – uczestników Światowych Dni Młodzieży w Kolonii, 14 października 2005 r.



ANNA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / REPORTER

→ i korespondował. Powstało mnóstwo książek, filmów i programów, których autorzy ogłaszali, że udało im się zajrzeć „za kulisy” czy to watykańskiej polityki, czy codziennego funkcjonowania Stolicy Piotrowej. Ktoś, kto chciałby Jana Pawła II zrozumieć, ma do dyspozycji zarówno obszernie, całościowe opracowania – pisane zresztą z różnych perspektyw – ale też tyśiące prac o charakterze przyczynkowym, skoncentrowanych na jednym wątku.

Zniknął zatem? A może jest go w nadmiarze? Może po prostu nie da się tego wszystkiego ogarnąć – i stąd konieczne uproszczenia, sprowadzanie papieża Wojtyły do jednego czy drugiego wymiaru?

Czy pomniki zostaną zburzone

Są tacy, którzy nie powiedzą o nim inaczej niż „święty Jan Paweł II Wielki” i chętnie posługiwać się będą takimi określeniami jak „heros”, „gigant”, „olbrzym”, „największy z Polaków”, a nawet – choć to rzadziej – „największy z papieży”. Są inni, którzy gdy tylko o nim mowa, od razu muszą dodać „obrońca pedofilów” albo „ten, który zgotował piekło kobietom”.

Istnieją konstrukty, w których Jan Paweł II jest przede wszystkim „konserwatystą”, „tradycjonalistą”, „człowiekiem, który wstrzymał Sobór”, „rządzającym Kościołem żelazną i bezlitosną ręką”. Ale są i takie, wedle których był jednym z „papieży zdrady”, „liberałem”, który wystąpił przeciwko tradycji, kontynuując reformy soborowe, a przede wszystkim idąc za daleko w międzyreligijnym dialogu.

Dla jednych pozostanie przede wszystkim „papieżem, który obalił komunizm”, dla innych – kimś, kto wzmocnił pozycję dyktatorów w różnych częściach świata. Są tacy, którzy jego pomniki mają z czcią i spontanicznie kładą pod

nimi znicze w kolejną rocznicę śmierci, i tacy, którzy te same pomniki umieszczają w memach, opatrując ich zdjęcia ironicznym komentarzem.

Co da się wygumkować

Powstawanie tego rodzaju konstrukcji jest zjawiskiem naturalnym. Wokół osób publicznych o tak szerokim i wieloaspektowym oddziaływaniu gromadzą się emocje i idee, które z samą osobą i jej przekonaniem mogą mieć ścisły, ale mogą mieć też bardzo luźny związek.

U podstaw konstrukcji, które zastąpić mają – powtórzę – osobowość tak złożoną, tkwią rozmaite przed założenia, dotyczące etyki, polityki czy religii. Jeżeli papież-Polak „nie spełnia oczekiwań” – to znaczy w jakimś aspekcie nie pasuje do owych założeń – trzeba go jakoś do nich dopasować.

W niektórych konstrukcjach tworzonych na prawicy „wygumkowano” np. wszystko, co papież-Polak mówił na temat antysemityzmu, praw człowieka, wolności religijnej czy przyjmowania uchodźców, chętnie natomiast eksponowano cytaty krytyczne wobec obyczajowego liberalizmu czy „cywilizacji śmierci”.

Z rozpowszechnionego w swoim czasie – i ożywianego przy różnych okazjach – konstruktu papieża „ciepłego”, „kremówkowego” usunięto z kolei wszystkie elementy, które mogłyby „ranić uszy” ewentualnych słuchaczy, jak krytyka konsumpcjonizmu czy narodowych egoizmów (ta ostatnia dziś zwłaszcza mogłaby zabrznieć bardzo aktualnie).

Dlaczego nie reagował

A przecież dobrze wiemy, że „wygumkowanie”, przemilczanie czy zamazywanie to w czasach rewolucji informacyjnej

strategię nieskuteczne. Dzisiejsi nastolatki – jeśli w ogóle będzie ich to interesowało – mogą się zdziwić, czytając, że Jan Paweł II z jednej strony był człowiekiem osobiście otwartym, wsłuchującym się z uwagą w problemy, które mu przedstawiano, a z drugiej nie interweniował skutecznie w sprawach, które jego interwencji wymagały. Trudno też będzie im pogodzić obraz papieża dialogu z informacjami, że w czasie jego pontyfikatu dialog – zwłaszcza wewnątrz Kościoła – przechodził poważny kryzys.

Z rozmów, jakie od czasu do czasu miałam z młodzieżą, wynika, że sprawa przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych i parasoli ochronnych, jakie rozpinali nad nimi przełożeni, bardzo mocno podważyła jej zaufanie do całej struktury. Ale i do osoby. Papież nie wiedział? Dlaczego nie reagował? Dlaczego na pierwszym miejscu było dobro księży, a nie skrzywdzonych dzieci?

Te pytania powtarzają się i kiedy stawiają je młodzi, którzy nadal identyfikują się z Kościołem, czuć w nich niepokój, który dotyka sfery najbardziej intymnej. Papież-Polak przedstawiany był im jako „mistrz wiary”, przewodnik, inspiracja. Jak to możliwe, że głęboka wiara i dojrzała duchowość – w którą nie wątpię – nie odpowiedziała mu w tym przypadku, co należy zrobić?

Jaki był naprawdę

Żeby nie zamazać różnic: konstrukty, o których piszę, nie są tym samym, co rzetelna krytyka i rzetelna apologetyka papieża. Istotą krytyki – tak jak apologetyki – jest stawianie papieżowi pytań, także tych uważanych za niewygodne, i szukanie odpowiedzi w jego wystąpieniach, w dokumentach, które podpisał, w gestach i działaniach, które podejmował i od których się powstrzymał.

Rzetelna krytyka i rzetelna apologetyka chcą dotrzeć do papieża rzeczywistego. Nie wrywają jego słów czy zachowań z kontekstu – tak historycznego czy instytucjonalnego, jak indywidualnego – lecz starają się uchwycić i opisać związek idei z osobą.

Konstruktom wystarczą intuicje, wspomniane przed założenia, wreszcie potrzeby, na jakie dany konstrukt ma odpowiedzieć. Osoba – zwłaszcza w jej złożoności, wewnętrznym skomplikowa-

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórze w Krakowie XII Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt XII Ns 714/19/P z wniosku Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego S.A. w Krakowie o stwierdzenie zasiedzenia udziału 550/7200 części prawa własności nieruchomości położonej w Krakowie-Podgórzu, składającej się z działek ewidencyjnych nr 57/12, 57/13, 57/272, obr. 47 Podgórze, dla której prowadzona jest księga wieczysta nr KR1P/00298212/9.

W związku z tym Sąd wzywa wszystkich właścicieli nieruchomości lub spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swe prawa do nieruchomości pod rygorem pominięcia ich udziału w sprawie i stwierdzenia zasiedzenia, o ile zostanie ono udowodnione.

niu, także ograniczoności – nie jest im do niczego potrzebna.

Co mówił o Żydach

Konstruktor umyka przede wszystkim fakt, że dla oceny osoby ważne jest, czy przekracza ona horyzont, który w jej czasie i w środowiskach, w których funkcjonowała, był horyzontem powszechnym.

Karol Wojtyła, a potem Jan Paweł II niewątpliwie w wielu miejscach ten horyzont przekraczał. Można się koncentrować na tych, w których nie mógł, nie umiał lub nie chciał tego zrobić – to obszar podlegający krytyce i ona musi zostać przeprowadzona. Ale równie ważne są miejsca, w których do przekroczenia doszło, a tych było naprawdę wiele.

Choćby we wspomnianej sprawie stosunku do Żydów. Tu akurat Wojtyła do przekroczenia dotychczasowych uprzedzeń przygotowywał się od wczesnej młodości. Miał w otoczeniu żydowskich kolegów i koleżanki, jako nastolatek uczestniczył w nabożeństwie odprawianym w wadowickiej synagodze, na które zaproszono również nie-Żydów. Wiemy ze wspomnień tych, którzy z nim studiowali, o jego niechęci wobec antysemitycznych wystąpień Młodzieży Wszechpolskiej. To wszystko przygotowywało grunt pod słynną wizytę w rzymskiej synagodze w 1986 r., kiedy to padły historyczne słowa: „Jesteście naszymi umiłowanymi braćmi i – można powiedzieć – naszymi starszymi braćmi”.

Jak śmiało było to przekroczenie, niech świadczy fakt, że nadal po tylu latach w niektórych polskich księgarniach, chętnie eksponujących książki o Janie Pawle II, obok stawiane są publikacje otwarcie kwestionujące to papieskie sformułowanie.

Dlaczego przepraszał

Często przywoływany przykład wielokrotnego papieskiego „przepraszam” jest równie wymowny. To, że nie objęło ono wszystkich ofiar Kościoła, które objąć powinno, to prawda. Dodajmy jednak, że także i ten gest – a raczej ciąg gestów Jana Pawła II – natrafiał i natrafia na opór wśród katolików. I nie ma się co dziwić, papież ustanowił bowiem w ten sposób zupełnie nową sytuację: ciemne karty z przeszłości Kościoła, także tej niedawnej, przestały być sprawą historyków, a stały się na powrót sprawą całej



ANNA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / REPORTER

Wielkim przekroczeniem był Asyż. Wspólną modlitwą o pokój z przedstawicielami różnych religii część środowisk kościelnych do dziś nazywa „największą obrazą Boga”.

wspólnoty. Historycy muszą prowadzić badania, a wspólnota musi się nieustannie oczyszczać ze złogów, jakie przeszłość pozostawiła, i przewidywać podobne zagrożenia. „Nigdy więcej”, powtarzał kilkakrotnie papież podczas słynnej liturgii pokutnej w marcu 2000 r.

„Gdy wierni, z których tak wielu nie nadają do dziś za profetycznym orędziem Papieża, oswoją się z Kościołem przepraszającym, następcy Jana Pawła II będą mieli do czego nawiązać”, pisał o tym wy-

darzeniu ks. Jan Kracik. „Wyliczą oni zapewne te obszary kościelnych zaniedbań i wykroczeń, do uznania których współczesny Kościół w swej większości jeszcze nie dojrzał, chociaż jakaś część wiernych – jak świadczą głosy teologów i mediów – chciałaby je widzieć w kościelnym rachunku sumienia już dzisiaj. Ponadto wrażliwość następnych pokoleń będzie się różnić od dzisiejszej, jak ta od wrażliwości pradziadów. Kolejne generacje dostrzegą zapewne wyraźniej te obszary, dawnego czy obecnego, kościelnego niesprostania wezwaniu Ewangelii i wyzwaniom czasu – pamiętać należy i o grzechach zaniedbania – jakie dziś zauważamy jeszcze dość mgliście”.

Czego szukał w Asyżu

Wielkim przekroczeniem był też Asyż – wspólna modlitwa o pokój z przedstawicielami różnych religii w październiku 1986 r. Pamiętajmy, że część środowisk kościelnych do dziś nazywa to wydarzenie „największą obrazą Boga”, do jakiej doszło w czasie pontyfikatu tego papieża. Spotkanie w Asyżu nie doczekało się należytej kontynuacji, a przecież było próbą zbudowania wspólnoty, jakiej historia ludzkości nie знаła.

Jan Paweł II wielokrotnie podkreślał, że religia nie może służyć usprawiedliwianiu przemocy, przeciwnie – jest ona „wrogiem podziałów i dyskryminacji, nienawiści i rywalizacji” (przemówienie w Jerozolimie w 2000 r.). Wydobywać z religii to, co może nas zjednoczyć, a nie to, co dzieli, i w ten sposób zapobiegać eskalacji wrogości i rozlewowi krwi – tak papież z Polski postrzegał rolę, jaką miał odegrać Asyż.

Niektórzy twierdzą, że było to tylko naiwne marzenie, inni – że promieniowanie Asyżu, na przekór wszystkiemu, trwa. Od lat noszę przy sobie fragment przemówienia Jana Pawła II na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ w 1995 r.: „Kto zamyka się na odmienność, albo co gorsza, próbuje tę odmienność zniszczyć, odbiera sobie możliwość zgłębienia tajemnicy ludzkiego życia. Odmienność uważana przez niektórych za tak wielkie zagrożenie, może się stać, dzięki dialogowi opartemu na wzajemnym szacunku, źródłem głębszego zrozumienia tajemnicy ludzkiego życia”. I drugi, z przemówienia wygłoszonego cztery lata później: „Wyrazem katolicyzmu jest

→ nie tylko braterska wspólnota ochrzczonych, ale także gościnność okazana cudzoziemcowi, niezależnie od wyznawanej przez niego religii”.

Czy nie za szybko go kanonizowano

Powtórzę pytanie, od którego wyszedłem: kiedy papież Wojtyła zaczął nam znikać? Jak to się stało, że konstrukty przesłoniły osobę – to, co było w niej wielkie, to, co było skomplikowane, i to, co było niedoskonałe?

Często jako moment decydujący wskazuje się rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego. Dość powszechne jest przekonanie – nawet wśród tych, którzy byli i są zwolennikami wyniesienia Jana Pawła II na ołtarze – że proces ten przeprowadzono zbyt szybko i bez należytej pieczołowitości. Ja jednak sądzę, że papież zaczął znikać wcześniej. Już za jego życia bowiem zaczęto budować wizerunek, który z realną osobą miał tylko trochę wspólnego. Dokonywała się „monumentalizacja” papieża – i to w bardzo różnych wymiarach. Na zasadzie przekory nasilał się też ruch „odbrązawiania” Jana Pawła II, który przybrał na sile po jego odejściu.

Przypominam sobie rozmaite zdarzenia. Ot, choćby pielgrzymkę z 2002 r. i mszę w Łagiewnikach. Ks. Adam Boniecki napisał wtedy w „Tygodniku”, że papież był wyraźnie słaby. Cała Polska to widziała, z napięciem oglądaliśmy w telewizorze przedłużającą się

liturgię w dusznej świątyni, bojąc się, czy główny celebrans zdoła dotrwać do jej końca. Najbliższe otoczenie papieża było jednak niezadowolone, że Boniecki napisał o tym wprost. Można domyślać się, dlaczego: papież miał być „herosem”, do końca silnym i przytomnym. On sam zresztą kilka lat później podważył ten wizerunek – i okazało się, że właśnie świadectwo słabości było potrzebne światu, nie tylko zresztą chrześcijańskiemu.

Komu przeszkadzały jego koleżanki

Albo inne zdarzenie: pamiętne wystąpienie w Wadowicach, kiedy papież odłożył kartki z przygotowanym tekstem i zaczął wspominać. Brałem wtedy udział w pracach nad edycją jego przemówień. Kiedy przyszły oficjalne watykańskie wersje, przecieraliśmy oczy ze zdumienia: część kwestii wypowiedzianych przez papieża zniknęła.

Choćby słynne: „Antygonia – Halina, Ismena – Kazia, mój Boże!”. Papież wspominał koleżanki z teatru, z którymi wystąpił w inscenizacji Sofoklesa. W oficjalnej wersji zostawiono informację, że sam grał Hajmona, ale Antygonia i Ismena zostały usunięte. Bo były kobietami, a znajomość z kobietami rzuciłaby na papieża jakiś cień? Bo jego westchnienie można by uznać za dwuznaczne?

Oczywiście redagując tekst, dodaliśmy, co trzeba, w kwadratowych nawiasach.

Jak został ocenizowany

To stosunkowo niewinne przykłady, ale dość charakterystyczne. Obraz papieża stał się obiektem rozmaitych „zabiegów upiększających” – a tak naprawdę deformujących – jeszcze gdy sam papież był aktywny.

Opisywałem niegdyś na tych łamach losy rozmów, jakie nagrali z Janem Pawłem II w 1991 r. ks. Józef Tischner i Krzysztof Michalski. Ich zapis utknął na lata w Watykanie, wielokrotnie przeredagowywany, okaleczany z najbardziej barwnych sformułowań papieża, w końcu rozpruty i zszyty na nowo tak, że z pierwotnej wersji nie zostało prawie nic.

Śmiem twierdzić, że gdyby oparta na tamtych rozmowach książka ukazała się drukiem od razu, byłaby wydarzeniem większym niż wszystkie późniejsze papieskie publikacje. Wojtyła bowiem rozmawiał z Tischnerem i Michalskim językiem naturalnym, nie usztywnionym. „Ja się boję”, mówił na przykład, „że ponieważ dzisiaj wróciliśmy do Polski w granicach piastowskich, to znaczy Polski Polaków, że ten pluralistyczny rys naszej mentalności, cywilizacji, ten jagielloński – że to się będzie powoli wypalać. To znaczy Polacy się zacieśnia”. W książce „Pamięć i tożsamość” ten fragment – powiedzmy wprost: to ważne ostrzeżenie! – zostało złagodzone: „Wydaje się jednak, że ten »jagielloński« wymiar polskości, o którym wspominałem, przestał być, niestety w naszych czasach czymś oczywistym”.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
 Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik,
 Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
 Michał Okoński, Marek Rabiń, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardys, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
 Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska
 (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska,
 Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Świąk
Dział IT: Łukasz Kubiński, Paweł Maliszewski,
 Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błaszczak,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 Łukasz Grajewski, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
 Bartosz Kabala, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieźun,
 Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
 Ryszard Koziół, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
 Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
 Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
 o. Wacław Oszałka, Zbigniew Parańfanowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
 Małgorzata Solec, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
 Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik,
 Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
 **S-NET**
 GRUPA TOYA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Takich „operacji” na pierwotnym tekście było więcej; w rezultacie „Pamięć i tożsamość” czyta się jako książkę trochę bezosobową.

Jak poruszył świat

To oczywiste, że „urząd” czuwał nad wizerunkiem swego najważniejszego przedstawiciela. Jednak to „czuwanie” często szło za daleko, utrudniając w istocie poznanie i zrozumienie papieża. Dziś, kiedy więcej wiemy o tym, jak różne informacje docierały lub nie docierały do jego uszu, nawet tym „niewinnym” zabiegom przyglądamy się bardziej podejrzliwie. 20 lat po jego śmierci musimy się konfrontować z faktami, o których nie mieliśmy pojęcia. Wielu z powodu tego, czego się dowiedzieli, odeszło, wielu patrzy dziś na instytucję Kościoła inaczej. Na wiele pytań nie mamy odpowiedzi. W dodatku różne konstrukty, które narodziły się w międzyczasie, nakładają się na siebie, sprawiając, że obraz papieża takiego, jaki był, zdaje się zamazywać.

Czy zatem da się opowiedzieć prawdziwego człowieka kolejnym pokoleniom? Gdzieś się zapodział młody ksiądz Wojtyła w wyświeconej sutannie, który klerykom krakowskiego seminarium mówił: „Gdzie jest ubóstwo, tam jest wolność”. A Jan Paweł II, który na Zaspie w Gdańsku przypominał, że społeczeństwo trzeba budować na solidarności, współdziałaniu, a nie na przeciwstawianiu jednych drugim? Ten „niewygodny” papież też jakoś nie pasuje do czasów, w których słowem-zaklęciem stała się „polaryzacja”. A odchodzenie papieża? Ewangelia ostatnich tygodni, Ewangelia słabości? Przecież to ona sprawiła, że raz jeszcze stanął przed nami nie żaden ideał, tylko żywy człowiek. Jeśli mistrz, to mistrz cierpienia.

Wspomniany Krzysztof Michalski użył kiedyś bardzo prostego i jednocześnie bardzo trafnego określenia na opisanie tego pontyfikatu: ten papież poruszył świat. Poruszył go na wiele sposobów – a w tamtym czasie poruszył go najmocniej swoją słabością, niemożnością, krzyżem. My, którzyśmy na to patrzyli, nigdy tego nie zapomnimy. Ale czy potrafimy o tym przekonująco opowiedzieć? Nie wiem.

© WOJCIECH BONOWICZ



OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

MICHAŁ SOWIŃSKI,
redaktor literacki
Festiwalu
Conrada.
Na zdjęciu
z Olgą Drendą,
dyrektorką
kreatywną
Festiwalu
Conrada.

Literatura to dla mnie sposób, by zobaczyć świat inaczej – przez oczy innych ludzi, z punktów widzenia, do których sam bym nie dotarł. To nie tylko słowa i historie, ale przede wszystkim przestrzeń, w której myślenie intensyfikuje się, nabiera rozmachu. Współtworząc Festiwal Conrada, staram się, by był on impulsem do zadawania pytań i przekraczania schematów. Dzięki Waszemu wsparciu to możliwe – naprawdę.

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania? Zadzwoń: 12 426 53 31 lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

1,5%



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

PRZYWILEJ OBCOWANIA

Jacek Żółciński,
Międzynarodowy Port Lotniczy w Balicach:

Pod koniec ostatniej wizyty
papieża w Polsce
pilot przeleciał nisko
nad centrum Krakowa,
tak, żeby Jan Paweł II
mógł zobaczyć z samolotu
Rynek, Wawel,
a potem Wadowice
i ukochane Tatry.
To był prezent i hold.



Jan Paweł II i Jacek Żółciński podczas zakończenia VII pielgrzymki papieża do Polski. 17 czerwca 1999 r.

Jacek Taran: Pamięta Pan ten moment, kiedy stało się jasne, że to Pan będzie odpowiedzialny za pobyt Jana Pawła II na lotnisku?

Jacek Żółciński: Ogromne poczucie odpowiedzialności. Pracowałem przy czterech pielgrzymkach: w 1995, 1997, 1999 i 2002 roku. Pielgrzymką, która odcisnęła we mnie najmocniejszy ślad, była ta ostatnia. Dla wszystkich było jasne, że to pożegnanie. Wtedy też na lotnisku było najwięcej ludzi, którzy chcieli spotkać papieża. Oprócz wiernych byli człon-

kowie episkopatu, rząd, prezydent.

Przeczuwaliśmy, że papież jest tutaj, w Polsce i w Krakowie, ostatni raz. On sam zresztą w swoich wypowiedziach to sugerował. Na koniec wizyty pilot przeleciał nisko nad centrum Krakowa, tak, żeby papież mógł zobaczyć z samolotu Rynek, Wawel, a potem Wadowice i ukochane Tatry. To był prezent i hold dla Jana Pawła II.

Jak wyglądał dzień pobytu Papieża na lotnisku?

To jest niezwykle skomplikowana logistyka, przygotowania trwają około roku. Lotnisko jest portem wojskowo-cywilnym i strona wojskowa również była zaangażowana. W organizacji brały udział Polska Agencja Żeglugi Powietrznej, Biuro Ochrony Rządu, Episkopat, Watykan i inne służby. Papież wszystkie swoje pielgrzymki kończył w Krakowie. To zawsze był dzień pełen ogromnego stresu, kulminacja wielu miesięcy pracy.

Na czas odlotu papieża terminal i lotnisko były nie-

dostępne dla innych samolotów. Wymagały tego względy bezpieczeństwa i liczba statków powietrznych, które tutaj się gromadziły, bo przecież przylatywały też delegacje państwowe, prezydent, rząd. Płyta postojowa była podzielona na sektory. Ważna była także rola protokołu dyplomatycznego, który miał swoje wymagania. To wszystko musiało działać bez zarzutu.

Za jaką część tego przedsięwzięcia odpowiadał Pan osobiście?

Opowiadałem za przebieg wizyty w terminalu, w salonie VIP i na płycie. Dyrektor protokołu dyplomatycznego kontaktował się bezpośrednio ze mną, ponieważ wymagało to bardzo szczegółowych ustaleń, np. ustawienia mebli w salonie VIP, foteli, kolejności wchodzenia gości. Cała procedura była ściśle określona, chociaż, jak wiemy, papież często był gościem niepokornym i zdarzało się, że ten protokół łamał, nie trzymał się wytycznych. Czasami chciał się z kimś dodatkowo przywitać czy pożegnać, gdzieś zaglądnąć, na przykład do kaplicy.

Rozmawiał Pan z papieżem w czasie tych wizyt?

To były ledwie jakieś zdawkowe słowa i błogosławieństwo, kiedy papież poświęcał kamień węgielny pod budowę nowego terminalu. Ono utkwiło mi w pamięci, dotyk jego dłoni, spojrzenie. To było coś, czego się nie zapomina. Poczulem, jakby przez moje ciało przeszła energia, która była samym dobrem, świętością. To coś niewytłumaczalnego. Papież był osobą, która emanowała spokojem. To było wyczuwalne przez wszystkich. Wtedy nie wiedzieliśmy, że papież będzie święty, ale można powiedzieć, że tę świętość się już wyczuwało.

Miał Pan też okazję widzieć papieża w towarzystwie polityków...

Tak. Trzeba pamiętać, że Polska była wówczas w okresie przemian polityczno-gospodarczych i papież miał ogromny wpływ na kształt tych zmian. Miał ogromną zdolność łagodzenia obyczajów. Bez względu na to, z której strony sceny politycznej znajdowali się politycy, za-

wsze odczuwało się przyjazną atmosferę, nie było napięć. To był dla mnie ogromny przywilej być w tym czasie przy nim i uczestniczyć w tych historycznych spotkaniach.

Jak te przeżycia wpłynęły na Pana dalsze życie?

To, co najbardziej zapamiętałem i czym zawsze się w życiu kieruję, to wiara w to, że prawda zawsze zwycięża i że warto być dobrym człowiekiem.

Były momenty kryzysowe? Kiedy wydawało się, że coś pójdzie nie tak?

Przedostatnia pielgrzymka, rok 1999. Pogoda przed odlotem nie dopisywała. Najpierw był duży upał, a potem, na dwie godziny przed odlotem, przyszła potężna burza, która zalała czerwony dywan przed podestem. Na szczęście mieliśmy odkurzacz, który mógł zbierać wodę. Wcześniej kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego ćwiczyła w upale przemarsz przed podestem po wiele razy. Żołnierze byli wyczerpani gorącem i pamiętam, że dwóch z nich po prostu zemdląło. To trochę wytrąciło nas z równowagi, ale sytuacja została opanowana. Burza przeszła, słońce wyszło, dywany udało się odsączyć i wszystko odbyło się należycie.

A najsylniejsza historia to chyba ta z prezydentem Kwaśniewskim w papamobile?

Tak, o tym było głośno w mediach w tamtych czasach. Papież zrobił wyjątek i zaprosił głowę państwa do papamobile. Widziałem to na własne oczy, bo papamobile było zaparkowane przed salonem VIP, gdzie trwała

rozmowa prezydenta z papieżem.

Protokół przewidywał, że papież wsiądzie do samochodu i podjedzie pod podest. Natomiast rozmowa chyba była bardzo przyjemna i Jan Paweł II odstąpił od ustaleń, zapraszając prezydenta Kwaśniewskiego na wspólną przejażdżkę. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że to był taki symboliczny gest, którym chciał pokazać, że prezydent Kwaśniewski jest przyjacielem, a on sam nie jest nastawiony wrogo do władzy, która ma korzenie w poprzednim systemie.

Jak wyglądała współpraca ze stroną watykańską? Były z jej strony jakieś specjalne wymagania?

Papież był osobą skromną i ze strony watykańskiej nie było specjalnych zapotrzebowań. W saloniku VIP stała jedynie karafka ze źródlaną wodą, dwie szklanki. To wszystko. Jednak trzeba pamiętać, że to była wizyta głowy państwa, a nie tylko głowy Kościoła. Więc państwo polskie reprezentowane przez rząd, prezydenta, przyjmowało papieża Jana Pawła II z honorami i odbywało się to na podstawie protokołu dyplomatycznego.

Każda wizyta wymagała bardzo dużego zaangażowania sił i środków związanych z bezpieczeństwem papieża. Ze względu jednak na to, że z każdą pielgrzymką papież był coraz słabszy, a osób chcących się z nim spotkać było mnóstwo, zdarzało się, że procedury zmieniano. Pamiętam, że przy ostatniej pielgrzymce w 2002 r. papież miał do dyspozycji melex, w którym mógł się poruszać po całej płycie i w ten sposób z bliska pożegnać się ze wszystkimi.

Pamięta Pan jakieś szczególne słowa z tej ostatniej wizyty?

Nie będę bardzo oryginalny, ale to będą te słowa, które powiedział żegnając się w 2002 r.: „Żał odjeżdżać”. To rzeczywiście było poruszające, zaległa wtedy długa cisza, były łzy. Jan Paweł II był osobą wyjątkową w życiu wielu Polaków, nie tylko moim, ale dla mnie te momenty spotkań z nim były wyjątkowe.

Mam dobre życie i myślę, że papież czuwa nade mną i moją rodziną. Los jest dla mnie łaskawy i wierzę, że tak będzie do końca. Nie każdy ma możliwość obcowania ze świętym za życia, prawda?

© P



JACEK ŻÓŁCIŃSKI

w 1997 r. pełnił funkcję kierownika działu obsługi terminalu. Obecnie pracuje jako Kierownik Działu Obsługi Klienta i Customer Experience w Międzynarodowym Porcie Lotniczym im. Jana Pawła II Kraków-Balice. Jest jednym z najdłużej pracujących na lotnisku.

BUNT MASZYN DO PISANIA

Statystyczny Polak ma poczucie, że za 30 zł w kinie otrzyma więcej, niż mógłby zyskać kupując za tyle samo książkę. Dystrybutorzy od lat mają na to jedną receptę: rabat.

MAREK RABIJ

KTO CHCIAŁ COŚ POWIEDZIEĆ PUBLICZNIE, ten już to zrobił. Ja na tę karuzelę wskakiwać nie zamierzam, to do niczego nie prowadzi – rzuca do telefonu prezes dużego polskiego wydawnictwa, po czym rozłącza się bez pożegnania.

Autorzy też zrobili się ostrożni.

– Jestem już tym zmęczona – mówi reportażystka. – Spotykamy się, wymieniamy podejrzeniami, kto kogo i na ile naciął, ale jak przychodzi do konkretów, to każdy powtarza, że nie będzie szedł na zwarcie ze swoim wydawcą. To ja się też nie będę wystawiać na strzał.

Dziennikarz, autor kilku książek: – Publikuję w wydawnictwie należącym do firmy, w której też na co dzień pracuję. Jezu, nawet jak to napiszesz, to będzie wiadomo, o którą firmę chodzi. No więc nic ci oficjalnie nie powiem. Zresztą, chyba wszyscy już wiedzą, jak jest.

Cała Polska czyta pozew

Tak dużego zainteresowania tematyką honorariów dla pisarzy i marż w branży księgarskiej nie było nad Wisłą chyba nigdy. 25 lutego światło dzienne ujrzał raport Polskiej Sieci Ekonomii opracowany dla Instytutu Książki. Na blisko stu stronach jego autorzy rozłożyli na elementy krajowy rynek wydawniczy, kreśląc obraz trawiącego go kryzysu, na czele z „postępującą oligopolizacją i zaburzeniem równowagi w łańcuchu wartości”, które



biją także w sytuację materialną pisarzy, tłumaczy oraz redaktorów, korektorów i łamaczy.

Jakby dla podbicia też zawartych w raporcie, dwa tygodnie później branżę obiegła wiadomość, że Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka bestsellerowej monografii „Chłopki. Opowieść o naszych babkach”, złożyła pozew sądowy, w którym domaga się od wydawnictwa Marginesy podwyższenia tantiem za swój hit, który sprzedał się w ponad 500 tys. egzemplarzy. „Zamierzam skorzystać ze znowelizowanego ostatnio art. 44 prawa autorskiego, czyli tak zwanej klauzuli bestsellerowej, która zakłada, że »w przypadku gdy wynagrodzenie twórcy jest niewspółmiernie niskie w stosunku do korzyści nabywcy autorskich praw majątkowych lub licencjobjorcy, twórca może żądać stosownego podwyższenia wynagrodzenia przez sąd« – napisała w oświadczeniu.

Marginesy odpowiedziały ostrożnym komunikatem, w którym podkreśliły zrozumienie dla oczekiwań autorki, która odniosła taki sukces wydawniczy, i zarazem zdziwienie, że na ścieżkę sądową trafi spór, który wydawnictwo od jakiegoś czasu usiłuje rozwiązać polubownie.

Przy okazji Polska dowiedziała się, że na sprzedaży jednego egzemplarza rynkowego bestsellera można zarobić średnio dwa złote z groszami.

Sztafeta pretensji

Rozpętała się burza. W mediach społecznościowych kolejni autorzy solidaryzowali się z Joanną Kuciel-Frydryszak i dzielili własnymi doświadczeniami ze współpracy z wydawcami. Wyłonił się z tego obraz środowiska od lat eksploatowanego w sposób niemal rabunkowy i do tego regularnie upokarzanego oferowanymi stawkami. Lista pretensji była długa, po-

cząwszy od wspomnianych honorariów, które w rozbiciu na każdy miesiąc pracy nad książką zwykle nie starczą nawet na opłacenie składek ZUS, przez kurczące się terminy na wykonanie umowy, a kończąc na poważnych, ale najczęściej stawianych anonimowo zarzutach manipulacji danymi o sprzedaży.

Wywołani do odpowiedzi wydawcy obruszyli się na wrzucanie do jednego worka nierzetelnych podmiotów z takimi, które na swoich autorów dmuchają i chuchają, a przy okazji przypomnieli wyliczenia, z których wynika, że największy kawałek książkowego tortu od lat zjadają nie oni, lecz dystrybutorzy.

Ostatni z wymienionych na razie nie zabiera głosu w sporze. Liczą zapewne, że sprawa kolejny raz uciśnie. O miażdżącej przewadze czterech największych polskich dystrybutorów książek, kontrolujących około 80 proc. rynku dystrybucji hurtowej, mówi się przecież i pisze od ponad dekady, ale nic poważnego dla pozycji oligopolistów z tego, jak dotąd, nie wynika. Nie pomógł nawet wstrząs, jakim było dla branży przejście w 2011 r. przez Empik wydawnictw W.A.B., Wilga i Buchmann, co postawiło tego ważnego dystrybutora w uprzywilejowanej pozycji firmy, która sama wytwarza sobie towar na sprzedaż.

Od tamtej pory głębszym zmianom nie uległa też lista największych zarzutów pod adresem polskich dystrybutorów, na czele z wymuszaniem na innych uczestnikach rynku olbrzymich rabatów, sięgających nawet 70 proc. ceny okładkowej, narzucaniem wydawcom dodatkowych opłat za ekspozycję towaru czy dane o sprzedaży i wydłużaniem terminów zapłaty, na którą niektóre wydawnictwa czekają ponad pół roku.

W obrocie książkami w Polsce etap dystrybucji stał się swoistą czarną dziurą. Autorzy wspomnianego wyżej raportu dla Instytutu Książki szacują, że ze sprzedaży jednego egzemplarza książki w cenie okładkowej 57,50 zł jej autor lub autorka dostanie z tantiem 2,87 zł. Wydawnictwu, po odjęciu kosztów produkcji, zostanie 7,87 zł. Dystrybutor zarobi na czysto 6,90 zł. No, chyba że ma też swoje księgarnie, bo wówczas dostanie dodatkowe 4,60 zł.

→



GERARD / REPORTER

Tłumy przed wejściem na Poznańskie Targi Książki. Poznań, 8 marca 2025 r.

W niewłaściwej konfiguracji

→ Strategia na przetrzymanie może być skuteczna, bo spór zaognił się głównie na linii autorzy–wydawcy. Jedną z doświadczonych polskich redaktorek w swoich mediach społecznościowych wspominała nawet ostatnio koleżance po fachu, że „napier...lamy się w niewłaściwej konfiguracji”.

Fakt, że katalizatorem sporu był pozew złożony przez autorkę jednej z najpoczytniejszych polskich książek ostatniej dekady, stworzył w dodatku mylne wrażenie, że pod zarzuty stawiane przez Kuciela-Frydryszak można podstawiać sytuację dowolnego polskiego literata czy literatki. Punkt wyjścia jest istotnie ten sam: chodzi o formułę rozliczeń autorów z wydawcą, które często premiuje tego ostatniego kosztem tych pierwszych. Prawdziwym problemem, z jakim boryka się olbrzymia większość próbujących żyć z pisania Polek i Polaków, nie są jednak procenty w umowie z wydawnictwem, lecz nakłady książek.

Przy rynkowej średniej na poziomie ok. dwóch tysięcy egzemplarzy pisarstwo musi pozostać w naszym kraju działalnością niedochodową, bez względu na to, czy autorowi uda się wyszarpać 15 czy 10 proc. ceny książki – i również bez względu na to, czy podstawą wycenienia będzie cena okładkowa, czy hurtowa.

Krzysztof Domaradzki, dziennikarz ekonomiczny piszący także powieści kryminalne, w jednym z wywiadów obrazowo porównywał wartość krajowych wydatków na książki z innymi pozycjami z rodzimego koszyka zakupowego. Więcej pieniędzy Polacy co roku wydają m.in. na napoje gazowane (7,5 mld zł), pakowane mięso (9 mld zł), nie wspominając o wódce, która tylko w jeden kwartał wypłukuje z polskich kieszeni więcej gotówki aniżeli oferta księgarń przez okrągły rok.

Kto jest winny tej mizerii? Wśród podejrzanych najczęściej wymienia się internet z mediami społecznościowymi. Dostaje się też szkole, która młode głowy zatrzuwa Mickiewiczowskim świerzopem

i dziecieliną, miast siać fascynację żywą literaturą współczesną. A gdy młody człowiek jakimś cudem zacznie jednak czytać, wpada w rzekomą pustkę literatury Young Adult oraz innych rynkowych efemeryd. Ta i podobne narracje kompletnie lekceważą fakt, że w krajach, w których czytelnictwo ma się o wiele lepiej niż w Polsce, również działa internet, szkoła dba o należyte miejsce dla miejscowych tradycji literackich, a rynek książki nieustannie epatuje odbiorców różnymi nowinkami.

– Nie zawarliśmy tego wśród głównych tez, bo to obserwacja, którą rozciągnąłbym na wiele sfer polskiej gospodarki, ale na rynku książki widać to bardzo wyraźnie. Mam na myśli niski poziom kapitału społecznego i wynikająca z niego prymitywną kulturę biznesu, która dla wielu graczy sprowadza się do poszukiwania okazji, żeby wzbogacić się kosztem współpracowników – podkreśla Jan Oleszczuk-Zygmuntowski, jeden z autorów raportu „Jeszcze książka nie zginęła”. – W tym kontekście trzeba też inaczej spojrzeć na informacje o wartości krajowego rynku książki, która od lat stoi praktycznie w miejscu. Jestem ekonomistą, nie znam się na literaturze, ale wiem, że w atmosferze braku zaufania trudno budować wartość.

Moja chata z kraju

Polskim rynkiem książki, jak dodaje Oleszczuk-Zygmuntowski, rządzi darywinizm i krótkoterminowa kalkulacja. Półroczne terminy płatności za przekazany do dystrybucji towar, jakie narzucają wydawcom najwięksi hurtownicy, mogą niejedno małe wydawnictwo doprowadzić na skraj niewypłacalności. Dystrybutorzy oczywiście zdają sobie z tego sprawę, ale nad zdrowszych kontrahentów przedkładają kapitał na koncie, którym można dłużej poobracać.

– Taka kalkulacja nie uwzględnia jednak tego, że wydawnictwa, które ponoszą przecież stałe koszty działalności, zabezpieczają się przed takimi praktykami poprzez wydawanie coraz większej liczby

tytułów – zauważa ekonomista. – Zaczynają też cisnąć autorów, żeby jak najszybciej oddawali książki do produkcji, i ciąć koszty procesu wydawniczego. Każdy dzielnie rozwiązuje problemy kapitalizmu przez przerzucenie ich dalej w łańcuchu wartości.

Badania konsumenckie potwierdzają tymczasem, że barierą w dostępie do książki nie jest w Polsce jej cena, lecz relacja tej ceny do oferowanej jakości. Statystyczny nadwiślański konsument kultury ma poczucie, że wydając 30 zł w kinie, otrzyma więcej, niż mógłby zyskać kupując za tyle samo książkę. Wydawcy i dystrybutorzy na razie mają na to tylko jedną receptę: rabat od ceny okładkowej.

Autorów i wydawców łączy z kolei ten sam problematyczny stosunek do książki, w której, w zależności od sytuacji, widzą albo produkt, albo dobro kultury. Wydawnictwa chętnie podkreślają swój udział w kulturalnym poletku, domagają się z tego tytułu preferencji podatkowych od państwa, ale w rozmowach z autorami posługują się językiem transakcji handlowych. W wielu wydawnictwach „hit” jest nadal synonimem bestsellera, ale w tym pojęciu nie mieszczą się przełomowe publikacje, które przedstawiają tory debaty publicznej, choć sprzedają się w niewielkim nakładzie.

Pisarze i pisarki popełniają ten sam grzech. Apelują np. o ustanowienie czegoś w rodzaju minimalnego dochodu gwarantowanego dla ludzi pióra, ale oburzeniem reagują już na pytanie, czy po wprowadzeniu takiego rozwiązania powinno im nadal przysługiwać dodatkowe wynagrodzenie np. za wieczór autorski w publicznej bibliotece.

– Możemy w kółko apelować o promocję czytelnictwa w Polsce, ale to nie jego stan jest moim zdaniem źródłem problemów rodzimej branży wydawniczej. To raczej fatalna kondycja tego sektora jest dziś jednym z wielu czynników ograniczających polski apetyt na książki – kwituje Oleszczuk-Zygmuntowski.

37,5 mln polskojęzycznych mieszkańców naszego kraju co roku wydaje na czytelnictwo ok. 4 mld zł. Dla porównania: 16 mln Czechów i Słowaków co roku przeznacza na ten cel równowartość ok. 1,7 mld zł. Na rynku ponaddwukrotnie mniejszym od polskiego co roku ma miejsce ok. 24 tys. książkowych premier. W Polsce – ledwie 10 tys. więcej.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Z badań firmy Nielsen Admosphere wynika, że ponad trzy czwarte Czechów czyta w ciągu roku przynajmniej jedną książkę, a 28 proc. mieszkańców kraju chodzi przynajmniej raz w roku do biblioteki. W Polsce po minimum jeden tytuł rocznie sięga tymczasem zaledwie 43 proc. populacji. Już to proste porównanie każe inaczej rozkładać akcenty w debacie o kryzysie czytelnictwa i problemach polskiego rynku wydawniczego.

– Tu wszyscy w branży rozumieją, że jedziemy na jednym wózku – mówi Filip Ostrowski, współzałożyciel słowackiego wydawnictwa Absynt, które w Czechach i na Słowacji publikuje głównie literaturę non-fiction. – Jesteśmy małą firmą nawet jak na warunki słowackie, ale jestem po imieniu z właścicielami dwóch największych sieci dystrybucyjnych działających w Czechach i na Słowacji. Żadnemu z nich do głowy by nie przyszło, żeby oferować nam gorsze warunki tylko dlatego, że na biznesie z nami zarabiają mniej niż na współpracy z większymi wydawcami. Jeśli wystawiam fakturę z 14-dniowym terminem płatności, pieniądze na koncie mam zwykle po dwóch tygodniach.

I Czechy, i Słowacja nie mają, podobnie jak Polska, daleko idących regulacji rynku wydawniczego. Nie mają także ustawy o minimalnej cenie książki. Nie jest potrzebna.

– Tytuł, który dzisiaj wypuścimy na rynek z ceną 20 euro na okładce, będzie wszędzie oferowany po 20 euro – podkreśla drugi współwłaściciel Absyntu, Juraj Koudela. – Uczestnicy rynku rozumieją, że konkurencja sprowadzona do rywalizacji na cenę to droga donikąd.

Zmowa wstydu

W debacie o kondycji polskiego rynku wydawniczego głos zabrał ostatnio sam Remigiusz Mróz. Autor-instytucja, znany z niemal taśmowej produkcji kryminałów, podzielił się na Facebooku swoimi doświadczeniami z początków pisarskiej kariery, kiedy w trakcie negocjacji umowy został przypadkowo dodany do listy mailingowej pracowników wydawnictwa, naradzających się właśnie, jaki procent ceny okładkowej mu zaoferować. „Mogliśmy dać mu 10 proc., ale zaproponuj 5 proc., zgodzi się na 6 proc.” – sugerował koleżde z pracy jeden z uczestników konwersacji. Podobne zagranie, zwłaszcza wobec nieświadomych reguł



D. BEDNARZ / MATERIAŁY PRASOWE INSTYTUTU KSIĄŻKI

JAN OLESZCZUK-ZYGMUNTOWSKI, EKONOMISTA:

Możemy w kółko apelować
o promocję czytelnictwa,
ale to nie jego stan
jest źródłem problemów
rodzimej branży wydawniczej.
To fatalna kondycja
tego sektora jest czynnikiem
ograniczającym polski apetyt
na książki.

branżowej gry debiutantów, wciąż są – zdaniem Mroza – na porządku dziennym.

Listę wydawniczych grzeszków można łatwo rozbudować w oparciu o rozmowy z osobami, które mają za sobą debiut książkowy. Powszechną praktyką jest nierefundowanie kosztów związanych ze zbieraniem materiałów do książki, zwłaszcza w przypadku autorów fikcji (inna sprawa, że właśnie chęć pomocy przy researchu przyświecała ustawodawcom, którzy przyznali polskim twórcom prawo do 50 proc. kosztów uzyskania przychodu). Zdarzają się i takie kwiatki, jak klauzule, które zobowiązują autora lub autorkę do wydania na takich samych warunkach kolejnej książki w tym samym wydawnictwie – o ile poprzednia odniesie jasno zdefiniowany sukces sprzedażowy.

Wydawcy zaczynają rozumieć, że po ostatniej aferze z honorariami utrzymywanie równie asymetrycznych warunków wejścia w świat literatury może być niemożliwe. Środowisko pisarek i pisarzy nie tylko zaczęło głośno mówić o swojej kondycji finansowej, ale też odważnie kieruje zarzuty pod adresem pozostałych uczestników rynku wydawniczego. Zniknęła swoista „zmowa wstydu”, która skrywała dotąd przed opinią publiczną rzeczywisty charakter relacji autorzy-wydawcy-dystrybutorzy. Niewykluczone, że poprawi to nieco warunki dla przyszłych debiutantów.

Panaceum na wszystkie bolączki w opinii wielu przedstawicieli branży ma być za to ustawa o gwarantowanej cenie minimalnej książki, którą mają nadzieję dostać w przedwyborczym prezencie od rządu. Dzięki niej uda się wyrugować z rynku proceder rabatowania i przeceńniania tytułów nazajutrz po premierze.

Stojąca za tym kalkulacja jest prosta. Dla poszczególnych uczestników rynku książka ma kosztować tyle samo. Dzięki temu będzie też dłużej krążyć po księgarniach w cenie okładkowej, zapewniając większą rentowność twórcom i producentom. O ile oczywiście największe wydawnictwa nie pójdą drogą na skróty i nie zaczną znów bawić się w rabaty, np. pod pretekstem promocji na „egzemplarze technicznie wadliwe”.

Jan Oleszczuk-Zygmuntowski: – W podsumowaniu raportu podkreślamy, że ratunkiem dla polskiej książki jest wprowadzenie pięciu komplementarnych reform, w tym ustawy o ochronie rynku książki z jednolitą ceną, ochrony małych księgarni i transparentnością obrotu, nadzoru urzędu antymonopolowego nad tym wrażliwym rynkiem, branżowego kodeksu dobrych praktyk, nowych zasad zakupów bibliotecznych i wreszcie z powołaniem do życia spółdzielni księgarskiej. Śledząc debatę o naszym raporcie, widzę tymczasem, że różni uczestnicy tego rynku chcieliby wdrożenia tylko tych elementów, które im aktualnie pasują. Jeśli dostaniemy na przykład samą ustawę o cenie jednolitej, efekty uzdrowienia branży będą niezadowalające.

Jeśli na końcu niezadowoleni będą także czytelnicy, rewolucja zapoczątkowana przez autorów pożre swoich rodziców.

© MAREK RABIJ

Nie lubimy tańca na grobach

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Śmierć dawnej współpracownicy Jarosława Kaczyńskiego nastąpiła w takich okolicznościach i w takim momencie, że PiS musiał wykorzystać ją politycznie. Ale wielkiej narracji na niej nie zbuduje.

MAMY PIERWSZĄ OFIARĘ ŚMIERTELNĄ działań rządu, jest nią śp. Barbara Skrzypek. Padła ofiarą łotrów, którzy doprowadzili do tej śmierci. Chcę to jasno powiedzieć: oni dzisiaj się próbują bronić, oni dzisiaj próbują straszyć, ale my się nie przestraszymy – te słowa Jarosława Kaczyńskiego, wypowiedziane na wieść o odejściu jego wieloletniej współpracownicy, zapowiadały, że PiS rozpęta w sprawie tej tragedii polityczną burzę. Dlaczego tak się nie stało?

O Barbarze Skrzypek i jej związkach z Kaczyńskim mówiono ostatnio różnie wiele, jak o utracie przewagi Karola Nawrockiego nad trzecim w prezydenckim wyścigu Sławomirem Mentzenem. Współpracowniczka Kaczyńskiego zmarła na zawał serca 15 marca, trzy dni po przesłuchaniu w prokuraturze w sprawie tzw. dwóch wież. Politycy PiS wiązali tę śmierć z przebiegiem przesłuchania, a zwłaszcza z postawą prowadzącej je, znanej z wyrazistych poglądów politycznych prokurator Ewy Wrzosek. Która dodatkowo nie zgodziła się na obecność pełnomocnika Skrzypek.

Smoleńsk: jak opanować trwogę i zjednoczyć elektorat

PiS ma doświadczenie w politycznym eksploatowaniu śmierci. Fundamentalne znaczenie dla obecnego etosu partii ma katastrofa smoleńska, a zwłaszcza teoria o zamachu, czyniąca z Lecha Kaczyńskiego kolejnego narodowego męczennika. Można zakładać, że nie kryła się za tym tylko cyniczna gra – chodziło też o to, by obronić pamięć bliźniaka prezesa PiS przed narracją, jaką krótko po katastrofie usiłował – w reakcji na ro-

dzący się kult – forsować ówczesny poseł PO Janusz Palikot, przekonujący, że to sam Lech Kaczyński ponosi odpowiedzialność za katastrofę.

Kluczowe było jednak znaczenie formacyjne. Służyła mu erupcja miesięcznic, manifestacji i oskarżeń o polityczny mord, formułowanych przez samego Kaczyńskiego, a zwłaszcza przez „kapłana religii smoleńskiej” Antoniego Macierewicza.

– Śmierć jest wykorzystywana w polityce nie od dzisiaj – tłumaczy prof. Michał Bilewicz, psycholog społeczny i autor wydanego w zeszłym roku „Traumalandu”. – Teoria opanowania trwogi mówi, że gdy ludzie myślą o śmierci, bardzo mocno kierują się w stronę grup, zwiększa się ich konformizm, podporządkowują się. To wszystkie mechanizmy, które w przypadku obozu politycznego mogą się opłacać, bo sprzyjają konsolidacji środowiska.

Można było więc oczekiwać, że śmierć Skrzypek też tak będzie eksploatowana. Zwłaszcza że w sympatyzujących z PiS mediach pojawiły się teksty przypominające wcześniejsze zachowania i wypowiedzi prokurator Wrzosek, a także piętnujące błędy podczas przesłuchania. Cytowano opinię rzecznika praw obywatelskich Marcina Wiącka, którego zdaniem niedopuszczenie pełnomocnika było jeśli nie prawnym, to wizerunkowym błędem śledczych. Cytowano wypowiedzi byłej minister sprawiedliwości Barbary Piwnik, piętnującej brak protokola i sposób sporządzenia protokołu. Sama Wrzosek znalazła się pod taką presją (którą wzmogły agresywne wypowiedzi polityków PiS pod jej adresem), że poprosiła o ochronę.

PiS: jak osłabić autorytet prokuratury i ostudzić emocje

Polityków KO to nie dziwiło. – Do tej pory PiS-owi eskalowanie emocji – nawet w najbrzydszy sposób, jak w przypadku katastrofy smoleńskiej – służyło. A skoro ta partia jest w dramatycznej sytuacji, a jej kandydat na prezydenta może nawet nie wejść do drugiej tury, prezes Kaczyński uznał, że sprawa śmierci śp. Barbary Skrzypek może posłużyć do wzmocnienia polaryzacji – tłumaczy senator Krzysztof Kwiatkowski. Dodając, że perspektywa zarzutów prokuratorskich, jaką ma wielu polityków PiS, też może skłaniać do korzystania z każdej okazji, by podważać autorytet śledczych.

Bilewicz z kolei zwraca uwagę, że sprawa Skrzypek mogła posłużyć jako czynnik integrujący PiS wobec kłopotów, jakie ta partia ma z pogodzeniem sympatii wobec Donalda Trumpa z jego prorosyjską polityką. – Mam wrażenie, że wobec ideologicznego rozbicia PiS sposobem na konsolidację może być skupianie się wokół traumy: wokół czegoś emocjonalnego, irracjonalnego, ale spajającego ludzi, którzy w innych sprawach mogą mieć różne poglądy – mówi autor „Traumalandu”.

Jednak w ostatnich dniach emocje zaczęły opadać. Podczas pogrzebu 22 marca w Gorlicach – na którym pojawili się oczywiście wszyscy czołowi politycy PiS, na czele z kandydatem na prezydenta Karolem Nawrockim i prezydentem Andrzejem Dudą – tonacja wypowiedzi Kaczyńskiego się zmieniła. Co prawda wspominał, że „Polską rządzą źli ludzie”, ale położył akcent na zasługach Skrzypek i na tym, że nie udało mu się jej namówić na wizytę u lekarza.

A gdy usiłujący podsycić emocje premier Tusk na portalu X stanął w obronie prokurator Wrzosek, prezes odpowiedział jedynie, że „nie ma sensu psuć sobie niedzieli i zajmować się wpisami powszechnie znanej osoby”, bo „przyjdzie czas na sprawiedliwość i przyjdzie czas na karę”.

Dwie wieże: jak o tym zapomnieć i zacząć mówić o czymś innym

Dlaczego sprawa Barbary Skrzypek może nie być dla PiS „politycznym złotem”? Politolodzy pytani przez „Tygodnik” tłumaczą, że nie ułatwia pozyskiwania nowych wyborców.



DAWID WOLSKI / EAST NEWS

Konferencja prasowa Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry w sprawie śmierci Barbary Skrzypek. Warszawa, 26 marca 2025 r.

– Można ją wykorzystać do jednoczenia żelaznego elektoratu, ale centrowy wyborca raczej tańca na trumnach nie lubi – uważa prof. Maciej Górecki.

Także prof. Ewa Marciniak przyznaje, że tzw. twardy elektorat PiS i tak się identyfikuje z partyjną narracją – tyle że w sytuacji, gdy Nawrockiemu depcze po piętach Mentzen, stawianie tylko na twardy elektorat może być ryzykowne.

Dr hab. Olgierd Annusewicz zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt sprawy: – Im bardziej PiS będzie eksploatował tę historię, tym bardziej opinia publiczna, także ta część niezdeterminowana, będzie pogłębiała znajomość historii dwóch wień, o której większość zdążyła zapomnieć.

Jeśli PiS chciałby na tej sytuacji zyskać coś w innym niż twardy elektoracie, dodaje Ewa Marciniak, powinien np. pokazać, w jaki sposób pomaga rodzinie zmarłej.

Posel PiS Zbigniew Kuźmiuk oczywiście zaprzecza, że jego partia chciała grać politycznie tą śmiercią. – W sprawie pani Barbary Skrzypek musieliśmy zareagować, bo naszym zdaniem związek mię-

dzy brutalnym przesłuchaniem a śmiercią mógł być, choć o dowody będzie trudno. Skoro po jednej stronie były trzy osoby zaangażowane politycznie wobec niedoświadczonyj osoby bez pełnomocnika, to było to brutalne przesłuchanie – ocenia. – Nie ulega wątpliwości, że nie mogliśmy tego zostawić. Jeżeli umiera człowiek, a związek ze śmiercią mają ludzie, którzy nienawidzą naszego środowiska, przynajmniej musieliśmy wykrzyczeć to publicznie.

Adamowicz, Szczęsny, Filiks, Rosiak: jak nie przegrzać

Faktem jest też, że choć każdy przypadek politycznej śmierci w ostatnich latach był inny, prowadzone wokół nich gry polityczne nie przynosiły na dłuższą metę sukcesu. Katastrofa smoleńska z uwagi na swój kaliber miała nieco inny charakter – tym niemniej PiS przed każdymi wyborami unikał epatowania jej tematem. Z kolei np. zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza w styczniu 2019 r. przez człowieka deklarującego „nienawiść do PO” nie zaszkodziło

w ogromnym zwycięstwie PiS w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Co prawda tuż po sukcesie wyborczym w 2023 r. przedstawiciele koalicji rządzącej przywoływali polityczne śmierci jako rodzaj zobowiązania moralnego – Donald Tusk cytował w *exposé* list Piotra Szczęsnego, który dokonał samospalenia w proteście przeciw rządowi PiS w 2017 r., a minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz śmierciami Adamowicza i syna posłanki Magdaleny Filiks – jako zawinionymi przez PiS-owskie media publiczne – uzasadniał gwałtowność przeprowadzenia w grudniu 2023 r. zmian w tychże mediach. Ale i wtedy pojawiły się zarzuty o granie trumnami.

Wszystko to ma związek z eskalacją podziałów i związanych z nimi emocji, co dobrze pokazuje inny przypadek zabójstwa z polityką w tle – zastrzelenie Marka Rosiaka, asystenta europosła PiS Janusza Wojciechowskiego, przez zaburzonego psychicznie taksówkarza jesienią 2010 r. Z dzisiejszej perspektywy stopień wykorzystania tamtej śmierci jako politycznego paliwa wydaje się umiarkowany. W przemówieniu na pogrzebie Wojciechowski nie atakował polityków PO, choć faktem jest też, że podczas mszy żałobnej Jarosław Kaczyński i prezydent Bronisław Komorowski nie podali sobie rąk na znak pokoju.

Sondaże: jak to widzą Polacy

Niską skuteczność politycznego eksploataowania śmierci potwierdzają sondaże. Według niedawnego badania „Rzeczpospolitej” i SW Research aż 40,5 proc. Polaków jest przekonanych, że koalicja rządząca nie ponosi odpowiedzialności za śmierć Barbary Skrzypek, a tylko 22,1 proc. respondentów stwierdziło, że jednak ponosi. 23,1 proc. nie miało w tej sprawie swej opinii.

Stąd, zdaniem Olgierda Annusewicza, w dłuższej perspektywie sprawa śmierci Barbary Skrzypek nie będzie eksploatowana, a jej potencjał wyborczy jest niewielki. – Gdy na pogrzebie pojawia się kandydat na prezydenta, ma to oczywiście kontekst polityczny, ale krótkotrwały i bez większego wpływu. Można tym grać, ale do pewnego stopnia, bo łatwo pojawia się zarzut żerowania na śmierci. Zakładam więc, że to za chwilę zostanie wyciszone – mówi politolog.

©P



SHUTTERSTOCK

Jak chcesz

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

„Śmierć cywilna”, jak zwie się całkowite ubezwłasnowolnienie, dotyczy już niemal 150 tys. Polaków: starych, chorych, niepełnosprawnych. Rząd chce znieść to narzędzie, uznając je za relikw i pole do nadużyć. Jakie będą tego konsekwencje?

TOMEK, 19-LATEK Z WARSZAWY, nie powie w tym reportażu ani słowa. Mogłbym spróbować z nim porozmawiać, w końcu miewa kontakt z bliskimi. Tyle że w ten sposób mogłbym tylko pogorszyć jego stan. Np. powiększyć lęk. Albo wywołać atak autoagresji.

O historii Tomka opowie jego mama, Anna (oba imiona, ze względu na szczególność życia 19-latka, zostały zmienione). I to w czasie łączenia online, bo wizyta kogoś obcego w ich domu też mogłaby wyrządzić emocjonalne szkody.

Decyzja na życie

Kiedy jest mały, rodzice zauważają, że ma problemy w porozumiewaniu się z otoczeniem. I w przyswajaniu nowych rzeczy. Gdy ma pięć lat, przestaje mówić poza domem. Diagnoza: spektrum autyzmu. Chodzi do przedszkola integracyjnego, potem do szkoły terapeutycznej, następnie do specjalnej. Rodzice wciąż mają nadzieję, że jego stan się poprawi.

Ale gdy ma lat 15, lekarze stawiają kolejną diagnozę: schizofrenia. – Połączenie tej choroby ze spektrum autyzmu jest niestety nierzadkim wariantem – opowiada mi pani Anna, z zawodu psycholożka. – Tomek mieści się w intelektualnej normie, choć funkcjonuje jak osoba poniżej tej normy, bo nie komunikuje się praktycznie ze światem. Jeśli coś mówi, to pojedynczymi słowami, i tylko w zakresie tych rzeczy, które go interesują, np. jedzenia. Poza tym nie wychodzi z domu, a najchętniej nawet z pokoju. Nie dba o higienę. Miewa ataki psychozy, które zagrażają i jemu, i innym.

Nierzadko łąduje w związku z tym w szpitalu psychiatrycznym na przymusowym leczeniu. Bywa, że na oddziale dostaje ataku agresji. Raz wyrwa z furtki drzwi. Niebezpieczne zachowania miewa też w domu. – Raz widział coś, czego inni nie dostrzegali – opowiada jego mama. – Tak się tego bał, że chciał so-

bie zrobić krzywdę ciężkim narzędziem. Przyjechało pogotowie, ale nie dali sobie rady. Potem policja, która eskortowała go w drodze do szpitala. To są dla nas, ale przede wszystkim dla niego, zawsze dramatyczne i traumatyczne doświadczenia. Po tamtej sytuacji syn wrócił do domu, był wyciszony, spokojny. Ale w pewnej chwili zapukali do drzwi policjanci i powiedzieli, że z tego adresu był telefon. Z informacją, że ktoś w rodzinie planuje zrobić krzywdę innym... Potem konsultacje, kolejne pobyty w szpitalu. Ostatni taki pobyt zakończył się, gdy Tomek miał 17 lat. Mniej więcej wtedy pomyślałam, że on niedługo będzie pełnoletni i zyska pełnię praw. Tyle że nie będzie w stanie świadomie podjąć żadnej decyzji i załatwić się o swoje sprawy. Np. zdrowotne i urzędowe.

Gdy Tomasz ma 18 lat i nie jest jeszcze ubezwłasnowolniony, lekarze chcą wykonać mu ważny zabieg chirurgiczny. – Szukał ulgi, ale nie rozumiał, że tylko zabieg może tę ulgę przynieść – opowiada pani Anna. – Nie rozumiał też, jakie skutki może mieć zaniechanie zabiegu. Po wielu wyjaśnieniach skinął głową na zgodę, ale okazało się, że podpisując dokument, posłużył się... fikcyjnymi danymi. Często tak robił, wybierając nazwisko pochodzące od czegoś, co lubił – np. Śmietankowolodowski – albo

historyczne, np. Car Mikołaj. Lekarze takiego podpisu oczywiście nie uznali, więc trzeba było odstąpić od zabiegu. To nas utwierdziło w decyzji o ubezwłasnowolnieniu.

– Mieliście państwo wątpliwości? – pytam panią Annę.

– Oczywiście, wszyscy rodzice ją mają.

– Dlaczego?

– Bo to decyzja na całe życie. Bo to jest odebranie człowiekowi, własnemu dziecku, wszystkich praw. No i zostaje w papierach, a przecież nigdy nie wiadomo, czy stan naszego dziecka się nie poprawi.

– Prawo na razie pozostaje niezmiennie, ale dokonują się zmiany mentalne – mówi Jarosław Jagura, prawnik Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – Kiedyś te decyzje bliscy osób starszych, chorych lub niepełnosprawnych podejmowali automatycznie, teraz towarzyszą im często skrupuły. „Nie mogę tego zrobić tacie” – mówią, a jeśli to później robią, to z absolutnej konieczności.

Taka konieczność zaszła w przypadku pani Anny i jej syna. Ale według ekspertów dalece nie wszystkie polskie ubezwłasnowolnienia są konieczne.

Wola ojca

Co roku przybywa niemal 10 tysięcy nowych „śmierci cywilnych”. Co prawda nasze prawo przewiduje dwa stopnie ubezwłasnowolnienia – częściowe i całkowite – ale te pierwsze stanowią mniej niż 10 proc. wszystkich. Np. w 2023 r. orzeczono 9403 ubezwłasnowolnienia całkowite, a tylko 602 częściowe. Jak podawał niedawno portal niepełnosprawni.pl, w Polsce może być nawet 150 tys. osób pozbawionych cywilnych praw.

Kim są? Co łączy 80-latkę z chorobą Alzheimera, który przestał rozpoznawać własne dzieci, z 50-latką po ciężkim wylewie w śpiączce i – jak w przypadku Tomka – 19-latką w spektrum autyzmu i ostrym kryzysie psychicznym? Głównie to, że w którymś momencie ktoś z ich bliskich – najczęściej w jak najlepszych intencjach – uznał ich za niezdolnych do podejmowania ważnych decyzji. Albo przestraszył się, że podejmą decyzje złe – zagrażające im samym lub innym. A później rozpoczął znużającą procedurę, na której końcu jest w większości przypadków całkowite pozbawienie zdolności do czynności prawnych.

Czego nie mogą zrobić ubezwłasnowolnieni? Kupić samochodu na raty. Ożenić się. Podjąć pracy. Zagłosować na ulubioną partię. Wziąć kredytu. Cywilnie nie istnieją, a ubezwłasnowolnienie bardzo trudno odwrócić.

– Ta instytucja to klasyczny przykład XX-wiecznego myślenia o prawach osób z niepełnosprawnościami (OzN). Pochodzi z czasów, gdy osoby te nie miały nawet udziału w życiu społecznym. Wtedy to narzędzie było może najprostszym rozwiązaniem, teraz jest szkodliwym anachronizmem – komentuje w rozmowie z „Tygodnikiem” koordynująca prace nad reformą przepisów w tym zakresie Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, wiceministra sprawiedliwości, a wcześniej działaczka na rzecz praw człowieka.

Jarosław Jagura, prawnik HFPC, mówi o skutkach ubezwłasnowolnień: – Bywa, że taka osoba po prostu znika jako podmiot wsparcia, w związku z czym potęguje się jej zamykanie na świat. Bywa też, że opiekun prawny po decyzji o ubezwłasnowolnieniu umieszcza bliskiego w DPS-ie.

W 2016 r. (wówczas całkowicie pozbawionych praw było w Polsce ok. 70 tys. osób, a więc o połowę mniej niż dziś) opisaliśmy historię młodego mężczyzny z niepełnosprawnością intelektualną, którego ojciec – po śmierci żony – ubezwłasnowolnił, a później umieścił w DPS-ie. Zarówno sam zainteresowany w rozmowie z reporterem „TP”, jak i jego bliscy deklarowali, że mężczyzna nie chce być w placówce, a ojciec umieścił go tam wbrew jego woli. „Sytuacja ta wynika z – mówiąc eufemistycznie – niedoskonałości polskiego prawa, stwierdzonych zresztą już zarówno przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, jak i (...) przez Trybunał Konstytucyjny. Chodzi głównie o brak dostępności do jakichkolwiek instancji odwoławczych osób całkowicie ubezwłasnowolnionych, które zostały – na wniosek swoich opiekunów – umieszczone w domach pomocy społecznej” – komentował prawnik HFPC Marcin Szwed.

Katalog nadużyć jest szerszy. – Obserwowałem z bliska sprawy, przy których nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że głównym celem starań o ubezwłasnowolnienie jest przejęcie emerytury, renty albo zabezpieczenia majątku na przyszłość – mówi Jarosław Jagura.

Dlaczego przez dekady III RP żadnemu rządowi nie udało się znieść ubezwłasnowolnienia? – To funkcja naszego ogólnego zapóźnienia, jeśli idzie o prawa osób z niepełnosprawnościami. To nigdy nie było priorytetem dla żadnej władzy – komentuje prawnik HFPC. I dodaje: – Było już jedno podejście do reformy, w 2010 r. Zakończyło się niepowodzeniem, być może dlatego, że nie jest łatwo napisać w tej sprawie dobre przepisy.

Kolejną taką próbę podejmuje obecny rząd.

Wsparcie w decyzji

– Istotą zmiany, którą szykujemy w ministerstwie, jest dostrzeżenie bardzo różnych sytuacji, w jakich znajdują się osoby z niepełnosprawnościami, cierpiące na choroby neurodegeneracyjne, a także będące w kryzysie psychicznym – tłumaczy wiceministra Zuzanna Rudzińska-Bluszcz. – Instytucja ubezwłasnowolnienia jest zero-jedynkowa, czarno-biała: albo masz zdolność do czynności prawnych, albo nie. Nowe przepisy pozwolą dostrzec wszelkie odcienie szarości, a polskie państwo będzie wspierać potrzebujące osoby w tym, żeby mogły w każdej ważnej sprawie wyrazić swoją wolę.

Projekt, który jest już po pierwszej rundzie konsultacji społecznych, a którego uchwalenie resort zapowiada jeszcze na ten rok, wprowadza w miejsce ubezwłasnowolnienia mechanizm tzw. wspieranego podejmowania decyzji. I przewiduje dwa rodzaje kuratel: wspierającą i reprezentującą. Ta pierwsza – zgodnie z nazwą – będzie przeznaczona dla osób potrzebujących wyłącznie pomocy w podjęciu decyzji. Tu osoba z niepełnosprawnością albo chora zachowa pełną decyzyjną autonomię. Dla przypadków wymagających wsparcia bardziej intensywnego przewidziany jest kurator reprezentujący – będzie działał w imieniu osoby wspieranej lub za jego zgodą będzie można dokonać czynności prawnych.

– Przy czym to sąd będzie też decydował zarówno o rodzaju kurateli, jak i, co ważne, o zakresie wsparcia lub reprezentacji – zaznacza Rudzińska-Bluszcz. – Wyobraźmy sobie np. osobę ciężko uzależnioną od hazardu. Nie straci ona, jak mogło się zdarzyć zgodnie z obecnymi przepisami, pełni praw, a jedynie prawo do zawierania transakcji powyżej danej kwoty. Inny przykład: choroba →

→ Alzheimer. W jednym roku, gdy schorzenie jest jeszcze w stosunkowo łagodnej fazie, sąd ustanowi kuratora wspierającego. Po kilku latach – ale tylko w przypadku zaawansowania choroby – zostanie przydzielony kurator reprezentujący.

Zapowiedzi tych zmian wywołały niepokój u opiekunów osób ubezwłasnowolnionych. – U mnie początkowo również, bo gdy przyszła informacja o nich, właśnie dostaliśmy wyczekiwaną decyzję o ubezwłasnowolnieniu. Baliśmy się, że po zniesieniu tego narzędzia syn straci wsparcie i nie będziemy nawet w stanie pójść z nim do lekarza – przyznaje pani Anna, matka Tomasza. – Dziś, po przeczytaniu projektu, moje obawy są mniejsze. Ale wielu opiekunów może nie mieć nadal, bo wprowadzaniu zmian nie towarzyszy, niestety, skuteczna kampania informacyjna.

– Ta ustawa nikogo nie pozostawi bez opieki, bo są przewidziane przepisy przejściowe, które spowodują, że opiekun prawny osoby ubezwłasnowolnionej stanie się tymczasowym kuratorem reprezentującym – zaznacza wiceministra Zuzanna Rudzińska-Bluszcz. – I nikt nie będzie odsuwał od osób potrzebujących rodzin, które zwykle najlepiej wiedzą, czego potrzebuje ich bliski. W ustawie przewidzieliśmy oczywiście także istnienie najcięższych przypadków, w których jakiegokolwiek wyrażenie woli jest niemożliwe. Kurator reprezentujący otrzyma od sądu pełen zakres decyzji w imieniu osoby będącej np. w śpiączce.

Ale i tu pojawiają się obawy – tym razem nie ze strony opiekunów, ale prawników i działaczy na rzecz obrony praw człowieka. – Te przepisy idą w dobrym kierunku, ale instytucja kuratora reprezentującego nie przewiduje, moim zdaniem, wystarczających zabezpieczeń, dzięki którym uzyskamy pewność, że faktycznie tylko w wyjątkowych sytuacjach dana osoba nie będzie mogła wyrazić własnej woli – mówi Jarosław Jagura. – Oba-

Jak sprawić, by nowe prawo nie powieliło błędu starego,

w którym „wyjątki”
urośli do 90 procent
wszystkich przypadków?

wiam się, że z czasem nowe prawo powieli wady starego: „wyjątki” urosną do skali 90 proc. wszystkich przypadków.

Podobnymi obawami dzielił się rzecznik praw obywatelskich. Prof. Marcin Wiącek wskazywał m.in. na ryzyko, „że zamiast wnikliwej oceny (...) wymaganego wsparcia oraz woli i preferencji osoby z niepełnosprawnością, zakres działań kuratora będzie obejmował wszelkie sprawy, bo takie rozstrzygnięcie będzie dla sądu szybsze i łatwiejsze”.

Na te obawy Zuzanna Rudzińska-Bluszcz odpowiada tak: – Oczywiście, każde prawo musi być świadomie stosowane. Dlatego tak ważne będą szkolenia dla przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, m.in. przeprowadzane przez Krajową Szkołę Sądownictwa i Prokuratury. Decyzje oparte na nowych przepisach będą wymagały sędziowskiej wiedzy o nowych rozwiązaniach i wrażliwości – mówi wiceministra i dodaje: – Nawet orzeczeniom o przydzieleniu kuratora reprezentującego w pełnym zakresie spraw będzie towarzyszyć bezpiecznik. Najbardziej raz na pięć lat sąd będzie sprawdzał i decydował, czy poziom wsparcia, jaki został ustanowiony, jest odpowiedni, i czy kurator dobrze wykonuje zadania.

Czekamy na więcej

Pani Anna, mama Tomka, ma nadzieję, że przez okres przejściowy obowiązywania nowego prawa w życiu jej rodziny po prostu niewiele się zmieni i że to ona wraz z mężem nadal będzie podejmowała

w imieniu syna decyzje, których on podjąć nie jest w stanie. – W takich sytuacjach zawsze bierzemy pod uwagę preferencje Tomka – zaznacza kobieta i dodaje: – Gdy okres przejściowy minie, a sąd dookreśli, jaki ma być zakres reprezentacji, wyobrażam sobie sytuację, że syn podejmuje sam niektóre decyzje, np. te o większych zakupach, o udziale w wyborach czy o zatrudnieniu się, jeśli będzie w stanie pracować. Bo to nie jest tak, że moje dziecko nie wyraża na co dzień woli. Raz np. jeden ze szpitalnych lekarzy wzbudził jego zaufanie i po powrocie do domu Tomek pokazał nam go w internecie, wyraźnie życząc sobie kontaktów właśnie z nim.

– Generalnie zmianę uważam za dobrą – dodaje pani Anna. – Ubezwłasnowolnienie bywa krzywdzące, może też być opresyjne. I szkodliwe, nawet przy najlepszych intencjach rodziny. Np. rodzic niepełnosprawnego intelektualnie człowieka przez lata przyzwyczajają się do myśli, że jego dziecko nie jest zdolne do żadnej decyzji, choć niektóre byłoby w stanie podejmować. Nowe prawo wygląda na lepsze do takich sytuacji przystosowane.

O ile wejście w życie, bo zwolennicy zmian spodziewają się oporu. Nie politycznego – jak np. w sprawie związków partnerskich – bo proponowane przez resort sprawiedliwości nowe porządki nie mają światopoglądowego ładunku. – Już prędzej ze strony środowiska prawniczego, którego część stoi twardo za starą wykładnią, że ubezwłasnowolnienie to „instytucja w najlepszym interesie niepełnosprawnych” – wieszczy Jarosław Jagura.

Nie zabraknie też pewnie sprzeciwu ze strony opiekunów OzN. A także głosów ekspertów, że wysłanie ubezwłasnowolnienia do lamusa to dopiero pierwszy krok w kierunku podmiotowości OzN. Kolejnym powinno być wprowadzenie obiecanej od dawna asystencji osobistej – darmowej pomocy dla osób z najcięższymi niepełnosprawnościami, by mogły toczyć niezależne życie zawodowe i prywatne.

– Jestem zwolenniczką tego rozwiązania, choć nie leży ono w gestii naszego resortu – deklaruje wiceministra Zuzanna Rudzińska-Bluszcz. – Mamy starzejące się społeczeństwo, za jakiś czas 40 proc. z nas będzie seniorami, coraz więcej też będzie osób wymagających mądrego i nowoczesnego wsparcia. Jeśli o tym dzisiaj nie pomyślimy, przegramy tę bitwę.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie | Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 327/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiktorii Gajdzie, córce Wojciecha i Józefy, zmarłej 14 lipca 2007 r. w Warszawie i ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Geodetów 8.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OLGA

Drenda: Królewna Śnieżka i polskie wróżby



NIE JESTEM MIŁOŚNICZKĄ POSZUKIWANIA prostych i bezpośrednich analogii historycznych. Zdam sobie sprawę, że nie da się ich uniknąć i że bywają przydatne (liczba możliwych scenariuszy zdarzeń jest zapewne skończona), ale natychmiastową podejrzliwość budzi we mnie ich łatwa uroda. To siła oddziaływania

trafiająca zapewne w arcyludzką skłonność do dostrzegania, często na wyrost, wzorów właściwych dla tzw. magii sympatycznej, zgodnie z którą „podobne czyni podobne”. I zapewne trafia również do tych, którzy chcieliby wierzyć, że potrafią przewidywać przyszłość.

A zatem, zgodnie z takim wzorcem, skoro znów żyjemy w latach dwudziestych (jak to dobrze mieć prawdziwą nazwę na swoją dekadę), to analogie z dwudziestoleciem międzywojennym podpowiadają się same – światowa pandemia, przyspieszenie rozwoju technologii i automatyzacja, wielki powrót megalomanii i mocarstwowej retoryki w polityce. Nawet prastare choroby zakaźne, pasujące bardziej do czasów, gdy na dzieci mówiono „nieszczęsna dziatwa”, a w sklepach zalecano „żądać koniecznie”, postanowiły przypomnieć o sobie. Tylko jazzu brak. Oczywiście, to raczej zabawa analogiami, choć podejrzewam, że całkiem niemała grupa ludzi może traktować takie zbieżności jak prorocstwo.

Pod
grzybami
nasze budki



OLGA DRENDA

Sama w takich przypadkach wybieram sceptycyzm i wiem, że bywam nawet skłonna do przesady w przekonaniu, że „nic dwa razy się nie zdarza”, wolę odrzucić jakieś podobieństwo z zasady, niż dać się porwać pasji poszukiwania skrytych prawideł świata. Wszystkiemu, co uwodzicielskie, mówię „nie”. Wolę zachować ostrożność wobec ryzyka zapatrzenia się w niewłaściwą stronę, zmylenia tropów, stania się jak w porzekadle – generałem, który przygotowuje się do już zakończonej wojny. Ale zdarzają się mimo to ciekawe drobiazgi, które muszą, koniec końców, zainteresować tak zajadłą sceptyczkę jak ja.

Np. „Królewna Śnieżka”. Klasyczna ekranizacja tej baśni, pierwsza pełnometrażowa animacja Walta Disneya, była olbrzymim przedsięwzięciem, jednak wysiłek się opłacił: dzięki niemu otworzyła się nowa era w kinie, era wielkich produkcji rysunkowych. Filmowi towarzyszyła również cała maszyneria marketingowa, która nie ominęła ówczesnej Rzeczypospolitej. Powstał polski dubbing, Syrena-Electro wydała płytę ze ścieżką dźwiękową, a za ilustrowaną książeczkę w twardej oprawie odpowiadała Irena Tuwim, współpracownica „Gazetki Miki” wychodzącej na oficjalnej licencji Disneya. Film miał premierę w 1937 r., wkrótce wybuchła wojna, a fotograf Julien Bryan uchwycił dzieci czytające „Gazetkę Miki” w ruinach zbombardowanej Warszawy. „Królewnę Śnieżkę” miał uwielbiać pewien austriacki malarz; podobno w ramach odpoczynku od popełniania zbrodni lubił rysować krasnoludki.

Teraz w kinach pojawiła się nowa wersja „Śnieżki”, chyba od początku skazana na klęskę. Pierwsze jaskółki kazały podejrzewać, że może powstać produkcja na siłę unowocześniona kosztem jakości. Produkcja stawiała się coraz bardziej mimowolnie polityczna, co dla tak dbającej o swój koncyliacyjny i grzeczny wizerunek firmy jak Disney musiało być co najmniej kłopotliwe. Na domiar złego, chcąc uniknąć potencjalnego urażenia jakiegokolwiek grupy, krasnoludki wygenerowano komputerowo, z efektem przykrym dla oczu i niebezpiecznie bliskim do liny niesamowitości. Ale może ta klątwa – gdy już myślimy o historycznych podobieństwach – to dla świata szczęśliwa wróżba, klęska „Śnieżki” przyniesie pokój, a filmu nie pokocha żaden dyktator (skoro i tak nie podoba się prawie nikomu)?

To pół żartem, pół serio. Bo też o „Królewnie Śnieżce” myślę zawsze w określonym kontekście. Reedycja książeczki Ireny Tuwim trafiła do mnie jako podarunek po śmierci bliskiej osoby. Wyglądała podobnie do oryginału, lecz nosiła datę 1948. Przedstawicielstwa firmy Disney w ówczesnej Polsce Ludowej już być nie mogło, istniał za to – jeszcze przez chwilę – prywatny obieg wydawniczy, dzięki czemu powstał ten *de facto* piracki reprint. Pewne bystre dziecko musiało się w nim dawno temu zaczytywać w naszej niedosłej stolicy – Łodzi. A więc może i to wróżba, że za jakiś czas Polska może być inna i o kształcie jeszcze nam nieznanym, ale będziemy sobie w niej radzić. ©

Olga Drenda jest etnologką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

NIE PATRZ W GÓRĘ

„Urodziłaś się i przyszła wiosna”, mówiła moja matka.

Wróciła ze mną ze szpitala w końcówce lutego, wkrótce potem dni zrobiły się dłuższe i można było suszyć pranie na słońcu.

JULIA FIEDORCZUK

PAMIĘTAM WIELKIE, JASNE, ZIMOWE niebo. Słońce i mróz połączone w jedno. Po południu kolor nieba zmieniał się z intensywnie niebieskiego na fioletowy, ognista kula powoli opadała za horyzont, wlokąc za sobą świetlny spektakl nieba jak obrus ściągnięty ze stołu. Następował niewralgiczny moment: szczególny „Ukos światła Zimą po Południu” zsyłał „Niebiańską Ranę”, ale tych fraz z wiersza Emily Dickinson (tu w tłumaczeniu Krystyny Lenkowskiej) wtedy jeszcze nie znałam.

Szara godzina otwierała we mnie jakąś szczelinę, budziła pierwszy, nieforemny lęk, dlatego cieszyłam się, kiedy zapalał się światło i dzień wprowadzał się do środka. W małym, przysypanym śniegiem domu, ciepło biło od pieca. Wieczór płynął powoli, żar prześwitywał między kafelkami, chwilowo byliśmy bezpieczni.

Że nie zawsze tak będzie, że kiedyś przestanę być dzieckiem, znikną moi rodzice i tamten dom, że odejdą nawet trudne, śnieżne zimy – tego wtedy nie dało się pomyśleć. Moje myślenie zostawało zresztą na zewnątrz, między drzewami, których bezlistne sylwetki kołysały się w oknie podobne trochę do ludzi.

Mleko i śpiew

„Urodziłaś się i przyszła wiosna”, mówiła moja matka. Wróciła ze mną ze

szpitala w końcówce lutego, wkrótce potem dni zrobiły się dłuższe i można było suszyć pranie na słońcu. Wydaje mi się, że to pamiętam, ale to niemożliwe. Obrazy, które mam w głowie, musiały powstać na podstawie słów matki i tego, co widać na jednym czarno-białym zdjęciu: leżymy na kocu na trawie, kwitnie powój polny.

Mama powtarzała, że po porodzie szybko zapomina się cały ten ból, stąd wiedziałam, że musiał być potworny. Miała po nim czerwoną plamkę na skraju powieki, już zawsze. Na zdjęciu uśmiecha się do mojego ojca i to z pewnością nie marzec, tylko maj lub czerwiec. Już nie trzeba palić w piecu, warzywa rosną w ogródku, pranie szybko schnie, „dopóki dziecko udaje się karmić piersią, odpada cała ta robota z wyparzaniem butelek”. Znacznie później przeczytałam gdzieś, że ludzka mowa, a zatem także nasza skłonność do śpiewu i rymowania, przynajmniej w jakimś stopniu wynika z naszej ssacej anatomii: poezji nie da się oddzielić od mleka.

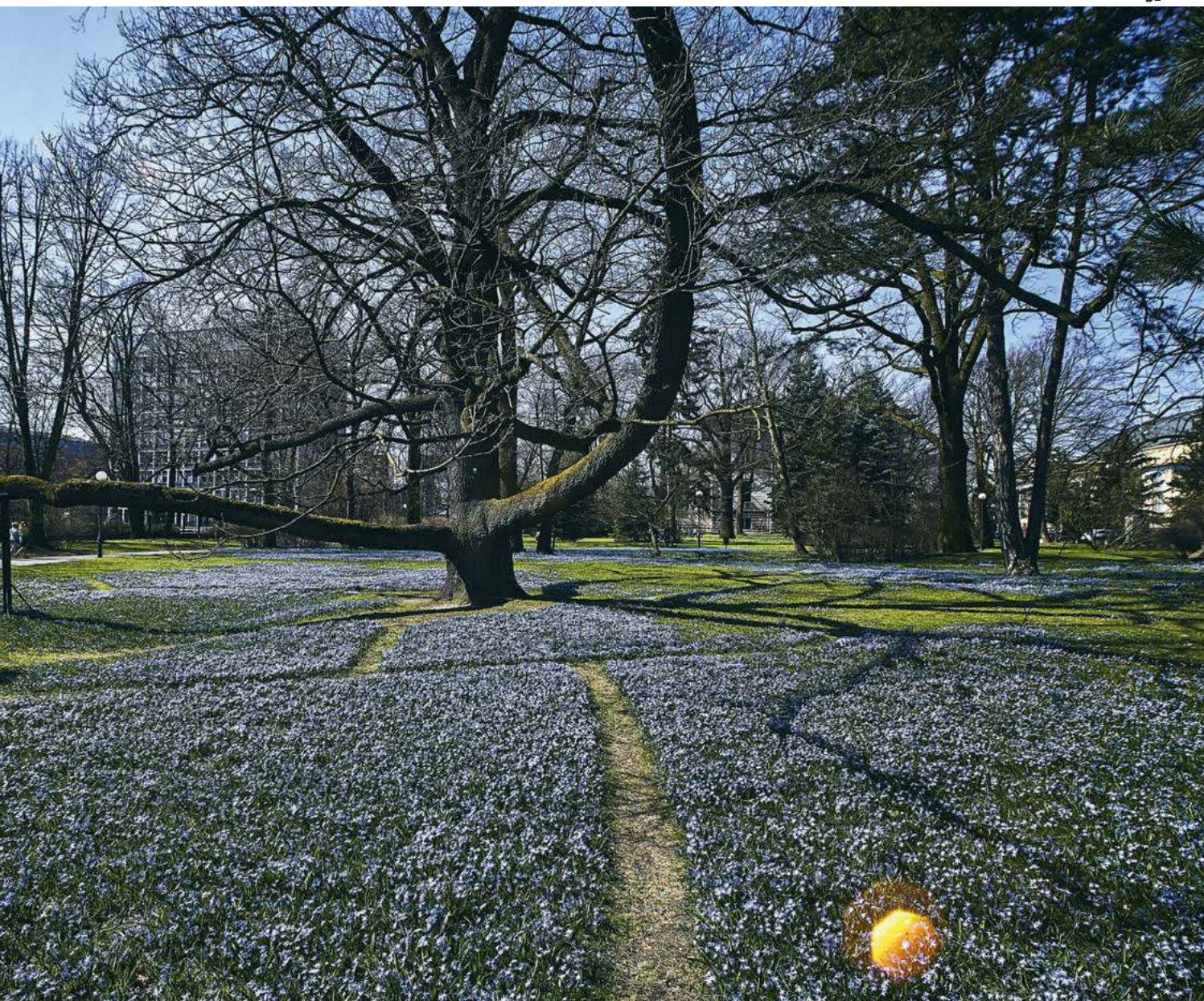
Hipokamp, część mózgu odpowiedzialna za konsolidację pamięci, kształtem przypomina konika morskiego, stąd nazwa. *Hippocampus* to zbitkę greckich słów: koń i potwór morski. U koników morskich występuje nieczęste w przyrodzie zjawisko męskiej ciąży: to samiec



TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

nosi młode wewnątrz ciała i wydaje je na świat. Hipokamp przekształca ulotne wspomnienia w pamięć długotrwałą; norweska psychobiolożka Ylva Østby porównuje ten proces do ciąży.

Najgłębsze wspomnienia składają się z wielu warstw i ewoluują przez całe nasze życie. Za każdym razem, kiedy wydobywamy z pamięci obraz, coś dodajemy, coś odejmujemy. Szlifujemy naszą opowieść tak długo, jak długo pozostajemy sobą – dopóki tli się światło świadomości. Można to powiedzieć inaczej: ziarenko piasku dostaje się do wnętrza muszli, małż zaczyna wydzielać aragonit i stopniowo pokrywa obce ciało kolej-



W parku Klepacza w Łodzi, kwiecień 2018 r.

nymi warstwami masy perłowej, zwanej też macią.

Wielkie pytanie

Z perspektywy wiosny nieuchronność kolejnej jesieni i zimy wydawała się przesadzona. Pora roku następująca po moich urodzinach zawierała w sobie zresztą kilka różnych pór. Szczególnie ważny sezon następował pomiędzy topnieniem śniegu a początkiem wegetacji. Odsłonięta ziemia, tylko z pozoru spokojna, z bliska wręcz buzowała od drobnego życia.

Długie godziny spędzałam włączając się po polach i grzebiąc patykiem w ziemi.

Nauczyłam się wtedy, że w przyrodzie nie ma pustki, życie próbuje wypełnić każdą niszę. Poszczególne formy istnienia ulegają rozpadowi, ale z rozpadu od razu powstaje coś nowego. Nauczyłam się, że wszystko ze wszystkim się łączy. Docierało do mnie, że również ja – ale czym jest to *ja*? – jestem częścią tych nieustannie zachodzących procesów. Budziło się wielkie pytanie, odzywał się niepokój, ale przede wszystkim ciekawość: co to wszystko znaczy i jak to możliwe, że jestem, biegnę, widzę.

Nie jesień, a właśnie przedwiośnie było tą szczególną porą, kiedy śmierć wychodziła z ukrycia i wykonywała swoją pracę

całkiem na widoku. W pełnym słońcu rozprawiała się z resztkami zeszłorocznych roślin, truchelkami owadów i gryzoni. Była wszechobecna, lecz nie „terminalna”. To ostatnie określenie pożyczam od chilijskiej artystki Cecillii Vicuñii.

Vicuña, którą reżim Pinocheta w latach 70. ubiegłego wieku zmusił do opuszczenia kraju, mówi o dwóch rodzajach śmierci: tej stale nam towarzyszącej, która jest nauczycielką i każe doceniać wagę każdej chwili, i tej drugiej, wynalezionej przez ludzi, niszczącej wszystko i na zawsze. Działanie tej drugiej śmierci Vicuña widziała we własnym kraju – ból, którego wtedy doświadczyła, pozostał →

→ w niej na zawsze. Jej kruche, poetyckie prace oplakują tamtą utratę, jak i nieodwracalne zniszczenia dokonujące się teraz, w wielu miejscach na ziemi, w imię nienasyconej pazerności niektórych ludzi.

Znali tę drugą śmierć również moi rodzice, dlatego matka od czasu do czasu powtarzała swoje jedyne zaklęcie: „żeby tylko wojny nie było...”.

Ziemia i ciało

„Pamiętajcie, że ciemność jest waszym domem, w niej mieszkacie” – Ursula Le Guin adresowała te słowa do kobiet. To właśnie w ciemności wykluwa się przyszłość. Ciemność może oznaczać to, co nieznanne, kojarzyć się z intuicją czy nieświadomością, ale chodzi też po prostu o ciemność ziemi i ciała. „Nic nie zabije krzaku jeżyny”, mówi jedna z bohaterek „Ziemiomorza”, porównując moc niepozornej, ale silnie ukorzenionej rośliny z bardziej spektakularną, ale mniej odporną mocą strzelistego drzewa.

Poszukując nadziei, czemu patrzymy do góry, zamiast spojrzeć w dół? Le Guin zadawała to pytanie kilka razy, między innymi podczas wystąpienia w Mills College w 1983 r. Już wtedy mówiła o zmilitaryzowanym, zaśmieconym niebie. Lęk przed tym, że jakieś zagrożenie może nadejść z góry, musiałam jako dziecko przejąć od matki, tak czy inaczej lubiłam patrzeć wszędzie, ale do ziemi było dziecku bliżej.

Większość istniejących obecnie gatunków organizmów bytuje właśnie w glebie. Nie są spektakularne, ale w znacznej mierze to one podtrzymują życie na ziemi. „I tak jak człowiek nie byłby człowiekiem, gdyby nie było w nim układu połączonych żył, tak i nie mógłby żyć bez pozostałych stworzeń”, pisała Hildegarda z Bingen. Ciekawe, że użyła akurat takiej metafory, łatwej do odczytania w kontekście współczesnej ekologii i jej nacisku na połączenia między elementami ekosystemów.

Szóste wielkie wymieranie, czyli postępująca w bezprecedensowym tempie zagłada form życia, może w końcu zagrozić i naszemu przetrwaniu. To nieodwracalny proces, „śmierć terminalna”, o której mówi Vicuña. „Ziemia i niebo płaczą z powodu człowieka” – pisała Hildegarda.

Że nie da się żyć bez innych stworzeń, to fakt biologiczny, którego prawie ni-

Wiosną rośliny i zwierzęta próbują żyć i zajmować się swoimi sprawami na marginesach ludzkiego świata.

Kiedy im przestanie się to udawać, to nam też.

komu nie trzeba już tłumaczyć. Ale ten fakt ma także konsekwencje psychologiczne i duchowe. Dzień po dniu tracimy naszych ewolucyjnych towarzyszy. Znikają organizmy, a wraz z nimi formy ich percepcji i wszystko to, co wnoszą do wspólnego świata. Kurczą się przestrzenie dzikości. Ubożeją również ludzkie zmysły, zanika różnorodność sposobów poznania, wymierają języki, praktyki bycia w świecie. A przecież jesteśmy tym, kim jesteśmy w wyniku niezliczonych interakcji – czy może intra-akcji, jak woli Karen Barad – z innymi bytami, ze środowiskiem. Kiedy inni odchodzą, także i w nas coś umiera. To nie może nie mieć wpływu na nasze indywidualne i kolektywne funkcjonowanie.

Drzewo zimą

Relacyjna natura tożsamości to jeden z najważniejszych tematów poezji Krystyny Miłobędzkiej. Wiersz „Ta jabłoń we mnie odkład się zaczyna” pochodzi z tomu „Pokrewne” (1970):

*Z białości ponad ogród czarną słyszę
jabłkami zawężoną w kwiaty,
przez śnieg nagle odbywam zielenie.
Liści się bezwiedna mojej obecności,
zbyt jawna jeszcze, zbyt jabłoń,
aż nasycone wspólnym oddaleniem
ramionami płaczemy ciemność.*

Z faktu, że złożona sieć współzależności łączy nas z innymi, nie wynika naiwne poczucie zlewania się w jakąś błogą, bezkonfliktową całość. Miłobędzka pisze o oddaleniu, paradoksalnie to ono jest „wspólne”. Jeśli można otoczyć kogoś ramionami, to dlatego, że ów ktoś znajduje się obok, blisko, ale już nie w nas. Warunkiem intymności jest dystans.

„Uciekające w odległość odległości / z otworu w moim brzuchu”, pisze Świrs-

czyńska w wierszu „Kobieta mówi rodząc świat”. U Miłobędzkiej jabłoń zarazem jest i nie jest tożsama z kobietą, która widzi, słyszy i wreszcie „odbywa zielenie”. Jest jabłoń w ogrodzie i ta druga, w wierszu, relacja między nimi nie jest oczywista. Formy czasowników po równo rozdzielają sprawczość między kobietę i drzewo, aż pojawia się liczba mnoga, „płaczemy”.

Ta wspólność ujawnia się w ciemności, do której wszystko powraca, żeby się odrodzić. Coś ciekawego wydarza się tu z czasem: kwiaty współistnieją z jabłkami, zielenie ze śniegiem, dziewczynka z kobietą. Ale przecież jabłoń zawiera w sobie wszystkie swoje potencjalne stany. Nawet bezlistna, zimowa jabłotka jest już w jakimś sensie „brzemienista” jabłkami, gotowa do uruchomienia kolejnego cyklu życia, kiedy tylko otrzyma właściwe sygnały. Ostatni wers nawiązuje do modlitwy, ale nawet wtedy wiersz nie ucieka, nie odwraca się od ziemi. Jabłoni, przy całym swoim symbolicznym obciążeniu, naprawdę jest jabłonią, kobieta jest kobietą – i żadna nie służy tej drugiej za lustro.

Dziki czas

Jeśli mnie pamięć nie myli – ale co to właściwie znaczy w odniesieniu do zmysłowych wspomnień z wczesnego dzieciństwa – niedaleko od rozłożonego na trawie koca, na którym leżałam z mamą w trawie i powoju, rosły rachityczne jabłkonki. Kwitnienie drzewek owocowych wyznaczało kolejny sezon wiosny, po przedwiośniu, kiedy udawało się podglądać śmierć, i po tym dłużącym się etapie, kiedy zazieleniały się łąki i pola.

Dziś trudno mi w to uwierzyć, ale obserwowałam postępy roślinności dzień po dniu, a czasem niemal godzina po godzinie. Sprawdzałam, czy ostre końcówki liści tulipanów już wydostały się z ziemi, czy zakwitły fiołki, jak długo jeszcze, zanim rozwiną się bzy. Po prostu był na to czas – dużo dzikiego czasu.

Wiele lat później natrafiłam na książkę pod tytułem „Night” („Noc”) libańsko-amerykańskiej poetki Etel Adnan. Adnan pisała: „rzeczy istnieją, bo są śmiertelne. Ulegają porom roku. Sezonom rozszczepionej nieśmiertelności” (tłum. moje). Wydaje mi się, że rozumiałam Adnan dlatego, że kiedyś dane mi było zoba-
czyć to wszystko na własne oczy, czy ra-



JULIA FIEDORCZUK jest pisarką, poetką, tłumaczką i wykładowczynią. Współzałożycielka Centrum Humanistyki Środowiskowej na Uniwersytecie Warszawskim. Jej książki prozatorskie i tomy wierszy były tłumaczone na ponad 20 języków i nominowane do wielu nagród, m.in. Nagrody Literackiej „Nike”. Laureatka Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej za „Psalmy” (2017). Ostatnio wydała tom poezji „Glif” (2024).

czej doświadczyć wszystkimi zmysłami. Możliwe jednak, że było dokładnie na odwrót i pamięć o pierwszych latach życia przybrała taki, a nie inny kształt na skutek późniejszych lektur i przeżyć.

Macica to matka perły, rodzicem wspomnień jest czas, a przeszłość – to „dziwne Stworzenie”, jak pisała Emily Dickinson, i czasem może nas zaskoczyć.

Córka i ja

„Ni to takie piękno, ni to taki strach”, powiedziała pewnego dnia moja córka, patrząc przez okno naszego warszawskiego mieszkania na jasne, zimowe niebo. Miała wtedy pięć lat i możliwe, że jej wypowiedź miała jakiś związek z faktem, że dość zapamiętałe czytałam wtedy „Boską komedię” (jedenastozgłoskowie!).

Nie da się jednak wykluczyć, że w jakiś sposób przekazałam jej moje wspomnienia surowych, wiejskich zim – tę moją perłę – i niepokój budzący się w chwilach przejścia między porami dnia i roku, sezonami życia. Słońce – ognista kula – powoli osuwało się za horyzont, niebo błękitno i przypominał mi się mój ulubiony wiersz Wisławy Szymborskiej – ten o dziewczynce, która koniecznie musi sprawdzić, jak to będzie ściągnąć obrus ze stołu: „Pan Newton nie ma jeszcze nic do tego. / Niech sobie patrzy z nieba i wymachuje rękami. // Ta próba dokonana być musi. / I będzie”. Tak perła okryła się świeżą warstwą „macicy”.

Z jakiegoś powodu zawsze zakładałam, że ten wiersz opowiada o poetce, to znaczy dziewczynce/kobiecie, która wchodzi na cudze terytorium i coś tam próbuje po-przestawiać. Wolno jej przebywać w tej

przestrzeni i nawet bawić się różnymi przedmiotami, byleby nie zmieniała reguł gry.

Stałyśmy jeszcze w tym oknie, moja córka i ja, obserwując przez parę chwil niepokojący „ukos światła”, dwa koniki morskie w ukochanej głowie zaczynały przetwarzać tę wspólną chwilę w obraz, którym kiedyś będzie, którym kiedyś będę, w jej wspomnieniach. Że nie jestem tylko i wyłącznie sobą, to już od dawna wiedziałam, ale dopiero wracając ze szpitala z żywym tobołkiem w ramionach naprawdę zrozumiałam, że moje serce będzie odtąd biło gdzie indziej – nie we mnie – i że już nigdy nie zaznam spokoju.

„Nie żyjesz wewnątrz mnie, tylko wokół, stwarzasz krąg, chmurę” – mówi Etel Adnan do duszy. Niekoniecznie ma na myśli dziecko, mówi o wszystkim, co potencjalnie cenniejsze od własnego przetrwania (lub radykalnie do niego niezbędne). Nie można się ochronić poprzez odcięcie wszystkiego, co potencjalnie raniące, niewygodne, albo niebezpieczne, bo sedno tego, czym jesteśmy, nie tkwi wewnątrz nas.

Znikam, jestem

Na szczęście nie tylko niebezpieczeństwo istnieje na tym świecie, nawet w naszym trudnym, kryzysowym czasie. Ludzie uparcie przypisują „naturze” okrucieństwo, tak jakby cała planeta – poza człowiekiem, rzecz jasna – była monolitem działającym według paru prostych zasad. Jakby do obowiązków „stworzenia” należało dostarczanie przykładów ludzkiego dobra i zła, a podstawowe zadanie zwierząt polegało na nadawaniu sensu ludzkim stosunkom społecznym.

Romantyczna wizja naturalnej harmonii była bardzo naiwna, ale wizja przyrody okrutnej również jest błędna: „Pytanie, czy i jak zróżnicowane gatunki w wielogatunkowym kolektywie wpływają na siebie wzajemnie, pozostaje nierozstrzygnięte: niektóre walczą ze sobą (albo się zjadają), inne pracują razem, czyniąc życie możliwym, wreszcie istnieją i takie, które po prostu przypadkiem znalazły się wspólnie z innymi w tej samej przestrzeni” (Anna Tsing, tłum. Przemysław Czapliński).

Jeśli ktoś chce się przekonać, jak bardzo zwierzęta, zwłaszcza drapieżniki, wolałyby zajmować się swoimi, a nie ludzkimi sprawami, niech spróbuje spotkać w lesie wilka. Bez przewodników i fotopułapek będzie to raczej trudne. Co innego da się jednak zaobserwować bez problemu: oto drzewo, które umarło, „zakwita” grzybami. Dziuple, które zostaną w nim wyjedzone, posłużą nowym mieszkańcom. Na przewróconej kłodzie „piastunce” rosną młode drzewa, ktoś zagnieździł się w korzeniach wykrotu. Nic nie jest dane na zawsze, nie ma żadnych gwarancji. Ale w każdej chwili wszystkie możliwości są otwarte. Rośliny i zwierzęta na marginesach pęczniejącego ludzkiego świata próbują żyć i zajmować się swoimi sprawami: kiedy im przestanie się to udawać, to nam też.

Na razie jednak jeszcze tu jesteśmy – ulotni, współzależni. Nikt nie opisał tego lepiej niż Miłobędzka:

[Jestem]

*Współżywa, współczynna,
współwinna. Współzielona,
współdrzewna. Współistnieje.*

*Ty jeszcze nie wiesz
co to znaczy. Obdarowana
przenikaniem. Znikam jestem.
Współtrwam (z Tobą) w tym
szklistym dniu (z tym szklistym
dnem w którym znikam) który znika
ze mną tak lekko. Nie
wiem co to znaczy. Współotwarta
z oknem, współpłynna
z rzeką. Jestem żeby wiedzieć znikam?
Znikam żeby wiedzieć
jestem? Cała ale całej nigdzie nie ma.
Współprzelatująca,
współniebna. Pół wieku żyłam po to!
(z tomu „Pamiętam”, 1992)*

© JULIA FIEDORCZUK



ŚWIAT

ARCHIWUM PRYWATNE X3

JA JUŻ MĘŻA ODDAŁAM

Nie chce, by córki patrzyły, jak płacze.
Chce, by widziały ją uśmiechniętą i wiedziały,
kim był ich tata: bohaterem. Jej męża zabił podwładny,
który oszalał, a wojsko odmówiło uznania,
że to śmierć na wojnie.
Posłuchajmy jej opowieści.

ANTONINA PALARCZYK Z CHMIELNICKIEGO (UKRAINA)

MAM NA IMIĘ JANA I MIAŁAM BARDZO dobrego męża. Wzięliśmy ślub w 2016 r. Z początku nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo kocham. Przekonałam się potem. Niebios mi go podarowały.

Gdy zaczęła się inwazja, byłam w końcówce ciąży z naszą średnią córką, Dominiką. Mieszkaliśmy w Kamieńcu Podolskim. 23 lutego spacerowaliśmy brzegiem Dniestru z córką Marijką, wtedy trzyletnią. Andrij mówił, żeby o nic się nie martwić. 25 lutego odwiózł mnie do szpitala położniczego. 26 lutego złożył przysięgę, wstąpił do armii. Ale obiecał, że dopóki nie urodzę, nigdzie nie pojedzie.

PORÓD | – Razem z personelem i mnóstwem cywilów siedzieliśmy w szpitalnej piwnicy... – Jana urywa, gdy do kanapy, na której siedzimy, podkrada się Dominika. Bezszeslestnie jak kociak, w rajstopkach. Szepcze coś konspiracyjnie, wpatruje się w mamę. Oczy ma brązowe, jak rodzice i siostry.

– Poród odbył się na powierzchni. Niedługo potem zawyła syrena. Coś eksplodowało obok szpitala, z drugiej strony budynku wyleciały okna. Lekarka rzuciła się, by mnie zasłonić. Początek pełnoskalowej wojny to był wyjątkowy czas. Ludzie nie myśleli o sobie, ale o tym, jak pomóc drugiemu.

Andrij przyjechał na chrzest Dominiki, wyrwał się na chwilę. Kolejny raz zobaczył ją, gdy miała siedem miesięcy. Łącznie widzieli się trzy razy. – Ona go nie pamięta. To najbardziej rani duszę – głos Jany łamie się po raz pierwszy. Schyla głowę, wpatruje się w kubek kawy w zaciśniętych dłoniach. Z trudem mówi: – Był wspianym tatą. I kochanym mężem. A Dominika zna go niemal wyłącznie ze zdjęć. Cały czas był na wojnie.

MIMOZA | Zdjęcie Andrija z naszymi z słońcem (to herb obwodu chmielnickiego, a w Pierwszej Rzeczypospolitej – województwa podolskiego) i wyrzutnią javelin w ręku wisi nad Janą, obok ikony Świętej Rodziny. Drugie nad kuchennym stołem: on poważny, w schludnym mundurze.

To kuchenne zdjęcie przewiązane jest czarną tasiemką. Nad nim pochylają listki gałązki akacji srebrzystej (potocznie mimozy), wystające z wazonu. Roślinki, która zwiastuje wiosnę. Dla Jany, wraz z życzeniami na Dzień Kobiet, przynieśli

Od góry: Jana z córkami Marijką, Dominiką i Adeliną. 1 maja 2024 r.

Jana z dziećmi przy grobie męża w miasteczku Stara Sieniawa na Podolu. Tam jej mąż urodził się i dorastał, również tam mieszkają jego rodzice. 28 czerwca 2024 r.

Na sąsiedniej stronie:

Jana z mężem Andrijem oraz córkami Marijką i Dominiką. 9 października 2022 r.

je przed chwilą koledzy Andrija. Mimożę, jak kaže stary wschodni obyczaj.

Jana: – Ostatni raz zobaczyliśmy się we Lwowie. Andrij pojechał tam na szkolenie, a ja skorzystałam z okazji, żeby się z nim zobaczyć i przyjechałam tam z córkami, z Polski. Wtedy przez ponad półtora roku mieszkaliśmy w Krakowie, Andrij nalegał, żebyśmy wyjechała, że będziemy w Polsce bezpieczne. Zostałyśmy tu bardzo dobrze przyjęte. Udało mi się pracować w moim zawodzie, jako logopedka, z ukraińskimi dziećmi.

Wtedy we Lwowie wynajęliśmy mieszkanie na kilka dni. Potem rozjechaliśmy się: ja z córeczkami do Krakowa, a on w okolice Kupiańska. Prosto na zadanie bojowe.

Długo był poza zasięgiem. W tym czasie stwierdziłam, że jestem w ciąży. Jego milczenie ciągnęło się, martwiłam się, płakałam. W końcu, po dziewięciu dniach, połączył się na wideo. Z chłopakami jechali na pojeździe opancerzonym. – Jana, jesteś w ciąży? – zapytał. Przeczłwał to. Gdy przytaknęłam, krzyknął z radości. Chłopaki mu gratulowali.

DROBNE SPRAWY | – Radość szła w parze z niepewnością. Nie jest lekko żyć z dwójką małych dzieci, a co dopiero z trójką. Wojna trwała, on był na froncie. Wierzył, że musi nas chronić, tam na wschodzie. Nosiłam w sobie nadzieję, że może postanowi wrócić do nas, gdy stwierdzi, że przy trójce dzieci jego pomoc będzie bardzo potrzebna.

Czas mijał. Wysyłałam mu zdjęcia USG i zdjęcia rosnących córek. Jak u Dominiki pojawiały się pierwsze ząbki. Andrij się tym przejmował, tymi wszystkimi drobnymi sprawami. Tak bardzo chciał być przy tym, jak u Dominiki pojawiały się pierwsze mleczne zęby, a u Marijki wypadały.

Czekaliśmy wszyscy na 1 września, miał przyjechać na przepustkę. Miał zaprowadzić Marijkę po raz pierwszy →



→ do szkoły. Tyle myślał o dzieciach... Uważam, że właśnie przez to poszedł dobrowolnie na wojnę, żeby chronić mnie i dzieci.

STATUS ŻONY | Zginął w listopadzie 2023 r. Trzy dni po tym, jak dowiedział się, że będzie mieć trzecią córkę. Sam wymyślił dla niej imię: Adelina.

Jana: – Dzwoniłam do jego dowódcy. Nie wierzyłam. Może to nieporozumienie? Nie, usłyszałam, Andrij nie żyje. Szłam ulicą w Krakowie i krzyczałam. Właściwie do tej pory nie wierzę, że to mogło mi się przydarzyć. Uczę się, jak przywyknąć do myśli, że go nie ma. Gdy chowali go w ziemi, wciąż byłam przekonana, że zabił go rosyjski snajper.

– W wojenkomacie, kiedy przysłałam załatwić papiery związane ze zniżką na usługi komunalne, usłyszałam, że nic mi nie przysługuje. Powiedzieli, że mogę odebrać zaświadczenie kombatanckie męża, ale nie mogę się nim posługiwać. Oni już wiedzieli, jak zginął, ja wciąż nie. Żeby mieć status żony poległego, musi on zginąć na pozycji bojowej. Wówczas żonie przysługują wszystkie prawa, w tym do odszkodowania. A Andrij zginął na wojnie, w blindażu, okopowej ziemiance, ale nie od rosyjskiej kuli.

SZAŁ | Jana zna zabójcę męża. Zna też jego żonę i dzieci.

– Andrij dowodził ośmioosobową drużyną. Któregoś dnia jeden z jego żołnierzy upił się przed wyjściem na pozycję. Decyzją Andrija nie poszedł, ktoś go za-

mienił. Za to ten podczas następnej rotacji miał odbyć podwójny dyżur. Wieczorem przyszedł do znajdującej się na tyłach ziemianki. Następnego dnia rano mieli iść na pozycję. Wszyscy kładli się spać, rozmawiali przez telefon z rodzinami. Taki zwyczaj przed wyjściem na „zerówkę”. Bo każde wyjście może być ostatnim. My wymienialiśmy z Andrijem esemesy. Miał niedługo przyjechać. Przesunął przyjazd o tydzień, mówił, że akurat nie może zostawić chłopaków.

Ten żołnierz oszalał ze złości, słysząc, że na „zerówce” ma być osiem dni zamiast czterech. „Wysłałem cię za karę, za alkohol” – uciął Andrij (tak koleddy opowiedzieli potem). Był 20 lat młodszy od tego człowieka. Ten, 52-latek, wpadł w szal, że jakiś młodzik nim dyryguje. Wyszedł z ziemianki, niby zapalić papierosa. Wziął automat, wrócił, puścił serię.

– Zginęło ich trzech. Czwarty, ranny, przeżył. Jeden z chłopaków już spał, inni pisali esemesy z żonami. Andrij i ktoś jeszcze. Wpatrywałam się w te trzy kropeczki, które oznaczały, że mąż pisze wiadomość. Jedna z kul przeszła mu szyję, druga tułów.

Żołnierze z sąsiedniej ziemianki, gdy usłyszeli serię, przybiegli. Byli pewni, że to atakuje rosyjska grupa dywersyjna. Ujęli zabójcę.

ADELINA | – W śledztwie wyszły na jaw dokumenty, wedle których ten człowiek od 10 lat był pod obserwacją psychiatryczną. Do wojska został jednak wzięty, bo był leśniczym i ładnie strzelał. Tak

potem usłyszałam. W dokumentacji medycznej była wzmianka, że kiedyś groził bronią żonie i dzieciom. W czasie służby kilka razy atakował kolegów. Raz, gdy wracali z zadania: myślał, że to idą Rosjanie, rzucił w ich stronę granat, niecelnie. Innym razem upił się i zaatakował nożem innego żołnierza. No i ten trzeci raz...

Proces wciąż się toczy, cywilny. – Miał być kontrolowany przez Państwowe Biuro Śledcze, żeby nie było korupcji. Morderca jest krewnym wysoko postawionego urzędnika wojskowego.

– Trzy miesiące po śmierci Andrija urodziłam Adelinę. Gdy wychodziłam ze szpitala, odpowiedzieli mnie jego koleddy z oddziału. Ci sami, którzy przynieśli mi mimozę, i ci sami, którzy pomagali mi finansowo. Z trójką dzieci, w tym z noworodkiem, nie byłam w stanie podjąć pracy. Pół roku od śmierci Andrija udało nam się dostać pierwszy zasiłek socjalny. Dzięki przyjacielom męża, nie tylko wojskowym, jakoś dotrwałyśmy z córkami do tego czasu.

PRZYSZŁOŚĆ | – Ciężko jest, gdy Dominika widzi w przedszkolu ojców innych dzieci, jak je odprowadzają. Mówi, że też by tak chciała. „Czy tatuś mnie kocha?” – pyta. Mówię: „Bardzo. Marzył o takiej córeczce”. „To dlaczego nie przyjdzie do przedszkola?”. O ile najstarsza rozumie sytuację, to Dominika jeszcze nie. Myśli, że tata mieszka gdzieś indziej. Początkowo, gdy koleddy Andrija przyjeżdżali i przywozili dzieciom prezenty, mówiłam Dominice, że to od taty. Psy-

Nadal pomagamy walczącej Ukrainie

39 agregatów prądotwórczych, 10 stacji zasilania, 4 koagulatory (urządzenia chirurgiczne do zamykania ran), 5 noszy próżniowych do ewakuacji, urządzenia do dezynfekcji narzędzi chirurgicznych w warunkach polowych (10 sztuk), podgrzewacze do płynów infuzyjnych (13 sztuk), podkłady chłonne (210 kg). Łącznie prawie 4 tony pomocy.

To wszystko – dary czytelników i czytelniczek „Tygodnika”, którzy odpowiedzieli na nasz apel – pojechało ostatnio w dwóch transportach, w grudniu i lutym, na Ukrainę. Trafiły do szpitali polowych, kompanii medycznych na froncie i jednostek frontowych (w tym dwa mocne agregaty do jednostek obrony przeciwlotniczej na wschodniej Ukrainie).

„Dziękujemy, że jesteście z nami” – słyszeliśmy w rozmowach.

„Dziękujemy narodowi polskiemu” – mówiły lekarki ze szpitala polowego w Pawłohradzie, do którego trafiają ranni spod Pokrowska.

Nasza akcja trwa. Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych:

20 1090 2590 0000 0001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

www.inicjatywasiedzka.org

(darowiznę można odliczyć od podatku)

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

cholożka powiedziała, by unikać takich słów.

Czasem się zastanawiam, że trzeba wybiegać myślami naprzód. Przyjąć do wiadomości, że Andrij nie żyje, i planować jakąś przyszłość. Ale częściej myślę, że tracę rozum. Rozrywa mi głowę. Od półtora roku umiem nosić tylko żałobną czerń. Kulę się w sobie na myśl, że wojna może przyjść kiedyś na zachód Ukrainy. Kto mnie wtedy obroni? Ja już męża oddałam.

Mam 33 lata. Nie chcę mówić, że nigdy nie wyjdę za mąż, ale myślę, że tak właśnie będzie. Bo nikt nigdy nie będzie kochał moich dzieci tak jak Andrij. Bo każdego będę z nim porównywać.

Boję się, bo nie mam prawa zachorować. Muszę opiekować się naszą trójką, utrzymać ją. Ostatnim razem, gdy odwiedził nas mój ojciec, wysłałam przed dom. Usiadłam na ławce i ręka sięgnęła bezwiednie po telefon. Zaczęłam wybierać numer Andrija. Dobrą chwilę mi zajęło zrozumienie, że nie odbierze.

Nauczyłam się płakać tak, by nikt nie widział. Bo nie chcę, żeby dzieciństwo córek polegało na patrzeniu, jak mama płacze. Chcę, by rosły, widząc mnie uśmiechniętą. Ale żeby wiedziały też, kim był tata. Ciężko wyjaśnić dzieciom, dlaczego ich ojciec poszedł walczyć za nas wszystkich, a tylu mężczyzn widać na ulicy.

SĄSIEDZI | – Po śmierci Andrija wróciłyśmy z Krakowa do Ukrainy. Nie do Kamieńca, lecz do Chmielnickiego, gdzie mieszka moja siostra.

Nie miałam tutaj znajomych. Ludzie z sąsiedztwa mnie unikali. Zadawali sobie pytanie, czemu tu przyjechałam. Czy nie będę donosić na mężczyzn z okolicy w wieku poborowym. Czy nie będę zła na nas wszystkich, którzy nie poszli na wojnę, która zabrała mi męża.

Kiedyś przyjechał szwagier, też jest w wojsku. Dużo nam pomagał po przeprowadzce. Gdy ludzie zobaczyli, jak na klatkę schodową wchodzi żołnierz w mundurze, uciekali. Myśleli, że to ktoś z Terytorialnego Centrum Rekrutacji [zajmuje się poborem – red.].

Teraz jest już lepiej. Niektórzy współczują. Inni wciąż unikają. Nie chcą być obciążeni cudzym nieszczęściem. Niektórym wstyd, bo Andrij zginął, a ktoś w ich rodzinie chowa się przed poborem.



*Andrij, mąż Jany, z wyrzutnią javelin.
9 września 2023 r.*

Mąż znajomej od pół roku nie wychodzi z mieszkania. Nie chodzi do pracy, sklepu, nigdzie. Ona jest w ciąży z trzecim dzieckiem. Gdy urodzi, on jako wielodzietny ojciec będzie zwolniony z poboru. Nasze społeczeństwo, cudownie zjednoczone z początku inwazji, jest rozdarte. Na tych, co walczą i wspierają wojsko, i na tych, co uciekają od tego jak najdalej.

PIENIĄDZE | – Rozmawiam z innymi wdowami. Mamy nasze wspólne przeszerzenie. One spotykają się na co dzień z poglądem, że jako rodziny poległych muszą tarzać się w pieniądzach otrzymanych w ramach odszkodowania. Suma do podziału między żonę, niepełnoletnie dzieci i rodziców wynosi 15 milionów hrywien. Jeśli śmierć, jaką zginął żołnierz, jest zgodna z pewnymi kryteriami. Spośród wdów, które znam, nie więcej niż jedna trzecia dostała odszkodowanie. A ludzie myślą, że jesteśmy milionerkami.

Sąsiedzi pytali, jakim autem jeżdżę, i dziwili się, gdy odpowiadałam, że nie stać mnie na żadne. Jak to, przecież dostałaś kupę forsy? Pytam wówczas, a czemu wy nie chcecie 15 milionów? To proste. Każdy, kto zechce, może iść na wojnę, zginąć na bojowym zadaniu, a rodzina dostanie 15 milionów.

Ostatnio coś się w domu zepsuło, nie leciała gorąca woda. Wezwałam hydraulika. Przez telefon powiedział, że będzie

mnie to kosztować 450 hrywien. Ale gdy przyszedł, zobaczył portret Andrija i zrozumiał, że jestem żoną poległego, po robocie zażądał 800 hrywien. Z takimi sytuacjami spotykają się wszystkie znajome wdowy. Kiedy ktoś się dowiaduje, że ich mąż zginął na wojnie, ceny za usługi zwiększają się dwukrotnie.

ARMIA | – Wierzę, że dzieci wyrosną na dobrych ludzi, nie może być inaczej. Bo ich tata był dobrym człowiekiem. Dbał o innych. Poszedł na wojnę tylko dlatego, bo gdzieś zabijano niewinnych ludzi.

Wojna zabiera najlepszych. Zginęła już większość tych, którzy po 24 lutego 2022 r. stali w kolejkach do wojenkomatów. Myślę, że Andrij nie zginąłby taką śmiercią, gdyby teraz tak dramatycznie nie brakowało ludzi na froncie. Nie wystarczało ich już na początku, a tym bardziej teraz. I tym bardziej brakuje ludzi zmotywowanych. Ale jak tu być zmotywowanym, jeśli jest się otoczonym historiami takimi jak moja. Żony, która bez pomocy państwa została z trójką dzieci. Jak iść na wojnę i nie martwić się, co stanie się z rodziną, jeśli zginiesz?

ŻYCIE | – Staram się żyć tym życiem, jakie jest. Bo śmierć jest bliżej nas, niż myślimy. Nie spodziewamy się jej. Andrij też nie chciał umierać. Chciał żyć! Chciał wrócić i być mężem i tatą.

Staram się żyć. Spełniać malutkie marzenia. Nie odkładać nic na później, na jakieś lepsze dni. A co, jeśli one nie przyjdą? Dlatego kupiłam ten dywan, który zawsze chciałam mieć. Co z tego, że dzieci go pobrudzą. Dziś, w Dniu Kobiet, poszłyśmy po nuggetsy z kurczaka, dziewczynki na nie czekały. Każda dostała też po trzy tulipany. Fajnie, jeśli przyjdą kiedyś lepsze dni. Ale jak nie będziemy tworzyć życia teraz, z pięknych momentów, to po co w ogóle takie życie?

Kiedy budzę się, przytulona do dzieci, zbieram w sobie siły, żeby mierzyć się z każdym dniem. Cieszę się, że mam ich troje. Jest z nimi ciężko, ale bez nich życie byłoby w ogóle niemożliwe. Widzę w nich Andrija, każdego dnia. W ich ciemnych oczach, w ich małych zachowaniach. Choćby tak drobnych jak to, że Marijka nie chce mieć zębów przed śniadaniem, woli po, tak jak on.

Dzieci są jego przedłużeniem.

© ANTONINA PALARCZYK



AA / ABA / EAST NEWS

Mediator z Zatoki

GRZEGORZ KORDYLAS

Arabia Saudyjska stała się miejscem negocjacji między USA, Rosją i Ukrainą. Jej faktyczny władca Mohamed ibn Salman pozycjonuje się w nowym „koncercie mocarstw”. Kluczową rolę odgrywają petrodolary.

W OSTATNICH LATACH SAUDOWIE NA zmianę podkopywali i odbudowywali swój wizerunek. Zdawać by się mogło, że okrutne zabójstwo prominentnego krytyka monarchii Dżamala Chaszukdziego (saudyjscy agenci zwabili go do konsulatu w Stambule i zamordowali, a zwłoki poćwiartowali) czy nieudolna inwazja na Jemen to nieusuwalne rysy na wizerunku. Ale nie takie rzeczy uchodzą dziś w światowej polityce.

Zamiast doświadczyć izolacji, książę Mohamed ibn Salman – następca tronu i faktyczny władca – gości Ukrainę, Rosję i USA. Saudowie odgrywają też ważną rolę na Bliskim Wschodzie, mają udział w decyzjach dotyczących Gazy, Libanu i Syrii.

SAUDYJSKI PR | Aby polepszyć swój wizerunek, Arabia pompuje ostatnio miliardy w sport. Sportwashing? Owszem,

ale światowe federacje nie odpuszczają okazji na zarobek. W 2019 r. Anthony Joshua i Andy Ruiz walczyli więc w Ad-Diridji o mistrzostwo świata wagi ciężkiej w boksie. Od 2021 r. w kalendarz Formuły 1 wpisane jest Grand Prix w Dżudzie. W powołanej przez Arabię lidze golfowej LIV Saudowie opłacają najlepszych golfistów świata, a turniej wieńczący kobiecy sezon tenisowy WTA Finals rozgrywany jest w Rijadzie.

Dzięki umowie z Arabią WTA stworzyła też specjalny fundusz, który wspiera tenisistki po porodzie. Zapewnia on pieniądze na czas, gdy nie mogą grać. „To pierwszy taki program w dziejach sportu” – ogłosiła globalna organizacja zarządzająca żeńskim tenisem.

Zwieńczeniem tych działań jest dyscyplina najbardziej kasowa. W saudyjskiej piłkarskiej ekstraklasie gra Cristiano Ronaldo, Fundusz Inwestycyjny Arabii Saudyjskiej (PIF) kupił angielski klub Newcastle United, a w 2034 r. tutaj odbędzie się mundial.

Saudowie stają się też ważnym graczem w branży gier komputerowych; organizują wydarzenia e-sportowe, w tym mistrzostwa świata w 2024 r. (z pulą nagród ponad 60 mln dolarów). Państwowy fundusz ma udziały w największych firmach tej branży, jak Nintendo, Electronic Arts, Take-Two Interactive. Rijad będzie też gospodarzem pierwszych eSportowych Igrzysk Olimpijskich w 2027 r., a PIF zapłaci 3,5 mld dolarów za zakup działu gier dewelopera Niantic (firma ta odpowiada m.in. za popularną grę mobilną Pokémon Go).

WIZJA KSIĘCIA | Inwestycje w sport to część planu Mohameda ibn Salmana, aby

Mohamed ibn Salman i szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow wkrótce po tym, jak USA i Rosja przeprowadziły pierwsze dwustronne rozmowy w Rijadzie. 18 lutego 2025 r.

uczynić Arabię krajem liczącym się nie tylko ze względu na zasoby ropy. Choć władzę formalnie sprawuje jego ojciec Salman, od lat za sznurki pociąga on, niepełna 40-letni delfin. „Vision 2030” to jego plan, który ma unowocześnić Arabię i uniezależnić od ropy.

W tym celu książę stawia na spektakularne przedsięwzięcia, jak budowa megamiasta Neom, zasilanego w 100 procentach energią ze źródeł odnawialnych. Zaprasza turystów, nadaje kobietom (trochę) większe prawa, otwiera kina, zaprasza międzynarodowe gwiazdy.

Mimo wszystko Arabia Saudyjska to wciąż jedno z najbardziej konserwatywnych państw świata. Jego twórca ibn Saud (założyciel dynastii i dziadek Mohameda) ściśle współpracował z religijnymi autorytetami, zwłaszcza wahabitami – przedstawicielami szkoły islamu, która każe dosłownie przestrzegać zasad Koranu. Rodzina królewska musi liczyć się z islamskimi uczonymi, którzy decydują o moralności obywateli. Książę chce ograniczyć ich wpływy; miały nawet miejsce aresztowania duchownych, którzy go krytykowali.

Jednak oceniając jego reformy, trudno popadać w zachwyt – choć Arabia organizuje efektowne wydarzenia, realia zmieniają się tu powoli. Kraj zajmuje też drugie miejsce (po Iranie) pod względem stosowania kary śmierci: w 2024 r. stracono ponad 300 osób. Protesty i demonstracje są z definicji nielegalne, podobnie jak wszelka publiczna krytyka (władze kontrolują krajowe media). Prawo jest pod wieloma względami równie surowe jak to, które swego czasu wprowadzało na swoich terenach Państwo Islamskie.

WOBEC ŚWIATA | Okazją do pozycjonowania się w świecie okazały się dla Saudów wojna w Ukrainie i wybory w USA. Mohamed ibn Salman ma dziś w ręku kartę przetargową: jako jeden z nielicznych przywódców ma dobre stosunki i z Trumpem, i z Putinem.

Gdy Trump objął urząd, pierwszy telefon wykonał do księcia. Ten zapewnił go, iż w najbliższych czterech latach Arabia zainwestuje w USA kwotę 600 mld dolarów. Wcześniej, po rozpoczęciu pierwszej

swojej kadencji, pierwszą stolicą, do jakiej udał się Trump, był Rijad. Na początku marca ogłosił, że znów tam się wybiera – byłaby to jego pierwsza podróż poza Stany.

A Putin? Arabia i Rosja to kluczowi członkowie OPEC+, sojuszu eksporterów ropy (konsultują się w sprawie jej produkcji, co wpływa na ceny). Saudowie nie poparli sankcji nałożonych na Rosję przez USA i UE po rozpoczęciu inwazji.

Niedawno, w połowie marca, ibn Salman rozmawiał telefonicznie z Putinem, a saudyjska agencja prasowa podała potem, że omawiano „obszary współpracy między oboma krajami i sposoby ich rozwoju, a także wysiłki na rzecz rozwiązania kryzysu w Ukrainie”. Putin miał wyrazić „wdzięczność i uznanie za konstruktywne wysiłki Arabii Saudyjskiej”. Najwyraźniej nie przeszkadzał tu fakt, iż wcześniej saudyjski książę serdecznie przyjmował Wołodymyra Zełenskigo.

SIEĆ KONTAKTÓW | Wśród przywódców, z którymi rozmawia książę-delfin, jest też chiński prezydent Xi Jinping. Podczas trzydniowej wizyty Xi w Rijadzie w 2022 r. podpisano 34 umowy o wartości 29 mld dolarów (obejmują zieloną energię, budownictwo, IT i transport). Szacuje się, że do 2035 r. wolumen handlu między Chinami a wszystkimi krajami Zatoki Perskiej wzrośnie dwukrotnie, do 1,9 bln dolarów.

Saudowie, podobnie jak inni władcy z Zatoki Perskiej, unikają więc opowiadania się po którejś ze stron w zaczynającej się już nowszej rywalizacji mocarstw. Zamiast tego gotowi są występować w roli pośrednika. W 2024 r. Rijad pomógł przeprowadzić wielką wymianę więźniów między Rosją a USA. Wraz ze Zjednoczonymi Emirataми Arabskimi ułatwiał też wymianę jeńców między Rosją a Ukrainą.

Takie pozycjonowanie się jest opłacalne dla ibn Salmana i innych monarchów z Zatoki. Państwa wyrosłe na złożach ropy i gazu nie chcą już opierać swojego modelu działania tylko na ich eksporcie. Ich nowym atutem może być sieć kontaktów. ©

Erdoğan domyka dzieło życia

KRZYSZTOF STRACHOTA

Aresztowanie mera Sztambułu stało się iskrą do protestów niewidzianych od ponad dekady. Czy one coś zmienią, jest jednak wątpliwe. Pytanie o demokrację w Turcji jest dziś retoryczne.

UDERZENIE BYŁO PRECYZYJNE. W ŚRODĘ 19 marca został zatrzymany przez policję mer metropolii stambulskiej Ekrem İmamoğlu, a wraz z nim blisko stu jego współpracowników. W kolejnych dniach zatrzymanie uzyskało sankcję prokuratorską i zamienione zostało na areszt. Zarzuca im się przestępstwa finansowe i korupcyjne (zrezygnowano za to z formułowanych początkowo zarzutów o kontakty z terrorystami kurdyjskimi).

İmamoğlu jest nie tylko merem miasta, które generuje ok. 30 proc. PKB Turcji, i w którym żyje blisko 20 proc. populacji kraju. To najważniejszy polityk opozycji, który w wyborach lokalnych w Sztambule w 2019 i 2024 r. udowodnił, że na nierównym boisku jest w stanie wygrać z kandydatami partii rządzącej prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan. Teraz areszt i perspektywa procesu zapowiadają jego eliminację z życia politycznego, a zwłaszcza z wyborów prezydenckich w 2028 r.

Zatrzymanie İmamoğlu stało się iskrą do burzliwych protestów w całym kraju

na skalę niewidzianą od ponad dekady. W ciągu tygodnia zatrzymano 2 tys. osób, byli ranni. Protesty mają trwać dalej. Macierzysta formacja İmamoğlu, Republikańska Partia Ludowa (CHP), już po jego zatrzymaniu wybrała go na kandydata w wyborach w 2028 r. Działania władz krytykowane są w Europie. Tąpnęła lira, turecka waluta, i giełdy. W kraju rozpowszechnia się bojkot firm wiązanych z władzami. W chwili pisania tego tekstu trwają spekulacje na temat strajku generalnego.

W kierunku autorytaryzmu

Pytania o demokrację i praworządność w Turcji są poniekąd retoryczne. Unia Europejska zamroziła z nią negocjacje członkowskie w 2019 r. właśnie na tle krytyki tureckich standardów.

Faktycznie są powody do niepokoju. Tylko nieudany pucz z 2016 r. pociągnął za sobą setki tysięcy represjonowanych; w więzieniu siedzi m.in. charyzmatyczny lider parlamentarnej opozycji kurdyjskiej Selahattin Demirtaş. Z drugiej strony opozycja tylko o włos (i bez zarzutów →

Protesty po aresztowaniu Ekrema İmamoğlu. Sztambuł, 25 marca 2025 r.



FRANCISCO SECO / AP PHOTO / EAST NEWS

→ o fałszerstwa) przegrywała wybory parlamentarne i prezydenckie (2023 r.) i wygrywała wybory lokalne w głównych metropoliach, w tym w Stambule.

Teoretycznie nie można dziś wykluczyć zasadności zarzutów wobec İmamoğlu i jego ludzi: kieruje on dużym „biznesem” w kraju, w którym szara strefa i nieformalne układy mają się świetnie; jak mówią cynicy, tutaj na każdego są dowody, tylko nie każdym interesuje się prokuratura. Dziś jednak dalece ryzykowne byłoby odmawiać politycznej intencji i politycznych skutków tego, co się stało – oraz tego, co zapewne wydarzy się w sądzie. Turcja ma coraz silniejszy rys autorytarny.

Główny rywal Erdoğan

Próba odpowiedzi „dlaczego” jest bardziej spekulatywna. Oczywiście pokusa wyeliminowania groźnego rywala wydaje się bezdyskusyjna. Szerszym planem jest osłabienie głównej partii opozycji – jest nią właśnie CHP, która w 2024 r. w wyborach lokalnych zdobyła blisko 30 proc. głosów, a jej kandydat w wyborach prezydenckich blisko 48 proc.

CHP to partia starych kemalistowskich elit, tj. nacjonalistycznych i świeckich, dziś akcentujących hasła demokratyczne i europejskie (przymiotnik pochodzi od Kemala Atatürka, założyciela tureckiej republiki po I wojnie światowej). Elit, dodajmy, starego „głębokiego państwa” z własnym biznesem i zaplecze instytucjonalnym. Jest dziś też główną alternatywą wobec prezydenckiej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) dla pokolenia wyżu demograficznego, z jego rozbudzonymi aspiracjami i zmęczeniem po blisko ćwierćwieczu rządów AKP.

CHP jest wreszcie naturalnym liderem rozdrobnionej opozycji, punktowo (przykład İmamoğlu) szukającej porozumienia z lewicą kurdyjską. Aresztowanie İmamoğlu potęguje chroniczny

Aresztowanie mera Stambułu wpisuje się w ideologiczną i instytucjonalną przebudowę Turcji, którą Erdoğan prowadzi od ponad 20 lat.

w ostatnich dekadach problem przywództwa w CHP. „Przypadkiem” zbiega się też z ujawnieniem śledztwa (prowadzonego na wniosek zmarginalizowanych działaczy partyjnych) w sprawie korupcji w czasie wyborów władz CHP w 2023 r. Partii grozi więc dziś zarząd komisaryczny aż do wyjaśnienia sprawy.

Domykanie systemu

Równoległe poważnym przeciężeniom poddana jest inna formacja opozycyjna – lewicowa i kurdyjska Partia Równości i Demokracji Ludów (DEM; 9 proc. głosów w wyborach 2023 r.).

Z jednej strony, w ramach walki z kurdyjską partyzantką PKK, państwo tureckie zaostrzyło presję, ale z drugiej weszło w nowy etap otwarcia na Kurdów. Założenia ideologiczne PKK zakwestionował niedawno jej założyciel, przebywający w więzieniu Abdullah Öcalan. Zaplecze społeczne DEM i sama ta partia muszą się więc określić – lub podzielić.

W takim scenariuszu – podziałów w CHP i DEM – wybory, choćby przedterminowe, nie byłyby straszne dla władzy. W szerszym planie demontaż partyjnej ostoji kemalizmu i jej kurdyjskiej antytezy domknąłby ideologiczną i instytucjonalną przebudowę Republiki Turcji, pozwoliłby obozowi rządzącemu wrócić do projektu nowej konstytucji i spokojnie myśleć o przyszłości AKP i kraju, gdy zabraknie Erdoğan. Ma on 71 lat i za sobą bardzo intensywne życie.

W nowym świecie

Obecnego kryzysu w Turcji nie sposób zrozumieć w oderwaniu od kontekstu zewnętrznego.

Przez lata standardy europejskie forsował tu Zachód, uzależniając od nich

także współpracę gospodarczą (w pierwszej dekadzie przy zaangażowaniu samej AKP). Z czasem europejska presja zaczęła być traktowana jako instrumentalna i wywrotowa. Erdoğan zarzucał Zachodowi podsycanie protestów w 2013 r. czy wsparcie ze strony USA dla próby puczu w 2016 r. Z kolei mentorski ton Unii i USA podsycił tureckie resentymenty wobec Zachodu.

Dziś jest inaczej. Już choćby polityka Trumpa zdaje się potwierdzać turecką diagnozę, że porządek światowy się sypie, że liczą się twarde interesy i bezpieczeństwo, a nie porządkowanie ogródka u sąsiada. Stany ograniczają zaangażowanie w świecie i szukają mocnych partnerów, z którymi można rozwiązywać lokalne problemy (reakcje USA na obecny kryzys są mdłe). Z kolei Europa oswaja się z myślą o bezpieczeństwie bez USA i z niepokojem patrzy na Ukrainę czy na Bliski Wschód.

Turcja ma więc szansę być dla Europy głównym partnerem w regionie – ze swoją armią oraz z interesami, które umie egzekwować (w grudniu 2024 r. wypchnęła Iran i Rosję z Syrii, a w ostatnich latach umocniła się kosztem Rosji na Kaukazie i Morzu Czarnym).

Tureckie „sprawdzam”

Wielkie wizje mają to do siebie, że mierzą się z szarą rzeczywistością. Dzisiejszy kryzys i protesty nie wydają się zagrażać władzom – zapewne zabraknie im koordynacji, zapewne się wypalą. A jeśli nie, władzom zawsze pozostaje aparat państwa. Choć, z drugiej strony, frustracja w społeczeństwie jest duża, a pokolenie wyrosło pod rządami AKP prędzej czy później dojdzie do głosu. Pozostaje wreszcie czynnik losowy – społeczeństwo potrafi zaskoczyć...

Jednak na razie Erdoğan może mieć poczucie, że domyka się dzieło jego życia – nie tylko gdy idzie o wewnętrzną przebudowę Turcji, ale też uzyskanie przez nią pozycji samodzielnego podmiotu oraz bieguną politycznego i cywilizacyjnego, silnego i siłą własną, i zdolnościami koalicyjnymi na wielu kierunkach (w tym zachodnim). Aresztując İmamoğlu, Erdoğan zaprosił właśnie Europę (ale też USA) do kolejnej rundy pokera – i patrzy im prosto w oczy, mówiąc: sprawdzam.

© KRZYSZTOF STRACHOTA



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



ŁUKASZ GRAJEWSKI

Wystawa o przyznaniu praw wyborczych kobietom w Polsce w 1918 r. „Podwójnie wolne / Doppelt Frei” zorganizowana w berlińskim oddziale Instytutu Pileckiego w 2024 r.

Zagrożona misja w Berlinie

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Nowy dyrektor Instytutu Pileckiego zapowiada zmiany w berlińskim oddziale tego Instytutu. W stolicy Niemiec prowadzi on pracę edukacyjną i informacyjno-historyczną. Ta obecna formuła znajduje wielu obrońców – i to po obu stronach Odry.

PŁAC PARYSKI W BERLINIE JEST ZNANY głównie z bryły Bramy Brandenburskiej, która dominuje nad otoczeniem. Od godzin porannych turyści ustawiają się, by zrobić selfie upamiętniające ich pobyt w Berlinie.

Jednak plac Paryski to nie tylko Brama. W tym eksponowanym miejscu działa też oddział Instytutu Pileckiego – polskiej państwowej instytucji, która zajmuje się

badaniem i popularyzowaniem historii. Choć to centrum stolicy Niemiec, właśnie tu rozgrywa się konflikt, którego charakter jest czysto polsko-polski.

18 marca pracownicy oddziału Instytutu Pileckiego wysłali list do ministry kultury Hanny Wróblewskiej (pod ten resort podlega działalność Instytutu). „Nasz list jest reakcją na pojawiające się ostatnio publiczne komunikaty na temat naszej

pracy. W naszym odczuciu przedstawiają one jej niepełny, a wręcz wybiórczy obraz” – czytamy w piśmie, do którego treści dotarł „Tygodnik”.

Określenie „publiczne komunikaty” to dyplomatyczny eufemizm. Chodzi o wypowiedzi prof. Krzysztofa Ruchniewicza, który w listopadzie 2024 r. objął stery w Instytucie Pileckiego w Warszawie. W wywiadzie dla agencji PAP Ruchniewicz mówił o rzekomym braku kontroli nad oddziałem w Berlinie, sugerował odchudzenie zespołu i skupienie się na działalności badawczej.

Marcowy list to kolejny już etap sporu między nowym dyrektorem a berlińskim oddziałem Instytutu, który dotąd cieszył się dużą autonomią. I ma bezprecedensowe sukcesy w promowaniu nad Szprewą perspektywy historycznej zarówno Polski, jak też całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Dobre, ale PiS-owskie

W liście do ministry Wróblewskiej berlińscy pracownicy wyliczają swoje osiągnięcia: ok. 22 tys. uczestników ➔

→ wydarzeń zorganizowanych w 2024 r.; 2 tys. osób (w tym 300 nauczycieli) biorących udział w zajęciach edukacyjnych; obecność w czołowych niemieckich mediach; ważne partnerstwa zawiązane z niemieckimi instytucjami, m.in. z Senatem Berlina, Bundeswehrą i Archiwum Federalnym.

Tych zasług specjalnie nie trzeba referować naszym niemieckim rozmówcom.

– Strona polska zaprosiła mnie do Instytutu w Berlinie w 2020 r., jeszcze zanim objąłem urząd ambasadora w Polsce – opowiada „Tygodnikowi” Arndt Freytag von Loringhoven, który w latach 2020-22 pełnił funkcję ambasadora Niemiec w Warszawie. – Nie miałem wówczas wyrobionego zdania na temat tego miejsca. Słyszałem tylko, że jest to instytucja PiS-owska i z tego powodu stroną od niej przedstawiciele niemieckich instytucji.

– Zastanawiałem się, czy moja wizyta nie zostanie wykorzystana do legitymizacji bardzo nacjonalistycznej i czarno-białej ideologii promowanej wówczas przez polski rząd. Postanowiłem jednak sam wyrobić sobie zdanie na ten temat – wspomina Arndt Freytag von Loringhoven.

Dodaje, że koniec końców wystawa o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, więźniu i organizatorze ruchu oporu w obozie Auschwitz, zrobiła na nim wielkie wrażenie. Przyznaje, że wcześniej znał losy Jana Karskiego i historii AK, ale o Pileckim wiedział niewiele.

– Później odwiedziłem też wystawę o rzezi Woli, która również zrobiła na mnie duże wrażenie. Tylko kilka osób w Niemczech wie o tej masowej zbrodni – przyznaje ambasador.

Nasz rozmówca twierdzi, że spotkał się z otwartością i życzliwością berlińskiego zespołu. Po wystawach oprowadziła go kierownik oddziału Hanna Radziejowska. Jednocześnie w Warszawie ambasador obserwował antyniemiecką kampanię rządu PiS-u i „reformę” sądownictwa.

W tamtym okresie dla wielu niemieckich partnerów był to wystarczający powód do omijania berlińskiej ekspozytury Instytutu Pileckiego szerokim łukiem – nawet jeśli doceniali program i zaangażowanie zespołu.

Oni byli pierwsi

Przełom przyszedł wraz z atakiem Rosji na Ukrainę.

– 23 lutego 2022 r., na dzień przed inwazją, zorganizowaliśmy demonstrację przed Rosyjskim Domem w Berlinie [to instytucja promująca rosyjską kulturę, finansowana przez MSZ Rosji – red.] – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Iryna Shulikina z Vitsche, ukraińskiej organizacji działającej w Berlinie. – Podeszła do nas Hania [Radziejowska – red.] i zaproponowała, że jeśli będziemy potrzebować wsparcia, to możemy się zgłosić do Instytutu Pileckiego.

Dzień później Rosja uderzyła, a ukraińska diaspora w Berlinie zaczęła się organizować właśnie w Instytucie Pileckiego. – To było pierwsze miejsce w Berlinie, które nas wsparło w początkowej fazie pełnoskalowej agresji – podkreśla Shulikina.

Od tego momentu w programie berlińskiego instytutu na stałe zagościły wątki wspólne dla regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Działano w duchu „Za wolność naszą i waszą” i myśli Jerzego Giedroycia. Podkreślano wspólnotę historyczną i kulturową całego regionu.

– Przede wszystkim ważne było dla mnie informowanie o sytuacji na Białorusi. W Niemczech zdecydowanie za mało mówi się o tym kraju. Być może ta regionalna otwartość pomogła Pileckiemu wzbudzić zainteresowanie i sympatię – uważa Freytag von Loringhoven.

Za działania na tym polu berliński oddział otrzymał w 2024 r. pisemne podziękowania od Światłany Cichanouskiej, liderki białoruskiej opozycji.

Dr Franziska Davies, znana w Niemczech historyczka z Uniwersytetu Monachijskiego, zwraca uwagę, że „berliński Pilecki” znalazł swoją niszę w gąszczu instytucji w niemieckiej stolicy: – Duża konferencja na tak ważny temat jak tradycje kolonialne Rosji i Niemiec wobec Europy Środkowo-Wschodniej została po lutym 2022 r. zorganizowana właśnie tam, a nie w niemieckiej instytucji – wskazuje w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Franziska Davies jest jedną z ponad stu osób, które podpisały teraz petycję w obronie dotychczasowej formuły oddziału Instytutu w Berlinie. Inicjatorami petycji są te same ukraińskie organizacje, które w 2022 r. otrzymały wsparcie od „berlińskiego Pileckiego”. Pismo wraz z podpisanymi ma trafić do polskiej ministerstwa kultury w kwietniu.

O czym to ma być?

W świadomości berlińczyków, którzy interesują się sprawami Europy Środkowo-Wschodniej, oddział Instytutu Pileckiego funkcjonuje dziś już jako sprawnie zarządzany, samodzielny byt.

Jednak Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego z siedzibą w Warszawie to duża instytucja ze znacznym budżetem. Co oznacza spore możliwości, ale i problemy. Podstawowym jest brak odpowiedzi na podstawowe pytanie: czym ma być ta instytucja? Instytut powołano za rządów PiS-u i wielu twierdzi, że z polityczną intencją budowania w kraju i zagranicą konkretnej narracji historycznej: tej, w której wybija się bohaterstwo i ofiarność Polaków w starciu z brutalnością XX-wiecznych totalitaryzmów.

Formalnie, zgodnie z ustawą, nacisk ma być kładziony na działalność badawczą. Praktycznie Instytut na przestrzeni ostatnich lat rozwijał się na wielu poziomach. Centrala na pewno zasłużyła się projektami cyfrowej archiwizacji dokumentów oraz stworzeniem bogatej biblioteki. Cenna jest inicjatywa powołania w ramach Instytutu Centrum Lemkina, które dokumentuje rosyjskie zbrodnie wojenne w Ukrainie. Jednocześnie Instytut nieustannie musi mierzyć się z zarzutami dublowania roli Instytutu Pamięci Narodowej.

Dochodzą do tego nieudolne działania związane z innymi oddziałami zagranicznymi. Filia w Nowym Jorku to bardzo drogie i bardzo puste pomieszczenie na Manhattanie. Wciąż niejasna jest formuła oddziału w szwajcarskim Rapperswil. W ramach Instytutu tworzony jest też Dom Pamięci Obławy Augustowskiej; jego otwarcie planowane jest w lipcu tego roku.

Wszystkie te działania, prowadzone od założenia Instytutu w 2017 r., kosztowały polskiego podatnika już ponad pół miliarda złotych.

„Instytut Pileckiego jest akurat dobrym przykładem złego zarządzania i braku pomysłu albo może nadmiaru pomysłów, powiem tak, żeby kogoś nie krzywdzić, pomieszczenia pomysłów w jednej sprawie” – mówiła w lutym senatorka Koalicji Obywatelskiej Barbara Zdrojewska na posiedzeniu senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

Zarzut blokowania działań

Czy w świetle tych wszystkich problemów nowe kierownictwo Instytutu nie powinno raczej wspierać sprawnie działający oddział w Berlinie?

„Tygodnik” poprosił Hannę Radziejowską, kierowniczkę berlińskiego oddziału, o wyjaśnienie intencji stojących za wysłaniem listu interwencyjnego bezpośrednio do ministerstwa kultury. Odmówiła nam komentarza, argumentując, że nie jest upoważniona do wypowiadania się na temat działalności Instytutu.

Rozmawialiśmy za to z jednym z pracowników oddziału, którego nazwisko widnieje pod listem (nazwiska samej Radziejowskiej i jej zastępcy Mateusza Fałkowskiego nie ma na tej liście), a także z trzema osobami pracującymi w centrali w Warszawie. Wszyscy zgodzili się rozmawiać pod warunkiem zachowania anonimowości.

Nasi rozmówcy twierdzą, że nowy dyrektor Krzysztof Ruchniewicz regularnie krytycznie wypowiada się pod adresem berlińskiego zespołu i kierownictwa, oraz że szuka sposobu na przeprowadzenie tam zmian personalnych. Główną przeszkodą ku temu ma być jednak fakt, że oddział działa na prawie niemieckim, co może utrudnić proces ewentualnych zwolnień.

Ruchniewicz ma też wstrzymywać bieżące inicjatywy oddziału. Jeszcze w listopadzie 2024 r. miał zablokować organizację konferencji naukowej na temat polskich dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej. Planowano ją na 19 i 20 marca, w Berlinie. Informacja o możliwości zgłaszania tematów wykładów jest jeszcze dostępna na stronach niemieckich partnerów. Ze stron berlińskiego oddziału wszystkie informacje o konferencji zniknęły.

„Zmiany fundamentalne”

„Tygodnik” skontaktował się z prof. Krzysztofem Ruchniewiczem i wysłał w sprawie berlińskiego oddziału szereg pytań. W nadesłanych odpowiedziach dyrektor Instytutu podkreślił, że „w momencie powołania IP ustawodawca zapisał, że mamy być instytutem badawczym. Z niezrozumiałych dla mnie powodów moi poprzednicy ignorowali treść ustawy. Tylko około 7 proc. wszystkich pracowników IP stanowili pracownicy naukowcy. Jako obywateli i nowemu



VITSCHE BERLIN

HANNA RADZIEJOWSKA, kierowniczka berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego, 2024 r.

dyrektorowi IP, zależy mi na realizacji zadań przez instytucje publiczne zgodnie z wolą ustawodawcy”.

Ruchniewicz pisze też, że w organizacji przeprowadzane są zmiany: „zmniejszamy poziom zatrudnienia pracowników nienaukowych, chcemy zatrudniać pracowników naukowych, racjonalizujemy rozdmuchane wydatki, zamierzamy wprowadzić nowy regulamin, który konsultujemy z związkami zawodowymi i Radą Naukową. Jednocześnie dostosowujemy działalność merytoryczną Instytutu do celów wyznaczonych nam przez ustawodawcę”.

Dyrektor zaznacza, że „tak fundamentalne znaczące zmiany organizacyjne wymagają czasu”. Dodaje, że przedstawienie konkretnych kwestii „kilku tygodni”.

Ruchniewicz nie chce komentować informacji o zablokowaniu konferencji w Berlinie. „Mogę jednak zapewnić, że między innymi z racji mojej specjalizacji naukowej temat konferencji jest mi bardzo bliski i mam nadzieję, że taka konferencja się odbędzie” – dodaje.

Ruchniewicz jest Niemcoznawcą, był dyrektorem Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Naukowo zajmował się m.in. kwestią reparacji i niemieckich świadków dla polskich ofiar zbrodni nazistowskich.

Pytanie zasadnicze

„Tygodnik” wysłał także osobny katalog pytań do Ministerstwa Kultury. W odpowiedzi centrum informacyjne resortu pisze, że za działania Instytutu Pileckiego odpowiada jego dyrektor. To w jego gestii leży też decyzja o likwidacji oddziałów. „Ministerstwo nie wpływa na decyzje dotyczące bieżącego działania Instytutu”.

Resort informuje też, że w ramach przeprowadzonego audytu w oddziale Instytutu Pileckiego w Berlinie stwierdzono nieprawidłowości: „dotyczyły one m.in. programu stypendialnego – nieprawidłowo przyznanych stypendiów, błędów w regulaminie i ogłoszeniach o konkursach stypendialnych, realizowaniu działań, których zakres wykraczał poza ustawowe zadania (...)”. Powyższe nieprawidłowości skutkowały zwrotem do budżetu MKiDN części dotacji podmiotowej”.

Ministerstwo nie odpowiedziało natomiast na nasze zasadnicze pytanie, jak ocenia dotychczasową pracę Hanny Radziejowskiej i jej zespołu w Berlinie.

Nie trzeba niszczyć

Na salomonowe rozwiązanie w kwestii berlińskiego oddziału liczy prof. Piotr Madajczyk, Niemcoznawca i historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN: – Ich działania poszły bardziej w kierunku historii publicznej i polityki historycznej, ale to nie oznacza, że teraz trzeba to wszystko zniszczyć. Można przeprowadzić zmiany, wzmocnić część badawczą, ale jednocześnie umożliwić te działania, które się sprawdziły. Potrzebna jest tylko wola polityczna – uważa prof. Madajczyk, który zasiada w Radzie Naukowej Instytutu Pileckiego.

Nadzieję na kompromis w sprawie berlińskiego oddziału ma także Arndt Freytag von Loringhoven. Po zakończeniu misji dyplomatycznej w Warszawie i powrocie do Niemiec emerytowany dyplomata wciąż zabiera głos w debatach publicznych. Skupia się na zagrożeniu, jakie putinowska Rosja stanowi dla Europy.

– Pilecki powinien zdecydowanie kontynuować prezentowanie perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej w Berlinie – uważa Freytag von Loringhoven. – My, Niemcy, zdaliśmy sobie sprawę, że Polska znacznie lepiej rozumie rozwój sytuacji w Rosji. Możemy się od Polski wiele nauczyć. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

STAN BŁOGOSŁAWIONY

DANUTA STENKA, AKTORKA:

Czy dojrzała kobieta to gorszy sort człowieka, skoro nie interesują nas jej historie, skoro nie chcemy ich opowiadać?

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowie Pani o widoku z okna?

DANUTA STENKA: Okno, przez które najczęściej wyglądam, kuchenne, wychodzi na taras, przy którym rośnie brzoza płacząca, a na niej wiszą dwa karmniki. Całą zimę patrzę na ścigające się tam ptaki wszelakich gatunków. Głównie sikorki, bogatki i modraszki, ale też mazurki, między które próbują wcisnąć się duże sójki. Bywają dzięcioły. I kowaliki po pniu spacerujące głową w dół. A pod drzewem zbierają spady z karmników grzywacze i kosy.

Dalej jest ogród?

I lada moment zacznie się zazieleniać, dostrzegam już pierwsze sygnały wiosny. I co najważniejsze, topnieją z każdym dniem zimowe ciemności, nieznosny brak światła. Mam szczególną wrażliwość na światło pory dnia, światło pór roku, światło w pomieszczeniach, w jakich przebywam – na jego barwę, intensywność. Światło ma jakiś przemożny wpływ na mój stan psychiczny – poczucie bezpieczeństwa, poczucie zagrożenia. Również w pracy. Do tego stopnia, że kiedy wyjeżdżaliśmy na festiwal i graliśmy na scenie, która nie dawała możliwości zawieszenia reflektorów w podobnym miejscu co zazwyczaj, zdarzało mi się zapominać tekstu. Inne światło przenosiło mnie w inną rzeczywistość.

A sam ogród?

Jesienią posadziłam cebulki tulipanów, zonkili, narcyzów, widać już dziesięciocentymetrowe pędy. Jednak za mało mi kwiatów, więc sadzę je w donicach

na tarasie, na ganku. Wśród nich hortensje, których jesienią nie wyrzucam, tylko z pomocą ogrodników zadołowuję w miejscu, gdzie mogą przetrwać zimę, i na wiosnę sadzę w ogrodzie. Sporo krzewów już się w nim zadomowiło. A w poprzednim roku wyhodowałam pomidory i bakłażany z własnych sadzonek.

Skąd ta miłość do ogrodu?

W dzieciństwie pomagaliśmy мамie, brat i ja, podczas wiosennych prac w ogrodzie. Każde z nas dostawało wówczas swój zagonek, na którym mogliśmy siać, co nam się żywnie podoba. Warunek był jeden: mieliśmy o to dbać – plewić, podlewać. Jaka mnie radość rozpierała, jaka duma, kiedy kładłam na talerzu moje rzodkiewki! Ogródek warzywny wrócił do mnie. Ale minęło ponad pół wieku.

Dlaczego tyle czasu musiało minąć?

Zagonienie? Chroniczny niedoczas? Nasz dom budowaliśmy również z myślą o rodzicach męża. To teściowa stworzyła tu pierwszy warzywniak. Kiedy odeszła, wraz z nią umarł i ogródek. Zarastał, dziczał... I stał się moim wyrzutem sumienia. Któregoś dnia odwiedziliśmy z mężem moją kuzynkę w jej nowym domu i pokazała nam swoje oczko w głowie – warzywniak. Zachwycił nas. Grządki tworzyły wysokie skrzynie, tyle że bez dna. Można się o nie oprzeć, sadząc rośliny, można na nich przysiąść wyrывая chwasty – koniec z kłękaniem i bólem pleców.

To był ten impuls?

Dość szybko zrobiliśmy plan naszego sado-warzywniaka. Oczyszcziliśmy prze-

strzeń, postawiliśmy osiem skrzyń, posadziliśmy krzewy owocowe: borówki amerykańskie, jagody kaukaskie, czarne i czerwone porzeczki, agrest, ścieżki wysypaliśmy białym kamieniem. Uwielbiam to miejsce. Łapię się na tym, że wychodzę po pietruszkę, a wracam po dwóch godzinach. Tam czas inaczej płynie. Zawieszam się. Zastygam. W zachwycie, w zamyśleniu. Zabieram się do jakiejś pracy i zapominam o bożym świecie. A przy tym nie jestem typem ogrodniczki z wybujałymi oczekiwaniami.

Nie?

W poprzednim roku jakiś pomór kompletnie skasował ogórki i część pomidorów. Do tego kolejna inwazja ślimaków. Mąż stwierdził, że to nie ma sensu, tyle pracy poszło na marne. A ja... Oczywiście, że cieszą mnie piękne plony, że wołałabym zerwać te ogórki i choćby porozdawać znajomym, ale skoro się nie udało, to trudno. Ja z ogródka czerpię inne zyski.

→

DANUTA STENKA

(ur. 1961), aktorka. Od 2003 r. w zespole Teatru Narodowego. Grała w spektaklach m.in. Izabelli Cywińskiej, Krzysztofa Warlikowskiego, Grzegorza Jarzyny, Mai Kleczewskiej, Michała Zadary. Na małym ekranie popularność przyniósł jej serial „Boża podszewka” w reżyserii Izabelli Cywińskiej, na dużym film „Nigdy w życiu!” w reżyserii Ryszarda Zatorskiego.



→ Emocjonalne?

Wypadam z życiowego kołowrotka i ląduję w „tu i teraz”. Choć ogródek też bywa przyczyną stresu...

A jednak!

Po prostu uświadomił mi, że jeśli na przykład wejść w próby sztuki, która będzie miała swoją premierę przed wakacjami, to całą wiosnę spędzę w zamkniętym pomieszczeniu bez okien. A co z moim ogródkiem? W październiku skończę 64 lata. Ileż mi tych wiosen jeszcze zostało?

Tak Pani liczy?

Nawet gdyby się spełniło życzeniowe „sto lat”, półmetek już dawno przekroczyłam.

To jak właściwie jest u Pani z tym czasem?

Pamiętam, jak bardzo przeżywałam swoje trzydzieste urodziny. Rok 1991, pierwszy sezon w Warszawie, mąż został w Poznaniu. Rozłąka, obce miasto, obcy teatr, obcy ludzie, mieszkanie w wynajętym pokoju. Jesienna słota, jadę tramwajem do pracy i myślę, że oto jestem na piku mojego życia, a teraz czeka mnie już tylko zsuwanie się, jak mawiał mój kolega „do piórnika”. Podchodzę do mojego ówczesnego Teatru Dramatycznego, który mieści się w Pałacu Kultury, otwieram ogromne pałacowe drzwi i nadziewam się na wychodzącego Jurka Satanowskiego, który patrzy na mnie i mówi: „Coś się stało?”. Ja: „Kończę dziś trzydziestkę”. Na co on: „Kobieto! Wszystko, co najpiękniejsze, dopiero przed tobą!”.

Sprawdziło się?

Święte słowa! Przekazuję je z przyjemnością młodszym koleżankom. A już dwanaście lat później, w dniu moich urodzin, podczas próby z Gabrysią Kownacką i Izabellą Cywińską, stwierdziłam, że czterdziestka to fantastyczny wiek. Gabrysia natychmiast rzuciła: „Po pięćdziesiątce jest jeszcze ciekawiej, zobaczysz”. Na co odezwała się Cywińska: „Dziewczyny, o czym wy mówicie! Fajnie zaczyna się dopiero po sześćdziesiątce. Jeszcze tyle możesz, a już nic nie musisz”.

I jest fajnie?

Bardzo mi się podoba zasłyszana niedawno wypowiedź Olgi Tokarczuk:

Okazało się nagle, w drodze do kuchni, że jestem seniorką. Nie wpadłam na to.
Zaskoczyło mnie to, zadziwiło, ale i ubawiło.

„Okres między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką czy nawet siedemdziesiątką to czas wypłynięcia na szerokie wody. Już nie musimy funkcjonować na najwyższym poziomie: być bystrzaczami w pracy, super matkami, atrakcyjnymi seksualnie kochankami, które radzą sobie z tym wszystkim jednocześnie. Dla mnie to stan błogosławiony”. Nic dodać, nic ująć.

Kupowaliśmy lata temu naszym rodzicom pewien specyfik na wzmocnienie. I oczywistym było dla mnie, kiedy słyszałam w radiowej reklamie, że przeznaczony jest „dla seniorów”, dopóki któregoś dnia nie dotarła do mnie pełna wersja tej reklamy: „dla seniorów 50 plus”. Okazało się nagle, w drodze do kuchni, że jestem seniorką. Nie wpadłam na to. Zaskoczyło mnie to, zadziwiło, ale i ubawiło.

Ubawiło?

Nie przeraziło. Jeśli wiek budzi mój niepokój, to raczej ma to związek ze zdrowiem, utratą sprawności. Nie chciałabym, żeby dopadły mnie problemy z pamięcią.

To w końcu jak jest z tym czasem dla aktorki?

Kobiecie czas w tym zawodzie płynie szybciej, co znaczy, że szybciej wypada z gry. Najwięcej propozycji dostaje, kiedy jest młoda. Powinna chwycić moment, nie przegapić swojego czasu. Bo na dojrzałe lata propozycji dla aktorek jest coraz mniej, potem pojawiają się pojedyncze, aż wreszcie znikają. Choć niewątpliwie nastąpiły zmiany. O dekadę młodszą ode mnie Agata Kulesza powiedziała kilka lat temu: „Kiedy ty miałaś 40 lat, to tylko jedna z twojego pokolenia mogła dostać dużą rolę, reszta musiała czekać na następny sezon, albo cieszyć się drugim czy trzecim planem. A dziś my, aktorki z jednego pokolenia – Maja Ostaszewska, Magda Cielecka, Kinga Preis – gramy duże role równolegle”.

Poprawiło się?

Granica się przesunęła, choć mężczyzna w tym zawodzie nadal zajmuje pozycję uprzywilejowaną. Wiek działa na jego korzyść. Dojrzeć jako człowiek i jako aktor. Każda zmarszczka staje się jego atutem, więc nie musi się przejmować upływającym czasem i zmianami cielesnej powłoki. Kobieta również dojrzeć jako człowiek i aktorka, a jednak w pewnym momencie wypada z gry. Chciałoby się zadać pytanie, czy dojrzała kobieta to gorszy sort człowieka, skoro nie interesują nas jej historie, skoro nie chcemy ich opowiadać.

Ale ja mam chyba, co uświadomiłam sobie lata temu, męski stosunek do czasu, do kwestii wieku.

Dlaczego?

Zdarzało mi się w młodości dyskutować z propozycją roli. Uważałam, że jeszcze do niej nie dojrzałam, jeszcze za mało umiem, jeszcze nie mam odpowiednich narzędzi, że dla dobra spektaklu lepiej, żeby zagrała ją inna aktorka. Ja mam jeszcze czas. Uświadamiano mi, że nie mam racji, powinnam się podjąć tego zadania, a nawet jeśli nie udźwignę tej roli, powinnam to potraktować jako etap rozwoju, zdobywanie umiejętności, doskonalenie warsztatu. Więc zdarzało się, że skakałam na główkę do basenu, w którym nie spodziwiałam się wody.

Pani jako czterdziestolatka zagrała przecież w kinowym hicie: „Nigdy w życiu!”.

Ale decydenci nie widzieli mnie w nim. Pomimo sugestii Kasi Grocholi, autorki, że to ja powinnam zagrać Judytę. Uznali, że filmową czterdziestolatkę musi – z wiadomych względów – zagrać aktorka trzydziestoletnia. Tymczasem kiedy stanęły przed kamerą Judyta i jej nastoletnia córka, okazało się, że wyglądają jak siostry, więc trzeba było jednak powtórzyć zdjęcia próbne dla mojej półki wiekowej i... stało się. Mówi się, że w tym zawodzie sukces co najmniej w połowie zależy od szczęścia. Sama nie umiałabym zawalczyć o siebie. Ale od samego początku spotykałam ludzi, którzy we mnie wierzyli. Którzy widząc, że o siebie nie zadbam, brali mnie za rękę w swoją podróż. Na pewnym etapie zawodowej drogi pojawiły się agencje aktorskie, które niewątpliwie ułatwiły życie, szcze-

gólnie takim jednostkom jak ja. Obserwując młodych aktorów, ich walkę, ich determinację, jestem pewna, że dziś, bez dobrych duchów, których dane mi było spotkać, przepadłabym z kretesem. To zawód piękny, niezwykle, ale i okrutny, nieprzewidywalny, pełen niesprawiedliwości.

Pani aktorski wzorzec?

Byłam na pierwszym roku Studium Aktorskiego przy Teatrze Wybrzeże. Jako adepci, najniższy szczebel w hierarchii aktorskiej, statystowaliśmy całym rocznikiem w „Ślubie” Gombrowicza w reżyserii Ryszarda Majora, gdzie Joanna Bogacka, gwiazda tego teatru, grała Matkę. Uwielbialiśmy ją. Nie przyjaźniła się z nami, ale była wobec nas zadziwiająco serdeczna. Widać to było w wyrazie twarzy, tonie głosu, jak odpowiadała na dzień dobry czy nawet w niezobowiązującym zdaniu rzuconym gdzieś w przeszłości. Nie mówiąc już o tym, jaką była aktorką, jak pracowała, jaka była na próbach i w trakcie spektakli, skupiona, precyzyjna. Pamiętam dokładnie ten moment – stałam za kulisami, ona zeszła ze sceny, minęła mnie z tym ciepłym uśmiechem na twarzy, a mnie przemknęło przez głowę: „Chciałabym być taka jak ona”. I wiem, że myślałam o człowieku w tej aktorce.

To ważne?

Kluczowe. Moje marzenia zawodowe nie dotyczą ról, a ludzi, z którymi chciałabym wyruszyć w nieznanne. Tekst, nad którym mam pracować, jest bardzo ważny, ale zrezygnuję nawet z dużego zadania, jeśli nie wierzę w ekipę, a podejmę się najmniejszego epizodu, jeśli spodziewam się ciekawej ludzkiej przygody.

Teatr to praca zespołowa, a nie zestaw solowych występów. Jasne: każdy aktor rzeźbi swoją rolę, ale wspólnie budujemy świat, w którym będą żyć postaci przez nas tworzone. Bywają aktorzy, którzy w samotności pracują nad rolą, przychodzą na próbę i domagają się od reszty, żeby bezdyskusyjnie podporządkowała się ich wizji, dopasowała swoje postaci do ich rzeźby. To jest adres, pod który zupełnie mi niespieszno.

Pani jak rzeźbi?

Też w domu dziergam swoją rolę i przychodzę na próbę z jakimiś propozycjami, jakimiś pomysłami. Ale biorę pod uwagę, że być może, choć z bólem, trzeba się bę-

Jeśli uda mi się wejść w postać naprawdę głęboko,

to po skończonym spektaklu czuję się jak wrak człowieka.

To moja pokuta.

dzie z nimi rozstać. Kiedy w dyskusji z reżyserem czy partnerem zderzają się moje i jego zupełnie różne wyobrażenia czy rozwiązania, to proponuję: „Dobrze, nie przepychajmy się, spróbujmy obu wersji, zobaczymy, która do nas przemówi”. To oczywiście nie jest łatwe, zrezygnować ze swojego odkrycia i uznać czyjąś propozycję, tym samym odebrać swojej postaci jakiś ciekawy kolor na rzecz sprawy. Ale dając sobie tę możliwość, otwierając się na spojrzenie pod innym kątem, nierzadko docierałam do sensów, których bym nie odkryła, gdybym nie weszła na drogę zaproponowaną przez innego uczestnika naszej wyprawy. Bo to jest wyprawa. W nieznanne. Często w ryzykowne. Tu niezbędne jest wzajemne zaufanie, wspieranie się, inspirowanie.

Aktorstwo coś zabiera?

Spokój. Wiem, co to znaczy wieloletnia bezsenność i stan depresyjny. Jeśli jest pasją – zabiera czas. Widzisz dzieci śpiące, wracając nocą po spektaklu, i widzisz je nadal śpiące, wychodząc rankiem na plan zdjęciowy. Jesteś w domu, ale one tego nie wiedzą. Zabiera uwagę. Nawet jeśli spędzasz czas z bliskimi, a na przykład zbliża się premiera albo po prostu wymagający spektakl, trudny dzień zdjęciowy, próba, twoje myśli uciekają do innej rzeczywistości.

Czyli to sytuacja bez wyjścia?

Od kilku lat gram w Teatrze Narodowym Charlotte w „Sonacie jesiennej” Bergmana. Sławna pianistka, po siedmiu latach braku kontaktu odwiedza córkę i po raz pierwszy słyszy z jej ust, jak wyglądało jej dzieciństwo w cieniu matki-artystki. Odnajduję tam sytuacje ze swojego życia. To mój gorzki rachunek sumienia. I moja pokuta. Jeśli udaje mi się wejść w postać naprawdę głęboko, to po skończonym spektaklu czuję się jak wrak człowieka – zjada mnie ta rola, wyzera.

A znowu kiedy jestem daleko od poręczki, którą w dobrych momentach zawiesiłam wysoko, kiedy sam spektakl tyle mnie nie kosztuje, płacę za to po zejściu ze sceny. Wyrzutami sumienia wobec widzów, że nie dałam im wszystkiego, co mogliby i powinni dostać. A teatr to rozmowa, to wymiana – oddając dostajesz, dostając, masz z czego dać.

Ta wzajemność działa też poza sceną?

Śmiejemy się z mężem, że jesteśmy kasą zapomogową. Jeśli ktoś jest w potrzebie, a my możemy, to dzielimy się. Jednak pieniądze nie spadają nam z nieba. Mąż kiedyś grywał w totolotka. Bez spektakularnych rezultatów, ale nieugięcie próbował. Któregoś dnia mnie olśniło: „Słuchaj, naszej skarbonki nie napełni żadna czarodziejska różdżka. My należymy do tych szczęśliwców, którzy dostają od losu pracę”. I rzeczywiście, ilekroć komuś pomagamy, pozbywając się naszych oszczędności, po chwili pojawia się jakaś zawodowa propozycja, możliwość uzupełnienia skarbonki. Niewątpliwie po to, żebyśmy mieli czym się dzielić.

To są właśnie te rodzkiemki, zebrane z grządk, którą podarowała Pani mama?

Między innymi. Moja mama skończyła w październiku 90 lat. Kiedy do niej przyjeżdżam, zasiadamy przy stole i toczy się długa, kilkudniowa, okraszana posiłkami rozmowa, z przerwą na sen. Lubię tę opowieść o małej Agacie, która przychodziła do pokoju dziadków i kiedyś zapytała, dlaczego tak długo patrzę się w te płachty papieru. Wtedy usłyszała, że to są gazety, a te znaczki to litery. W słowie „gazeta” są takie, z których można utworzyć jej imię. Widzę oczyma wyobraźni tę małą dziewczynkę, jak biegnie do kuchni z kartką papieru i ołówkiem, z dala krzyczy do mamy i siostr: „Jô sã mōgã pōdpisać!” i nie zważając na ich pobłażliwe komentarze, ku ich ogromnemu zaskoczeniu koślawymi, drukowanymi literkami pisze: AGATA.

I jak się potoczyły jej losy?

Od zawsze chciała zostać nauczycielką. Ale żeby przystąpić do egzaminu do szkoły średniej, należało ukończyć siedmioletnią wówczas szkołę podstawową. Jej wiejska podstawówka miała tylko ➔

→ sześć klas, więc czwórka czy piątka uczniów marzących o dalszej nauce błagała nauczycielkę o pomoc, a ta wywalczyła dla nich w urzędach tę możliwość. Ci zapaleńcy chodzili do szkoły na dwie zmiany – rano do klasy szóstej, a po południu przerabiali materiał z klasy siódmej. Mimo że wówczas przepis na los dziewczynki na wsi był prosty i oczywisty – uczyła się, jak prowadzić gospodarstwo, i wychodziła za mąż – dziadkowie byli otwarci na marzenie mamy. Jednak zanim skończyła podstawówkę, babcia zachorowała na raka i wszystkie pieniądze dziadek przeznaczał na leczenie. A po wojnie rolników, zwłaszcza tych, którzy mieli więcej ziemi, wykańczano podatkami ponad miarę. Plany legły w gruzach, ale mama bardzo chciała się uczyć, a że wykazywała się talentem i pracowitością, wstawiali się za nią u dziadka i nauczycielka, i ksiądz.

Pomogło?

Niewiele to dało, po prostu nie było pieniędzy. Aż któregoś dnia zastukał do ich drzwi, żeby przecze-kać ulewę, nauczyciel z sąsiedniej wsi. Wy tłumaczył dziadkowi, że tak naprawdę jest to kwestia opłacenia pierwszego semestru, bo jeśli Agatka będzie miała dobre wyniki w nauce, dostanie stypendium. Mama wybłagała, żeby pozwolił jej pojechać na egzamin wstępny – jeśli go nie zda, temat sam się zamknie. Zdała egzamin, uczyła się świetnie, dostała stypendium i całe życie przepracowała jako nauczycielka.

Ale trudno było mamie tę swoją rzodkiewkę wyhodować.

Podziwiam ją, jej determinację. Tym bardziej że moją drogę wymyśliła i wręcz wepchnęła mnie na nią polonistka w liceum. A w zawodowej podróży spotykałam ludzi, którzy prowadzili mnie za sobą, otwierali przede mną furtki. Ja dostałam prezent od losu. Dostawałam swoje zagonki, swoje role, nie musiałam o nie walczyć. Niewątpliwie pod tym samym warunkiem co w dzieciństwie, że będę je uczciwie obrabiać.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



Kochaj i nie bój się strachu

PIOTR SIKORA

Ewangelia nie obiecuje, że nic złego nas nie spotka. Ale wskazuje, co robić, by strach nas nie zniszczył.

STALO SIĘ. O ILE JESZCZE NA POCZĄTKU roku niepokój przed nadchodzącą przyszłością mógł wydawać się nieco na wyrost, to teraz strach jest uzasadniony. Amerykanie – wszystko na to wskazuje – nie będą nas bronić przed Rosją. Czy Ukraina może upaść, a Rosja – najechać na Polskę? Strach, że czeka nas wojna, nie wydaje się wcale bez racji.

Próba przykrycia go wiarą, że Bóg uratuje nas od nieszczęścia, nie wydaje się zbyt rozumna. Skoro nie ustrzegł pobożnych chrześcijan w Buczy, Mariupolu i Aleppo – dlaczego miałby zachować nas?

W Ewangelii nie znajdziemy obietnicy, że wszystko będzie dobrze, że dobry, boski Ojciec uchroni nas od zła tego świata. Co nie znaczy, że w nauce Mistrza z Nazaretu nie ma wskazówek, jak mądrze przeżywać strach.

Nie zamykać oczu

Pierwsza wskazówka: Nie uciekać od najtrudniejszej prawdy o rzeczywistości. Jezus mówi wyraźnie: „Jeśli ktoś chce zachować swoje życie (dosł. swoją *psyche*), straci je” (Łk 9, 24). I nie warto przesadzać, uważać od razu na koniec wersetu: „a kto straci swoje życie (*psyche*) z mego



OKSANA IVANOVA / GETTY IMAGES

Plac zabaw na osiedlu mieszkaniowym zniszczonym przez ostrzał rakietowy. Połtawa, Ukraina, luty 2025 r.

lacji emocji polega w dużej mierze na zdolności ich świadomego przeżywania, obserwacji, jak narastają i przemijają – niczym fala – bez prób tłumienia, a jednocześnie bez „karmienia” lęku rozwojem w głowie scenariuszy czekających nas katastrof i nieszczęść.

Szukać skarbu

Dlatego właśnie Jezus radzi ludziom pełnym niepokoju o swoją przyszłość: „*me merimnate*” (por. np. Mt 6, 25) – co po polsku tłumaczmy często „nie troszczcie się”, ale w swojej istocie jest ostrzeżeniem, byśmy nie uwikłali się w chaotyczne pragnienia, dążenia, troski, oczekiwania, napędzane przez rozproszenie uwagi, zwracającej się ku każdej informacji, która pojawia się w polu świadomości. Zamiast takiego rozproszenia, mówi Nauczyciel, potrzeba jednego – koncentracji na Logosie życia, gromadzenia wewnętrznego skarbu. Uważaj, radzi Jezus, gdzie jest twoje serce, twoje najgłębsze pragnienie. Drogą do wolności od strachu jest odkrycie tego, co najważniejsze. Tego, co tak naprawdę się liczy.

Albowiem uratować się można tylko w jeden sposób: tracąc życie dla Niego. Trzeba jednak pamiętać, że nie musi to się wiązać z wyraźną pobożnością lub gorliwą przynależnością religijną. Tak naprawdę istotne jest, by być przy samotnym, nakarmić głodnego, przyjąć tułacza. „Co uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili” (por. Mt 25, 34-40).

A zatem we współczesnym kontekście (który zapewne nie różni się od wielu dawnych oraz przyszłych sytuacji), pójść za radą Jezusa znaczy nie uciekać przed świadomością nietrwałości każdej sytuacji „na tym świecie”, ani nie zamykać oczu na własną śmiertelność. Nie tłumić strachu przed nadchodzącą stratą, także tą ostateczną – nieuniknioną śmiercią, własną i bliskich; nie unikać smutku, gdy nadejdzie. Uczuć się przeżywać także te trudne emocje – pozwalając im, by przychodziły i odchodziły w swoim tempie, przyglądając się im ze zrozumieniem i rozpoznając w ten sposób doświadczenie, że choć trudne i nieprzyjemne, same w sobie nie są dla nas groźne – że potrafimy je znosić.

Nie karmić smoka

Jednocześnie trzeba pamiętać, że silne emocje zawężają i kierunkują nasz sposób percepcji rzeczywistości. Smutnym wyda się ona bardziej ponura, przestraszona – pokaże się jako groźniejsza. W konsekwencji tak zniekształcona percepcja świata wzmocni przeżywane emocje. Trzeba więc podjąć wysiłek, by – doświadczać emocji – nie dać się w nich zamknąć. Nie karmić ich niepotrzebnie. Na przykład: nie rozpraszać uwagi, poszukując informacji, których znajomość daje poczucie orientacji w świecie, ale których tak naprawdę nie możemy wykorzystać do żadnego pożytecznego i skutecznego działania.

Karmienie się takimi wiadomościami jest jednym z podstawowych źródeł niepotrzebnego stresu. Umysł nasz bowiem ma taką naturę, że gdy dotrze do niego informacja o zagrożeniu, będzie podejmował próby rozwiązania tego egzystencjalnego problemu. Będzie zatem próbował usunąć zagrożenie. W tym celu będzie tworzył scenariusze możliwych katastrof i sposobów ich uniknięcia – wszyscy prawdopodobnie dobrze znamy to zjawisko.

Ono nasila się tym bardziej, im mniej jesteśmy w stanie zrobić w danej sytuacji. Gdy nie możemy rozwiązać problemu – bo ewentualne rozwiązanie leży w mniej lub bardziej odległej przyszłości, albo jest to kwestia, która w ogóle przekracza nasze możliwości – bardzo trudno nam powstrzymać się od prób robienia tego „w głowie”.

Rozsądne jest zatem ograniczenie poszukiwania takich informacji, z którymi nie możemy nic zrobić. Cóż bowiem z tego, że wiemy, co powiedział lub zrobił ten czy inny polityk, albo jakie ustalenia podjęto na takim czy innym spotkaniu „wielkich tego świata” – jeśli wiedza ta nie ma znaczenia dla żadnej z decyzji, które my możemy podjąć w naszym konkretnym życiu?

Tym bardziej że nasze zasoby poznawcze są ograniczone. Zajmowanie umysłu tym, na co nie mamy wpływu, odwraca naszą uwagę od tych aspektów świata, które zależą od naszych działań. W perspektywie zaś, którą rysuje Jezus (i która zgodna jest z rezultatami badań współczesnej nauki), nasze szczęście zależy najbardziej od jakości relacji, które budujemy z ludźmi wokół siebie. Tylko miłość może sprawić, by strach nas nie niszczył. ©®

powodu, zachowa je”. Albowiem, zanim pojawi się słowo o nadziei ratunku, najpierw dwukrotnie wspomniana jest strata. A zatem – zachowanie życia nie polega na tym, że nie stanie się nam nic złego. Ratunek ma zupełnie inny charakter, a strata pozostaje rzeczywista.

Próbując zrozumieć, ku czemu Mistrz nas prowadzi, warto posłuchać innych Jego słów: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się, i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się, i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” (Mt 6, 19). Rzeczy tego świata nieuchronnie przemijają – niszczone przez siły natury (rdza i mole), a także przez działanie ludzi (złodzieje). Nasza biologiczna i społeczna egzystencja jest naprawdę i nieuchronnie zagrożona – a więc strach, naturalna emocjonalna reakcja na zagrożenie, jest bardzo często na miejscu.

Ewangeliczna perspektywa spotyka się tu z empirycznym doświadczeniem – jeśli się boimy strachu i próbujemy go uniknąć – on się wzmacnia. Sztuka regu-

Utopijna doktryna

ARTUR SPORNIAK

Trzydzieści lat po ogłoszeniu „Evangelium vitae” trudno nie zauważyć, że encyklika Jana Pawła II promuje restrykcyjne zasady i ignoruje perspektywę kobiet.

WIELOLETNI WSPÓŁPRACOWNIK JANA Pawła II opowiadał, że rzadko widywał go zirytowanym. Jednak w tamtej sytuacji zniecierpliwienie było wyraźne. Gdy rozmawiał z papieżem o powiklanej historii życiowej w związku z trudną ciążą ich wspólnej znajomej, podsumował swoją opowieść stwierdzeniem: „To sytuacja bez wyjścia”. A papież bardzo stanowczo odpowiedział: „Nie ma sytuacji bez wyjścia!”.

Obowiązkowi nie do zrealizowania

Warto tę wypowiedź mieć na uwadze, gdy próbujemy analizować rygorystyczne podejście Jana Pawła II do aborcji i innych kwestii moralnych w encyklice „Evangelium vitae”, której 30. rocznicę ogłoszenia niedawno świętowano. Wojtyła odrzucał istnienie rzeczywistych dylematów moralnych, czyli sytuacji, w których każde z podjętych działań będzie moralnie złe. Odrzucał nie dlatego, że takie sytuacje się nie zdarzają, tylko dlatego, że według niego nie mogą się zdarzyć.

Dokonanie złego czynu byłoby śmiercią duszy, gorszą nawet od śmierci ciała, dlatego gdybyśmy byli do tego zmuszani, w efekcie rzeczywistych dylematów moralnych, popełnialibyśmy za życia duchowe samobójstwo. A przecież Bóg nie mógł stworzyć tak złośliwego świata. To stara doktryna etyczna Kościoła, z dużą determinacją przypominana i wzmocniana za pontyfikatu Jana Pawła II. Obecny pontyfikat dyplomatycznie przestał się na nią powoływać.

Co jest, a czego nie ma w encyklice?

Dlatego „Evangelium vitae”, która w zamiarze miała być „dobrą nowiną o życiu”, formułuje przede wszystkim przekaz negatywny w postaci bezwzględnych norm,

od których nie ma wyjątków, zabraniających aborcji i eutanazji jako zabójstwa niewinnej osoby. Czyni to, sięgając po język uroczystego definiowania dogmatów (co wzbudziło konsternację teologów, o czym za chwilę).

Encyklika wiele też mówi o obowiązku stanowienia prawa, które karałoby wszystkie osoby przyczyniające się do aborcji – łącznie z matką (choć papież uwzględnia możliwość braku jej winy). Kompromis jest uzasadniony jedynie w sytuacji, kiedy nie jest możliwe uchwalenie prawa bardziej restrykcyjnego.

Natomiast nie ma w tym dokumencie rozważania dramatycznych przypadków – np. ciąży zagrażającej życiu matki czy ciąży z gwałtu. Ani odnoszenia się do rozwiązań wypracowanych przez współczesnych etyków. Najwyraźniej papież nie chciał dyskutować o konsekwencjach – jednak zaskakujących – swojego nauczania.

Przede wszystkim zignorowana została perspektywa kobiet, choć prawo aborcyjne jest jedynym, które w tak dużym stopniu „wchodzi” w ludzkie (kobiece) ciało. O kobietach mówi się bez nich. Jan Paweł II odwołuje się jedynie do opinii biskupów, których głos jest mu potrzebny, by pokazać, że wypowiada prawdę powszechnie i jednomyślnie głoszoną w Kościele (cechy nauczania nieomylnego). Mamy precyzyjnie rozpoznane normy, które zostały dane „z góry” – papież i biskupi je przekazują, a świeccy mają je wiernie aplikować do sytuacji życiowych. Co o tym sądzą, nie jest ważne, przeciwnie – papież daje do zrozumienia, że świeccy łatwo ulegają pokusie relatywizmu. Choć kilkakrotnie Jan Paweł II wspomina o trudnościach, jakie ciąża może powodować w życiu kobiet (np. materialne

ubóstwo), nie ma to jednak wpływu na główne rozstrzygnięcia. Mamy Kościół nauczający (biskupów wraz z papieżem) i Kościół słuchający (całą resztę). Prawdy Bożej w takim podejściu ani się nie rozpoznaje, ani tym bardziej nie weryfikuje w życiu.

Dogmat, nie dogmat

Ceniony przez Jana Pawła II polski teolog ks. Stanisław Nagy (papież mianował go pod koniec życia kardynałem) miał pewien kłopot z oceną stopnia pewności nauczania przedstawionego w encyklice. W artykule opublikowanym w 1996 r. w Śląskich Studiach Historyczno-Teologicznych zastanawiał się, czy papież ogłosił w tym dokumencie dogmat. W trzech miejscach bowiem pojawiają się sformułowania charakterystyczne dla uroczystych formuł dogmatycznych. Potępiają one zabójstwo niewinnej istoty ludzkiej, aborcję i eutanazję.

Zacytujmy pierwsze: „Dlatego mocą Chrystusowej władzy udzielonej Piotrowi i jego Następcom, w komunii z biskupami Kościoła Katolickiego, potwierdzam, że bezpośrednie i umyślne zabójstwo niewinnej istoty ludzkiej jest zawsze aktem głęboko niemoralnym. Doktryna ta, oparta na owym niepisanym prawie, które każdy człowiek dzięki światłu rozumu znajduje we własnym sercu (por. Rz 2, 14-15), jest potwierdzona w Piśmie Świętym, przekazana przez Tradycję Kościoła oraz nauczana przez Magisterium zwyczajne i powszechne”.

Brakuje jednak kluczowego elementu: jasnego komunikatu, że papież chce ogłosić dogmat. Dlatego ks. Nagy był prawie pewien, że mamy tu do czynienia z nauczaniem bez angażowania nieomylności (tzw. nauczaniem autentycznym). Tymczasem zbiła go z tropu rozmowa z kard. Josephem Ratzingerem, gdy polski teolog był w Rzymie na zebraniu watykańskiej Komisji Teologicznej, której był członkiem. Ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary dwukrotnie stanowczo twierdził, że jest to nauczanie nieomyślne i tajemniczo odsyłał do artykułu, który niebawem miał się ukazać w „L'Osservatore Romano”.

Autorem tego artykułu okazał się ówczesny sekretarz Kongregacji Nauki Wiary abp Ratisio Bertone, a całą operacją zawiadował kard. Ratzinger, przy wsparciu Jana Pawła II. Chodziło o wpro-



ARTURO MARI / AP / EAST NEWS

Jan Paweł II podpisuje encyklikę „*Evangelium vitae*”. Watykan, 25 marca 1995 r.

wadzenie do nauczania nowego sposobu ogłaszania prawd nieomylnych. Papież dokonał realizacji tego pomysłu w 1998 r. w liście „*Ad tuendam fidem*”. Obok nadzwyczajnego nauczania papieża i soborów (np. *Credo* czy ogłaszanych dogmatów maryjnych) oraz nieomylnego nauczania zwyczajnego i powszechnego (np. nigdy nie zdogmatyzowanej, ale też nigdy nie kwestionowanej prawdy o Odkupieniu), dokument wprowadzał pojęcie prawd powiązanych – historycznie lub logicznie – z prawdami objawionymi, które papież ogłasza jako „ostateczne” (np. prawomocność wyboru papieża, zwoływanych soborów czy kanonizacji, ale również prawdy moralne, jak niedopuszczalność eutanazji czy prostytucji).

Operacja nie do końca się udała. Teologowie wciąż dość gremialnie kontestują „ostateczność” ogłaszanych prawd – np. nauczanie o święceniach kapłańskich, zarezerwowanych wyłącznie dla mężczyzn, które ogłoszono

jako „ostateczne”, ale jest z powrotem gorąco dyskutowane z obecnego pontyfikatu. Francuski teolog Bernard Sesboué w książce „*Władza w Kościele*” przestrzega, że ryzykowne jest wyrażanie papieskiej nieomylności zwykłym aktem nauczycielskim (czyli poza kontrolą biskupów czy soboru).

Życie od poczęcia

W encyklice „*Evangelium vitae*” Jan Paweł II zignorował też toczącą się dyskusję o początku życia. Ma to konkretne konsekwencje, co widać np. w nieugiętym stanowisku Kościoła w sprawie tzw. pigułki „dzień po”. Katolicka doktryna moralna zakłada, że kobieta ma prawo obrony przed gwałtem i jego skutkami stosując antykoncepcję (głośny kazus zakonnic stale zagrożonych gwałtami w latach 60. XX wieku podczas wojny domowej w Kongu), ale sprzeciwia się stosowaniu pigułki „dzień po” uznając, że uniemożliwia ona zagnieżdżenie zarodka, gdyby do za-

plodnienia jednak doszło (choć prawdopodobieństwo tego jest bardzo niewielkie). Tak więc oprócz działania antykoncepcyjnego ma też charakter wczesnoporonny. Dramat zgwałconej kobiety z Kolonii (Niemcy), której w 2012 r. w dwóch katolickich szpitalach odmówiono podania tej tabletki, wydaje się być pokłosiem encykliki „*Evangelium vitae*”, która naucza, że życie ludzkie zaczyna się od poczęcia i od tej chwili powinno być chronione, gdyż zarodkowi przysługuje pełnia praw osobowych.

Jan Paweł II odwoływał się do genetyki, która ukazuje, że „od pierwszych chwil istnieje dokładny program tego, kim będzie ta żywa istota: człowiekiem, tym konkretnym”. Problem w tym, że wykorzystywał wiedzę naukową selektywnie. Powstanie odrębnego genomu w trakcie zapłodnienia nie jest równoznaczne z powstaniem jednostkowego odrębnego życia – zauważają filozofowie. Przed zagnieżdżeniem zarodek jest tworem bardzo plastycznym – może się jeszcze podzielić (wówczas powstają bliźniaki jednojajowe), możliwa także jest, choć bardzo rzadko, fuzja dwóch zapłodnionych komórek jajowych (powstaje wtedy genetyczna chimera). Czy zatem nie za wcześnie przypisujemy ludzkiemu zarodkowi miano „istoty ludzkiej”, a co za tym idzie – cech osobowych? Istoty się nie dzielą ani nie zlewają w jedną. Dyskusja w tej kwestii wciąż trwa. Jan Paweł II uznał jednak sprawę za zamkniętą.

Do czego prowadzi „*Evangelium vitae*”?

Zdecydowanie papieża-Polaka najbardziej podważają jednak konsekwencje, jakie encyklika niesie w sytuacjach dramatycznych. Jak postąpi lekarz, który będzie chciał wiernie kierować się wymogami stawianymi przez encyklikę np. w przypadku ciąży zagrażającej życiu, o czym papieski dokument milczy?

Stosując się do nauczania Jana Pawła II – powinien czekać. Nie wolno mu zlikwidować zagrożenia przez dokonanie aborcji, bo zakaz uśmiercania życia niewinnego płodu jest bezwzględny. Można tu ujrzyć odniesienie do tradycyjnej doktryny (choć akurat papież do niej w encyklice się nie odwołuje), że zaniechanie dobra, czyli ratowania, skutkuje mniejszą winą moralną niż czynienie zła. Jan

→ Paweł II uprzedza natomiast, że lekarz nie może powołać się w tym przypadku na zasadę dopuszczalnej obrony przed napastnikiem, bo niewinny płód nie jest przecież agresorem (choć dylemat, jakim słowem nazwać czynnik zagrażający życiu kobiety, jest dla niej samej z pewnością najmniej istotny).

Lekarz powinien więc czekać do momentu, aż życie kobiety będzie bezpośrednio zagrożone. Dopiero wtedy może zacząć ją ratować, usuwając płód i powołując się na zasadę podwójnego skutku: śmierć płodu jest złym, ale niechcianym skutkiem dobrego czynu ratowania życia matki. Tę zasadę tradycja uświęca, choć ratunek przychodzi także kosztem życia płodu, w dodatku znacznie zwiększając ryzyko śmierci kobiety. Co pokazuje, do czego prowadzi naginanie rzeczywistości do doktryny.

Jeszcze bardziej bezwzględny będzie lekarz idący za wskazaniem „*Evangelium vitae*” w przypadku ciąży z gwałtu. Tu po prostu odmówi aborcji, bo nowe życie ludzkie jest wartością niewymierną, nawet w porównaniu z najbardziej traumatycznym doświadczeniem.

W podobnych sytuacjach nie etyka zawodzi, ale utopijne założenie, że w rzeczywistości nie może dojść do konfliktu obowiązków moralnych. A przecież dochodzi. Etycy proponują różne sposoby rozwiązania tego problemu – może da-

Encyklika prezentuje utopijne założenie,
że w rzeczywistości
nie może dojść do konfliktu
obowiązków moralnych.

lekcie od doskonałości, ale przecież warto uwagi. Na przykład – skoro kobieta ma prawo bronić się przed gwałtem, nawet uśmiercając napastnika, można by ciążę będącą skutkiem gwałtu potraktować jako kolejną jego fazę (biorąc pod uwagę doświadczenie kobiety – również straszne). Dlaczego kobieta ma być nadal bezbronna? Czy wina za śmierć płodu nie obciąża sprawcy gwałtu?

Papież na takie rozwiązania był jednak programowo głuchy.

Epilog pisany przez Franciszka

Głuche na dyskusje i argumenty były też instytucje ustanowione przez Jana Pawła II – ustanowiony w 1981 r. przy Uniwersytecie Laterańskim Papieski Instytut Studiów nad Małżeństwem i Rodziną oraz powołana w 1994 r. Papieska Akademia Życia. Instytucje te nie studiowały problemów, tylko pomagały papieżowi krzycić sztywną doktrynę. Statut

Akademii nie wymagał od członków, by byli katolikami, ale musieli podpisać deklarację zwaną „Świadectwem Sług Życia”, potwierdzającą akceptację katolickiej nauki o ochronie życia od poczęcia do naturalnej śmierci.

Zmiany przyszły za pontyfikatu Franciszka. Papież Bergoglio zreformował obie instytucje. Odszedł od wizji „*Evangelium vitae*”, poszerzył zakres tematów, jakimi mają się zajmować. Uznał, że życie nie sprowadza się tylko do jego początku i końca. W obu instytucjach pojawili się specjaliści i wykładowcy zajmujący się migracją, ubóstwem, ekologią. Ku zgorzseniu środowisk konserwatywnych niektórzy nowi członkowie Papieskiej Akademii Życia publicznie opowiadali się za aborcją w pewnych przypadkach. Instytucja zmieniła nazwę na Papieski Instytut Teologiczny Jana Pawła II dla Nauk o Małżeństwie i Rodzinie.

Długoletni jego wykładowca prof. Stanisław Grygiel krytykował zmiany: „Jedno nowe słowo w tytule mówi wszystko: »dla nauk«. Jakich nauk? Nie ma przecież nauk o małżeństwie i rodzinie. Więc o czym ten tytuł mówi? Tylko o tym, że socjologia, psychologia i tym podobne nauki będą decydowały o tym, jak i co należy myśleć o małżeństwie i o rodzinie w nowo powstałym Instytucie”.

Zmiany przypieczętowała deklaracja o godności człowieka „*Dignitas infinita*”, zredagowana przez Dykasterię Nauki Wiary, pod nowymi rządami mianowanego dwa lata temu prefekta kard. Víctora Manuela Fernández. Dokument po raz pierwszy w historii Kościoła potępił penalizację homoseksualizmu, odszedł od sztywnego doktrynalnego języka, a kard. Fernández, opisując we wstępie trudności, z jakimi się spotkał podczas długiego, 5-letniego okresu redakcji, nie udaje, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania. We fragmencie potępiającym aborcję znalazł się cytat z „*Evangelium vitae*”, ale nie ten najbardziej doktrynalny, który sprawił kłopot kard. Nagiemu.

Symboliczne jest, że nowa deklaracja zatwierdzona została przez papieża Franciszka w 29. rocznicę ogłoszenia przez Jana Pawła II „*Evangelium vitae*”. Wygląda na to, że czas doktrynalnej sztywności tej encykliki powoli mija.

©© ARTUR SPORNIAK

„O Pani nasza, o Matko nasza, pomnij, żeśmy Twoi...”

Ś.†P.

Izabela ze Swieżawskich Płatkowska
wdowa po śp. Bohdanie

Urodzona 30.05.1931 roku we Lwowie.
Zasnęła w Panu 23.03.2025 roku w Warszawie.
Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 28 marca w rodzinnym Kryłowie,
o czym zawiadamia pogrążona w głębokim smutku

SIOSTRA Z RODZINĄ

Życzeniem Izy było, by w ramach jej upamiętnienia wesprzeć
Katolicką Wspólnotę Chleb Życia

POŻEGNANIE

O. WACŁAW

Oszajca: Dwie twarze Boga



W OCZACH NAUCZYCIELI PISMA I FARYZEUSZY Jezus uchodził za heretyka, skrajnie subiektywnie, liberalnie interpretującego Pismo i tradycję. Szukali więc okazji, by go unieszkodliwić. I gdy takowa się pojawiła, podrzucają mu do rozwiązania dylemat, kazuś, w ich opi-

nii niemożliwy do rozwikłania. Co zrobić z kobietą, którą „dopiero co przyłapano na cudzołóstwie? Mojżesz polecił nam w Prawie, aby takie kobiety kamienować. A jakie jest Twoje zdanie?”. Ewangelista pisze, że Jezus, nim się odezwał, pisał palcem na ziemi; nie wiemy co – może nic. Ale przecież po usłyszeniu: „Ten z was, który jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem (...) zaczęli po kolei rozchodzić się, poczynając od starszych ludu”. Stał się cud do kwadratu. Starsi ludu „zmienili swoje myślenie” i zrezygnowali, przynajmniej na razie, z dalszego nękania Jezusa. A co najważniejsze – „w tym dniu ocalono krew niewinną”. Nad porządkiem potępienia, winy i kary górę wziął porządek miłości i miłosierdzia.

Stąd wydarzenie na dziedzińcu świątyni jerozolimskiej można odczytać jako zderzenie dwóch typów religijności, dwóch obrazów Boga i jego związku z ludźmi. Jeden – zbudowany zgodnie z logiką winy, kary i potępienia; drugi – zbudowany w logice miłości i miłosierdzia. I tak jest wciąż, do dzisiaj, w katechizacji i kaznodziejstwie, nie mówiąc o pieśniach – te dwa obrazy Boga wciąż się przeplatają.

Biblia „pisała się” przez ponad tysiąc lat, ale zawiera treści jeszcze starsze, zapożyczone z innych religii i kultur. Dlatego jawi się jako zapis wysiłków podejmowanych przez ludzi celem poznania Boga, ale też, jak wierzymy, wysiłków Boga, by dać się poznać człowiekowi. Biblia jednak nie jest żywą skamieliną, gdyż nadal się pisze. Następny, Najnowszy Testament piszą nadal, również dzisiaj, żydzi, chrześcijanie, muzułmanie, wyznawcy pozostałych religii i ateści. Z różnymi skutkami. Ale dzięki dialogowemu, ekumenicznemu i synodalnemu nastawieniu widzimy coraz wyraźniej, że – jak chce Franciszek – tam, gdzie wiara zatrzymuje się na logice ofiary, zamiast stawiać się znakiem piękna i radości płynącej z miłości, może stać się przyczyną nieszczęść, smutku i frustracji. A modlitwa, zamiast być nasłuchiowaniem Boga, jego głos zagłusza. Pamiętamy przecież: „Wasz Ojciec wie, czego wam potrzeba, zanim go o to poprosicie”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Dowód przyjaźni



NIEZWYKŁA, PRZEPIĘKNA KOMPOZYCJA czytań w ubiegłą środę. Najpierw fragment z Księgi Powtórzonego Prawa: „Któryż wielki naród ma bogów tak bliskich jak Pan, Bóg nasz, ilekroć Go wzywamy?” (Pwt 4, 7). To piękne! Tora przyzwyczaiła nas bowiem myśleć o Bogu

jako transcendentnym, niedotykalnym – jak ogień; tajemniczym (ale też życiodajnym) – jak obłok. A tu nagle: bliski – jak żaden z innych tzw. bogów. A co jest dowodem na ową bliskość? Odpowiedź, która tu pada, niekoniecznie wydaje się oczywista... „Bo k[ł]óryż naród wielki ma prawa i nakazy tak sprawiedliwe jak całe to Prawo, które ja wam dziś daję?” (Pwt 4, 8).

To pewnie nieoczywiste: dowodem na bliskość Boga względem nas – jednym z dowodów / jedną z dróg Jego bliskości wobec nas – jest Prawo, tzn. objawione nam przykazania: nakazy, zakazy, zwyczaj... Nieoczywiste, gdyż prawo może służyć – i nie rzadko służy – demonstracji nie tyle bliskości, co zwierczności. Jestem „wyżej”, więc rozkazuję. „Mówię: Idź! I idzie; albo: Chodź tu! A przychodzi” (por. Mt 8, 9). Dystans – tak nam się wydaje – może nawet sprzyjać przestrzeganiu stanowionego przez nas prawa. Bliskość grozi spoufaleniem, a więc utratą autorytetu. Jakże mogę stawiać wymagania tym, których dopuściłem do „zbyt” bliskiej zażyłości?

A jednak nadane Prawo (przykazania, nakazy i zakazy) może być znakiem bliskości. Kiedy tak się dzieje? Na to pytanie odpowiada Ewangelia minionej środy. Jezus mówi: „Nie sądzicie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić”. I dalej: „Ktokolwiek więc zniósłby jedno z tych przykazań, choćby najmniejszych, i uczyłby tak ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim. A kto je wypełnia i uczy wypełniać, ten będzie wielki w królestwie niebieskim” (Mt 5, 19).

Jezus jest pierwszy w królestwie niebieskim! Dlaczego? Bo pierwszy wypełnia każde z jego przykazań. Najpierw je sam wypełnia; potem ich naucza. Właśnie dlatego jest nam bliski w doświadczeniu Prawa. Nie nadaje go z nieskończonej odległości, która by Go zwalniała z jego przestrzegania. Nadaje je z samego środka naszego ludzkiego doświadczenia. Nie zostawia nas samych ze swoim Prawem. Sam pierwszy się jemu poddaje, z posłuszeństwem pełnym miłości. Stąd też bierze się Jego autorytet. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

WOJCIECH

Bonowicz: Niejaki R.



LEŻY NA KANAPIE W SALONIE i z zamkniętymi oczami słucha radia. Najpierw grała muzyka, potem były wiadomości dla kierowców, teraz jest serwis informacyjny. R. słucha, jak Rosja negocjuje z Rosją, jak jedna Rosja

nieustannie podbija stawkę, a druga Rosja się zgadza, ale to nie rozwiązuje sprawy, bo zaraz pojawiają się nowe żądania i ta druga Rosja musi pójść do Ukrainy i jej to zakomunikować, a potem wraca do pierwszej Rosji z czymś albo z niczym, a najczęściej z czymś, co okazuje się niczym, bo już pojawiły się nowe żądania, i tak w kółko. Wszyscy wydają się tym zmęczeni i zniechęceni, ale kółko wciąż się kręci, bo określenie „wszyscy” nie obejmuje pierwszej Rosji, która jest cierpliwa, dobrze przygotowana i wcale nie zależy jej na tym, żeby szybko znaleźć rozwiązanie. „Gdzie jest Ameryka?”, pyta w głowie R. jakiś głos, ale nie ma komu udzielić odpowiedzi, więc głos jeszcze kilka razy powtarza bezradnie to pytanie, a potem milknie.

R. podnosi się i przełącza radio na inną stację. Przez chwilę słucha o tym, co dzieje się w Turcji, potem o Niemczech i kłopotach nowego kanclerza, potem o jakimś kraju na Bliskim Wschodzie, którego nazwa mu umknęła, bo na chwilę przysnął. Ach, to zapewne Syria, gdzie od kilku tygodni leje się krew. Potem jest relacja z Gazy. R. przypomina sobie swoją podróż sprzed kilkunastu lat, kiedy miał jeszcze dość sił, by wsiąść do samolotu, a potem przemierzać nieklimatyzowanym samochodem rozpalone drogi Zachodniego Brzegu. Szkoda, że zrobił wtedy zaledwie kilkadziesiąt zdjęć i niczego po powrocie nie zanotował. Teraz wszystko mu się już miesza.

Znowu przełącza stację, tym razem w poszukiwaniu muzyki, która przyniesie mu ukojenie. Za oknem gromadzą się chmury, zerwał się wiatr, który zagina czubki drzew i szarpie kawałkiem folii osłaniającym drewno zebrane na opał. Kiedyś R. miał mnóstwo pomysłów na książki, ale żadnej nie napisał. Wymyślanie szło mu lepiej niż pisanie, chciał najpierw poznać świat, dopiero potem zamierzał zabrać się za jego opisywanie. To był błąd, wie to teraz, kiedy nie ma już sił, żeby zamienić wspomnienia w słowa. Kilka razy próbował coś zapisać, ale to, co powstało, było nieciekawie: ciąg zdań, które zdawały się nie pochodzić od niego, zawierających nieoryginalne obserwacje. Nie pamiętał ani jednego imienia lub nazwiska,

nie umiałby opisać żadnego człowieka, nawet gdyby widział go wciąż pod przymkniętymi powiekami.

Od kilku miesięcy ból w kregosłupie się nasila i R. zastanawia się, czy pójść z tym do ortopedy, czy czekać cierpliwie na wizytę umówioną za kilka miesięcy. Właściwie przyzwyczył się do bólu, nie przeszkadza mu on ani w śnie, ani w przygotowywaniu posiłków. Dokucza mu wtedy, kiedy trzeba zrobić coś wokół domu, nalać wody zwierzętom, nasypać karmy. Chodnik zarósł trawą, ale to akurat jest przyjemne. W ciepłe dni R. wychodzi do ogrodu boso, tak jak to robił, kiedy był jeszcze dzieckiem. Chciałby mieć twardsze podeszwy stóp, bo jednak przez lata noszenia obuwia skóra na stopach zrobiła się miękka i wrażliwa.

R. dużo śpi. Lekarze mówią, że to dobrze, że wyniki ma w normie, a serce nie potrzebuje na razie wspomagania. W radiu wszystkie piosenki są albo po angielsku, albo po polsku. Czasem R. udaje się złapać jakąś czeską stację i wtedy z przyjemnością słucha tych samych wiadomości ze świata, tyle że po czesku. Podane w czeszczyźnie wydają mu się mniej groźne, jakby dotyczyły nie naszego świata, ale jakiejś odległej planety albo królestwa z baśni o Arabeli i Rumburaku. Czy nie byłoby lepiej żyć w takiej baśni, w której nawet zło musi przestrzegać reguł? Czy musimy żyć w świecie nawracającego szaleństwa, rozprzężenia, chaosu, gdzie reguły są tylko na chwilę, a złożone obietnice nic nie znaczą?

R. leży na kanapie w salonie i myśli o tym, co zrobiłby, gdyby nagle na okolicę, w której mieszka, zaczęły spadać bomby. Czy rzuciłby się do ucieczki, zabierając ze sobą koty i psa? Nie prowadzi samochodu już tak sprawnie jak kiedyś, ale ciągle umie to robić. Więc ruszyłby na zachód? Ale dokąd? Pod jaki adres? Nie, najpewniej zostałby w domu, chyba że zaczęłby się naprawdę intensywny ostrzał. Ciekawe, jaką muzykę nadawano by wtedy w radiu. Wojna wojną, ale przecież nie można emitować przez całą dobę samych obwieszczeń i ostrzeżeń. R. nagle przenosi się w wyobraźni tam, gdzie jeszcze nie był – w sam środek walk. Jest do kitu, do niczego się nie nadaje, nie umie strzelać, nie umie opatrywać ran, umie co najwyżej przygotować coś do zjedzenia.

Zaczyna padać, więc R. wyłącza radio, żeby posłuchać deszczu. Ma wrażenie, jakby cały dom wjechał do wielkiej myjni, zewsząd dobiega chlupot, strumienie wody łomocą o szyby. Nie widać jednak błysków ani nie słychać grzmotów. Zwierzęta śpią spokojnie na krzesłach. R. znowu zamyka oczy. Chciałby wiedzieć, jakie plany wobec świata mają ludzie, którzy „rozdadają karty”, ale na razie słucha, jak deszcz i wiatr przejmują nad nim kontrolę. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.

Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.
Debiutował na łamach „Tygodnika” w 1994 roku.

W świecie, który dzieli,
my szukamy tego, co łączy.

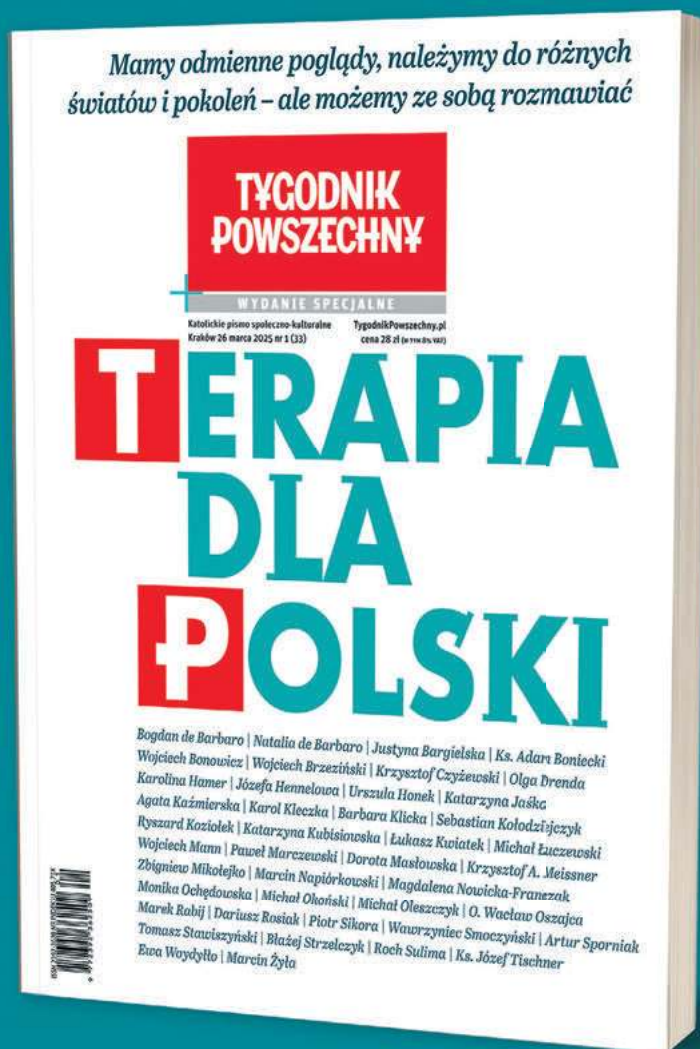
Najnowsze, specjalne wydanie
„Tygodnika Powszechnego” powstało dla tych,
którzy mają dość prostych podziałów
na swoich i obcych.

To zaproszenie do rozmowy ponad liniami frontu,
ponad uprzedzeniami i schematami.

Dyskutujmy, zamiast się okopywać.
Bo Polska jest jedna – choć niejednorodna.

W numerze m.in.

- Bogdan de Barbaro
- Natalia de Barbaro ■ Justyna Bargielska ■ ks. Adam Boniecki
- Wojciech Bonowicz
- Olga Drenda ■ Urszula Honek
- Dorota Maślowska ■ Zbigniew Mikotejko ■ Magdalena Nowicka-Franczak ■ Michał Okoński
- Michał Oleszczyk ■ Marek Rabij
- Tomasz Stawiszyński
- ks. Józef Tischner
- Ewa Woydytło.



Weź, czytaj i rozmawiaj z nami!

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE

TERAPIA DLA POLSKI

W sprzedaży od środy 26 marca, w najlepszych salonikach prasowych i kioskach.

NIE MA POKOJU BEZ WOLNOŚCI

Byli młodzi i niepokorni, i chcieli czegoś nowego. Czym był Ruch „Wolność i Pokój”?
I dlaczego stał się najbardziej oryginalnym ugrupowaniem
opozycji pod koniec istnienia PRL?

CECYLIA KUTA



CZTERDZIEŚCI LAT TEMU, 14 KWIETNIA 1985 r., w krakowskim kościele św. Stanisława Biskupa i Męczennika młodzi ludzie, mający za sobą działalność w Studenckim Komitecie Solidarności i Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, ogłosili deklarację założycielską nowej formuły opozycyjnej: Ruchu „Wolność i Pokój” (WiP).

W dokumencie, który napisał 25-letni Jan Maria Rokita, podkreślano znaczenie dwóch fundamentalnych wartości: wolności i pokoju. Wskazywano, że prawdziwy pokój nie może istnieć w warunkach zniewolenia i bez poszanowania praw człowieka.

W tamtym czasie, w drugiej połowie lat 80. XX w., ruch WiP – obok podziemnej Solidarności – stał się najgłośniejszym, a zarazem najbardziej oryginalnym ugrupowaniem opozycji antykomu-

nistycznej w Polsce. Jego działalność wykraczała poza klasyczne ramy walki politycznej, obejmowała kwestie moralne, ekologiczne i społeczne.

Przypomnijmy tę historię.

ŁÓDŹ | Bezpośrednim impulsem do powstania ruchu było to, co stało się kilka miesięcy wcześniej: 18 grudnia 1984 r. Marek Adamkiewicz, jeden z inicjatorów Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu, został skazany na 2,5 roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. Tej, w której zawarte były sformułowania o obronie ustroju socjalistycznego PRL i sojuszu z armią radziecką.

W geście poparcia dla Adamkiewicza, w marcu 1985 r. w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej odbyła się łódówka protestacyjna. Wzięło w niej udział kilkanaście osób, głównie z Warszawy i Wrocławia, w tym Jacek Czaputowicz, Jarosław Dubiel, Roland Kruk, Marek Krukowski, Piotr Niemczyk i Tomasz Wacko.

Podczas protestu dyskutowano o konieczności stworzenia w Polsce niezależnego ruchu pokojowego. Rokita wspominał potem: „Wieść o procesie Adamkiewicza i wyroku była istotna nie tyle ze względu na towarzyskie związki z osobą, bo to w Krakowie nie grało żadnej roli, ile z tego powodu, że pokazywała pewien problem. Człowiek z naszego pokolenia, którego odwaga publiczna jest typem naszej odwagi. Właśnie odmowy jawnej i publicznej, a nie organizacji podziemnej. Coś nam duchowo bardzo bliskiego. W związku z tym wobec człowieka o podobnym typie odwagi po pierwsze pojawia się zupełnie naturalny moralny imperatyw działania w jego obronie”.

„Po drugie – wspominał Rokita tamten czas – pojawia się pomysł na rozszerzenie pola polityki czynnej, staje problem, który pozwala wyraźnie odróżnić się i wyjść poza sferę działania Solidarności. Łódówka była impulsem”.

CZAS DEPRESJI | Wyrok na Adamkiewicza i związane z nim akcje solidarnościowe zbiegły się w czasie z atmosferą połowy lat 80.: z falą rozczarowania i po-

czucia bezsilności, wynikających z braku perspektyw na odrodzenie Solidarności.

Jednocześnie narastała potrzeba sprzeciwu wobec działań Służby Bezpieczeństwa, w których mieściły się porwania i pobicia działaczy opozycji, a nawet zabójstwa. Punktem kulminacyjnym tej eskalacji stało się zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 r. Wywołany tym wstrząs doprowadził do spontanicznego powstawania w największych miastach obywatelskich komitetów przeciw przemocy.

Była to pierwsza od wprowadzenia stanu wojennego próba otwartej współpracy środowisk opozycyjnych. Władze PRL nie zdecydowały się na aresztowanie członków tych inicjatyw, co stworzyło pewne pole działania.

„MUSIMY TO ZROBIĆ” | Rokita wspominał (w rozmowie z Anną Smólką-Gnauck), iż w jego środowisku już wcześniej rozmawiano o tym, że „w sprawie służby wojskowej trzeba jakąś instytucję stworzyć”.

Przyznawał, że do tego pomysłu namawiał go Radosław Huget. „Przyszedł pewnego razu i powiedział, że nasz pomysł, o którym wiele razy rozmawialiśmy, do tej pory nie zrealizowaliśmy, będzie w najbliższym czasie wyekspozowany w Warszawie. Tam założą taką organizację i to jest draństwo, co oni sobie myślą. Musimy natychmiast zrobić to w Krakowie. (...) Prędko, bo inaczej za nas to zrobią w Warszawie. I co, będziemy się dołączać do Warszawy? – Nie. Mówił, że jeśli ja wymyślę nazwę i napiszę deklarację, to on już zajmie się resztą” – wspominał Rokita.

Słowa wcielono w czyn. Gdy tekst był gotowy, Huget zaczął pod nim zbierać podpisy. Podpisało go 19 osób, byli to kolejno: Darek Rupiński, Piotr Świder, Radosław Huget, Marek Kozielski, Cezary Michalski, Barbara Syc, Artur Waluś, Agata Michałek, Anna Klich, Bogdan Klich, Marek Bik, Ewa Bik, Janusz Trybus, Krzysztof Żydowicz, Krzysztof Walczyk, Jan M. Rokita, Wojciech Modelski, Grzegorz Surdy, Jan Rojek.

„Przystępowaliśmy do WiP-u, bo to była pewna propozycja działania jawnego, młodzieżowego, a zatem bardziej radykalnego w stosunku do tego, co oferował szeroko pojęty ruch Solidarności – wyjaśniał swoje motywacje Klich. – Myśm byli sfrustrowani, niezadowoleni z tego, że Solidarność nie wypracowała



MARIUSZ BEMBENEK

*Protest przeciw wyborowi
Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta.
Kraków, 21 czerwca 1989 r.*



Protest przeciw Hucie Siechnice zorganizowany przez WiP. Wrocław, 20 października 1988 r.

→ żadnej innej metody poza okolicznościowymi ulicznymi demonstracjami, wydawaniem bibuły i spotkaniami w kościołach. Naszym zdaniem te formy już się zdeaktualizowały”.

PRAWDZIWY POKÓJ | W deklaracji założycielskiej podkreślano, że inspirowano się orędziami pokojowymi Jana Pawła II. Zwracano uwagę: „Podstawowym celem działania ruchu będzie propagowanie i pozyskiwanie jak największych rzesz Polaków dla prawdziwej, niczym niezafałszowanej idei pokoju”.

Rokita tłumaczył: „Poszukiwałem jakichś dobrych ideowych sformułowań do deklaracji w sprawie ruchu, który objąłby kwestie związane z wojskiem, tę sferę tabu opozycyjnego, ale nie stałby się instytucją o charakterze pacyfistycznym, walczącą fundamentalnie i pryncypialnie z wojskiem. To niebezpieczeństwo wycofawałem”.

„Pamiętam, że zacząłem poszukiwać inspiracji do napisania czegoś w wydawanych co roku na 1 stycznia orędziach Jana Pawła II na Światowy Dzień Pokoju – mówił Rokita. – Gdzieś w jednym z ostatnich znalazłem przekonującą dla mnie argumentację o prawdziwym pokoju, który jest możliwy tylko w warunkach wolności (z powołaniem się na św. Augustyna) i o prawdziwej wolności, która urzeczywistnia się tylko w warunkach pokoju. Pomyślałem, że to mogłoby dobrze pasować i byłoby od razu hasło. No i to się spodobało”.

W kolejnym punkcie deklaracji zaznaczono: „Warunkiem zaistnienia pokoju w życiu politycznym państw i narodów jest skuteczne zagwarantowanie wszystkim ludziom wolności osobistej. Nie ma pokoju nigdzie tam, gdzie zlikwidowano tradycyjne wartości polityczne, gdzie stworzono systemy państwowej represji,

przymusu ideologicznego, gdzie pozbawiono jednostkę praw do samodzielności i inicjatywy. Nie ma więc pokoju w rządzonej przez komunistów Polsce”.

NASZA NIEZGODA | Na początku maja 1985 r. do WiP-u dołączyła grupa warszawskich działaczy: Jacek Czaputowicz, Piotr Dąbrowski, Jarosław Dubiel, Grzegorz Ilka, Jerzy Kolarzowski, Roland Kruk, Maciej Kuroń, Piotr Niemczyk, Cezary Orłowicz, Marek Poglód, Konstanty Radziwiłł, Agnieszka Romaszewska-Guzy, Aleksandra Sarata, Rafał Szerba i Józef Taran.

W kolejnych miesiącach ruch poszerzał struktury – w jego szeregi wstąpili też opozycjoniści z innych części kraju.

17 listopada 1985 r. organizacja przedstawiła deklarację ideową. Przypomniano w niej, że WiP powstał w odpowiedzi na niewystarczający zakres działań podejmowanych przez istniejące już organizacje niezależne. Podkreślano, że istnieje wiele kwestii, wobec których „ludzie dobrej woli” nie powinni być obojętni.

Wśród obszarów zaangażowania wymieniono: ochronę praw człowieka, dążenie do suwerenności narodowej, przeciwdziałanie zagrożeniu wojną i wspieranie międzynarodowego ruchu pokojowego.

Ponadto szczególną wagę przywiązywano do ochrony środowiska, walki z głodem na świecie i działań charytatywnych, a także do wspierania rozwoju jednostki oraz promowania postaw opartych na tolerancji.

Dokument kończył się konkluzją: „Podstawom pozwalającym działać w ramach ruchu ludziom o różnych światopoglądach jest tolerancja i wzajemne zrozumienie dla różnych dróg wiodących do rozwiązania istotnych problemów współczesnego świata. Łączyć nas natomiast będzie niezgoda na zło, ucisk, nietolerancję, obojętność wobec cierpienia”.

PROTESTY I HAPPENINGI | WiP skupiał osoby o różnych poglądach. Byli tu katolicy, pacyfiści, ekolodzy, członkowie Solidarności i ludzie wywodzący się z kręgów kontrkulturowych.

Ruch nie miał formalnych struktur ani przywództwa. Działał w wielu miastach, m.in. w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Szczecinie i Trójmieście. Charakter i forma podejmowanych akcji zależały od kreatywności ludzi w poszczególnych ośrodkach. Brak sformalizowanych struktur sprawiał, że trudno było określić liczbę osób związanych z ruchem, jednak szacuje się, że aktywnie działało w nim co najmniej kilkaset osób.

Działalność WiP-u była różnorodna. Organizowano demonstracje, głódówki, happeningi i kampanie informacyjne mające uświadamiać o prawie do odmowy służby wojskowej. Jednym z bardziej znanych działań ruchu stało się właśnie publiczne deklarowanie odmowy służby w wojsku PRL i informowanie opinii publicznej o represjach wobec tych, którzy odmówili przysięgi wojskowej.

Działacze WiP-u domagali się też zamknięcia Huty Siechnice pod Wrocławiem, protestowali przeciw budowie elektrowni jądrowej w Żarnowcu i składowaniu odpadów radioaktywnych w Międzyrzeczu. Protestowano przed zakładami chemicznymi w Policach i Hutą Lenina w Krakowie.

WiP utrzymywał kontakty z ludźmi z pacyfistycznych i ekologicznych organizacji z Europy Zachodniej. Prowadził też działalność wydawniczą. Wiosną i latem 1988 r. wspierał ruch strajkowy, współpracował z lokalnymi strukturami Solidarności i innymi organizacjami opozycyjnymi. W sierpniu 1988 r. współorganizował Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka w Krakowie-Mistrzejowicach.

„BŁĘKITNI” | WiP był obiektem intensywnych działań ze strony władz, a zwłaszcza SB. Był też przedmiotem analiz rządowych i wojskowych.

Np. w raporcie Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego z grudnia 1986 r. podkreślano, że „powstanie i działalność Ruchu »Wolność i Pokój«, a także rozgłos nadawany przedsięwzięciu grupy, nie jest dziełem przypadku”. Jego autorzy uważali, że wpisuje się to w strategię „długiego marszu, przyjętą przez przeciwnika politycznego w stycz-

niu 1982 r.” której celem miało być „prowadzenie destrukcyjnych działań na dwóch płaszczyznach: świadomości społecznej i funkcjonowania struktur państwowych”. Dalej pisano, iż „zadaniem taktycznym” WiP jest „rozmiękczenie wojska, zachwianie pewności władzy, przeoranie świadomości społecznej”.

Według analityków Głównego Zarządu Politycznego ideologia WiP-u miała charakter „antysocjalistyczny”. Stwierdzano, że ruch wykorzystuje idee pokoju „instrumentalnie” w celu „osłabienia ZSRR i państw socjalistycznych”, a jego działania przedstawiano jako połączenie kilku dotychczasowych „dywersyjnych kierunków”, takich jak obrona praw człowieka czy krytyka militarizmu Związku Sowieckiego.

Z kolei funkcjonariusze Departamentu III MSW, zajmujący się WiP-em w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania „Błękitni”, wykazali się większą rzeczowością niż ich koledzy z wojska. Nie doszukiwali się wsparcia ruchu przez zachodnie służby, lecz zauważali, że „realizuje program internacjonalizacji dzia-

łalności antysocjalistycznej”, a jego działacze „zacieśniają związki z antykomunistycznymi ruchami pacyfistycznymi na Zachodzie”.

Trafnie zauważali też, że postulaty WiP-u zmierzają w gruncie rzeczy do zmiany ustroju w PRL i krajach bloku wschodniego, choć, jak zauważono, postulat ten „nie jest (...) wyrażany in extenso”.

POKOLENIE | Wobec członków WiP stosowano szeroki wachlarz represji: działania operacyjne, administracyjne i sądowe. Osoby odmawiające służby wojskowej lub złożenia przysięgi były skazywane na więzienie, zwykle ok. 3,5 roku.

Władze PRL miały tu jednak pewien problem, ponieważ – jak zauważano w analizach – „stosunkowo surowe wyroki pozbawienia wolności okazały się mało skuteczne”, a nawet kontrproduktywne. Pod koniec istnienia PRL wprowadzono więc możliwość odbywania zastępczej służby wojskowej, czyniąc ją jednak bardziej uciążliwą niż służba wojskowa.

Działacze WiP represjonowano też za udział w demonstracjach i kolportaż pism

drugiego obiegu. Stawali przed kolegami ds. wykroczeń, dostawali kary grzywny.

Dla przyszłości ruchu większym wyzwaniem niż SB okazały się jednak zmiany po roku 1989. Choć w wyborach czerwcowych kilka osób związanych z WiP-em zdobyło mandaty parlamentarne, w nowej Polsce organizacja stopniowo traciła na znaczeniu. Na początku lat 90. ostatecznie zakończyła działalność.

Był to proces poniekąd naturalny. W kolejnych latach wiele osób, o których mowa była w tym tekście, miało pojawiać się nadal w życiu publicznym. Wolno sądzić, że dla wielu z nich to WiP był kluczowym doświadczeniem pokoleniowym. ©

DR HAB. CECYLIA KUTA kieruje Biurem Badań Historycznych w Oddziale IPN w Krakowie i pracuje na Uniwersytecie Jana Pawła II. Autorka książek o PRL, m.in. „Działacze” i „Pismaki». Aparat bezpieczeństwa wobec organizacji katolików świeckich w Krakowie w latach 1957-1989” i „Nieocenzurowane. Z dziejów drugiego obiegu”.

REKLAMA

MAGAZYN
wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze, redaktorzy
i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia,
poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji
i inspirujemy.



Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

MAGAZYN
wyborcza

**szukaj w punktach sprzedaży prasy
przez cały tydzień!**

PRAWO DUNSA SZKOTA

Gdy nie ma o czym pisać, to pisze się o czymkolwiek,
a jeżeli ma być o czymkolwiek, to musi być o prawie Dunsza Szkota.
Jest to bodaj jedyne prawo w nauce, które mówi wprost o czymkolwiek.

KS. MICHAŁ HELLER

DUNS SZKOT BYŁ WIELCE UCZONYM mnichem franciszkańskim, żyjącym na przełomie XIII i XIV wieku. Wykładał w Cambridge, Oksfordzie, Paryżu i Kolonii. Zajmował się m.in. logiką.

Jak wiadomo, logika bada prawa myślenia. Chodzi w niej głównie o to, w jaki sposób wyprowadza się wnioski ze zdań uznanych za prawdziwe. Duns Szkot – może miał umysł przewrotny albo tylko wyrafinowany – odwrócił zagadnienie i zapytał: a jakie wnioski można wyprowadzić ze zdań fałszywych? I dokonał ważnego spostrzeżenia, które znane jest dziś jako prawo Dunsza Szkota. Fałsz ma tak destrukcyjną moc, że można z niego wydedukować wszystko, co się chce, czyli cokolwiek. Dobra wiadomość dla wszelkiego rodzaju autokratów i manipulatorów: kłamstwem – byle tylko było poświadczaniem fałszu – można udowodnić wszystko. Po łacinie brzmi to bardzo uroczyście: *ex falso quodlibet*.

Eksplozja sprzeczności

Ale dla logiki jest to przestroga: gdy buduje się system logiczny, trzeba strzec się sprzeczności, ponieważ z dwu zdań sprzecznych (czyli takich, z których jedno jest zaprzeczeniem drugiego) jedno musi być fałszywe, a z fałszu (ze zdania fałszywego) wynika wszystko (dowolne zdanie). Udowodnić wszystko, co się tylko

chce, nie jest przejawem bystrego umysłu, lecz grzechem śmiertelnym logiki. Prawda jest restrykcyjna, eliminuje wszystko, co nią nie jest, pozostawiając tylko to, co się samo broni.

Jak to może być, żeby ze sprzeczności wynikało wszystko? To wygląda niewiarygodnie. Kiedyś, podczas wykładu z logiki, student zapytał Bertranda Russella: „Czy może pan, wychodząc ze sprzeczności, udowodnić, że jest pan papieżem?”.

Bertrand Russell odpowiedział: „Proszę bardzo. Załóżmy, że $1 = 0$ (sprzeczność). Do obu stron tej równości dodajmy jeden. Otrzymamy: $2 = 1$. Z tego wynika, że zbiór złożony z dwu elementów równa się zbiorowi złożonemu z jednego elementu. Ja i papież tworzymy zbiór złożony z dwu elementów, a ponieważ jest on równy zbiorowi złożonemu z jednego elementu, ja i papież tworzymy ten sam element, czyli ja jestem papieżem. *Q.e.d.* (co było do okazania, łac. *quod erat demonstrandum*)”.

To była błyskotliwa odpowiedź wytrawnego logika i filozofa, ale można to samo udowodnić na wiele sposobów. Na przykład: Bertrand Russell jest papieżem i Bertrand Russell nie jest papieżem (sprzeczność). Jeżeli koniunkcja dwu zdań jest prawdziwa, to obydwa te zdania są prawdziwe (jak głosi prawo logiki). A więc Bertrand Russell jest papieżem. Zauważmy, że stosując ten schemat rozu-

mowania rzeczywiście możemy udowodnić cokolwiek. Wystarczy tylko za „Bertrand Russell jest papieżem” podstawić „cokolwiek”.

Dwa powyższe „dowody” pięknie ilustrują destrukcyjną moc sprzeczności. Dlatego system, który zawiera sprzeczność (w sposób jawny lub, co znacznie niebezpieczniejsze, w sposób ukryty), logicy nazywają systemem przepełnionym lub eksplodującym. System jest przepełniony, ponieważ zawiera wszystko, co się tylko zamarzy. Taki system eksploduje wszystkimi możliwościami. Eksplodując, niszczy wszelkie wynikania.

Logika wszechświata

Jak dobrze, że te eksplozje zachodzą tylko w abstrakcyjnym świecie logiki, a nie w rzeczywistości. Jeżeli zachodziłyby „w realu”, to na przykład po budynku Sejmu już dawno pozostałaby tylko wielka dziura w ziemi.

Przecież w Sejmie (i w wielu innych miejscach) muszą odbywać się dyskusje, w których strony mogą mieć różne – a nawet sprzeczne ze sobą – zdania. Logika dyskusji stanowi ciekawy przypadek. Załóżmy, iż poseł A twierdzi, że *p*, a poseł B, że *nieprawda, że p*. Czy w dyskusji pomiędzy nimi musi dojść do logicznego chaosu, pomieszania pojęć i być może do wzajemnych inwektyw? W każdym razie do logicznej eksplozji. Logika – gdybyż tylko



Duns Szkot, rycina autorstwa Wolfganga Kiliana, XVII w.

chciano jej słuchać – zna lekarstwa na takie sytuacje. Poseł A w swoim wystąpieniu powinien wystrzegać się sprzeczności i w ogóle stosować się do zasad logiki. To samo obowiązuje posła B. Pamiętamy, że poseł A głosi *p*, a poseł B – *nieprawda*, że *p*; i każdy z nich pozostaje przy swoim zdaniu, a nawet stara się przekonać oponenta do swojego stanowiska. Zatem w logice dyskusji dopuszczamy *p* i *nieprawda*, że *p*, czyli sprzeczność, ale pod jednym warunkiem: sprzeczność nie może „przepełnić” całej dyskusji; wolno jej tylko pojawiać się na linii rozgraniczającej poglądy obu posłów. System nie może eksplodować sprzecznościami; muszą być one za-

mknięte w ściśle określonym obszarze; w przypadku dyskusji: tam, gdzie spotykają się poglądy dyskutantów.

System logiczny, który tu krótko przedstawiłem na przykładzie sejmowej dyskusji, został przez logików opracowany z zachowaniem wszelkich rygorów ścisłości i nazywa się logiką parakonsystentną. Twórcą pierwszego systemu logiki parakonsystentnej był polski logik, Stanisław Jaśkowski (1906-1965).

A teraz rozejrzyjmy się wokół siebie: może po raz pierwszy ze zdziwieniem stwierdzamy, że we wszechświecie nie dzieje się cokolwiek: w skarpetce robi się dziura, gdy za długo ją noszę, ale skar-

petki nie rosną na grządce; czarne dziury zderzają się i wybuchają, ale nie jeżdżą na rowerze... Wszechświat jest względnie uporządkowany. Nawet jeżeli dzieje się w nim coś dziwnego, prawa rachunku prawdopodobieństwa są respektowane. „Cokolwiek” jest wykluczone. A zatem wszechświatem rządzi jakaś logika, która nie jest przepełniona, nie eksploduje sprzecznościami.

Granice odporności

Istnieją różne systemy logiczne. W tym eseju zetknęliśmy się z dwoma: z systemem logiki klasycznej, w którym obowiązuje zasada niesprzeczności, i z systemem logiki parakonsystentnej, w którym zasada ta nie obowiązuje, ale pod warunkiem, że nie prowadzi to do przepełnienia systemu. W różnych systemach logicznych obowiązują różne aksjomaty (wyjściowe założenia), a nawet różne reguły rozumowania, ale jeżeli aksjomaty i reguły wnioskowania zostały ustalone, to z danych przesłanek *w y n i k a t e n*, a nie inny wniosek i inaczej być nie może. Wynikanie jest czymś, co zespala cały system. Niekontrolowana sprzeczność niszczy wynikanie i wówczas może dziać się cokolwiek, system eksploduje.

Przynajmniej ta część wszechświata, która jest dostępna naszemu bezpośredniemu poznaniu, czyli tak zwany świat makroskopowy, podlega logice klasycznej, a ponieważ nasz mózg ukształtował się w oddziaływaniach ze środowiskiem makroskopowym, ta sama klasyczna logika została zakodowana w funkcjonowaniu naszego mózgu. Ale nasz mózg ma jedną przewagę nad resztą wszechświata – może eksplodować sprzecznościami. Załóżmy, że z przesłanek *P* wynika wniosek *Q* i pan Iksiński uznaje przesłanki *P*, ale twierdzi, że wynika z nich nie *Q*, lecz cokolwiek. Jego logiczny system w tym momencie eksploduje, ale nie dzieje się nic strasznego. Pan Iksiński nadal ma się dobrze, a nawet dzięki swojej logice może daleko zajść.

Ale jednak... Jeżeli pan Iksiński jest budowniczym mostów lub ważnym politykiem, to na skutek jego decyzji jakiś most może się zawalić lub jakiś kryzys może dotknąć wielu ludzi.

Wszechświat nie jest jednak całkiem odporny na ludzką głupotę. ©

Tarnów, 1 stycznia 2025 r.

Pionierki

ŁUKASZ KWIATEK

Wyspy Fidzi na południowym Pacyfiku od zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej dzieli ok. 8 tys. km. Ponad 30 mln lat temu ten dystans, na naturalnych tratwach, prawdopodobnie udało się pokonać starożytnym jaszczurkom.

FILM „BŁĘKITNA LAGUNA” z 1980 r., opowiadający o dorastaniu na tropikalnej wyspie dwójki dzieci ocalałych po katastrofie statku, w mieszany sposób zapisał się w kulturze. Z jednej strony uzyskał nominację do Oscara za najlepsze zdjęcia, z drugiej – główną aktorkę Brooke Shields „uhonorowano” pierwszą w historii Złotą Maliną w kategorii dla kobiet, przyznawaną za najgorzej zagrany rolę w roku. Co ciekawe, ta produkcja zapisała się jednak także w historii nauki.

W jednej ze scen kręconych na wysepach wulkanicznych na Pacyfiku twórcy uchwycili kolorową jaszczurkę. Biolog John Gibbons uświadomił sobie wówczas, że widział już wcześniej identyczny okaz, ale na innej z wysp należących do Fidzi. Rok później, po dalszych badaniach, opisał nowy gatunek – legwana wityjskiego (*Brachylophus vitiensis*) – uczciwie wspominając w publikacji, że wiedzę o jego zasięgu występowania częściowo zawdzięczamy kinematografii.

Dwa scenariusze

Legwan wityjski to jeden z kilku gatunków jaszczurek zaliczanych do rodzaju *Brachylophus* – wszystkie występują na wulkanicznych wyspach Fidzi. To jeden z dziewięciu rodzajów jaszczurek tworzących rodzinę legwanowatych (*Iguanidae*), odizolowany o tysiące kilometrów od pozostałych krewniaków, którzy zamieszkują Karaiby, wyspy Galapagos, a także Północną, Środkową i Południową Amerykę. Biologów od dawna zastanawiał tak duży zasięg występowania legwanowa-

tych, a zwłaszcza obecność samotnego rodzaju *Brachylophus* na Fidzi – bo skąd też te jaszczurki się tam w ogóle wzięły?

W literaturze naukowej rozważano dwa główne scenariusze. Pierwszy mówi, że legwanowate rozprzestrzeniły się po nieistniejącym już superkontynencie – Gondwanie – a gdy ten się rozpadł, różne populacje wędrowały na przesuwających się masach lądu w różne regiony świata. W ten sposób część jaszczurek mogła znaleźć się w pobliżu wysp Fidzi, które wyłoniły się z oceanu kilkadziesiąt milionów lat temu w wyniku wzmożonej aktywności wulkanicznej, którą spowodowało wsuwanie się pacyficznej płyty tektonicznej pod płytę australijską. Wówczas jaszczurki mogły powoli kolonizować kolejne wyspy, pokonując mniejsze odległości na naturalnych tratwach – np. drzewach porwanych przez tsunami.

Alternatywny i jeszcze bardziej „filmowy” scenariusz głosi, że swoją podróż na Fidzi przodkowie jaszczurek *Brachylophus* odbyli za jednym zamachem, przemierzając znacznie dłuższy dystans.

Aby rozstrzygnąć, który z tych scenariuszy jest poprawny, Simon Scarpetta z Uniwersytetu w San Francisco i współpracownicy przeprowadzili szereg badań, których wyniki opisali właśnie w czasopiśmie Amerykańskiej Akademii Nauk.

Podróż przez ocean

Badacze najpierw porównali DNA jaszczurek z rodziny legwanowatych i ustalili, że te z Fidzi najbliższe spokrewnione są z legwanami pustynnymi (*Dipsosaurus*) – rodzajem jaszczurek występujących na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej. Następnie przyjrzeni się miejscom, w których znaleziono skamieniałości przodków i krewnych *Dipsosaurus* – te miejsca także wskazywały na zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej. To wszystko sugeruje, że przodkowie jaszczurek *Brachylophus* zamieszkiwali ten sam teren – ale

jeszcze nie rozstrzyga tego, w jaki sposób skolonizowali Fidzi. Mogłoby się to odbyć w dawnych czasach, z wykorzystaniem ruchów tektonicznych, albo w mniej odległych, w dużej mierze drogą lądową. Np. wzdłuż wybrzeża Ameryki Północnej i Południowej, przez Antarktydę, Nową Zelandię, po Oceanie. Inna przeważająca lądowa droga mogłaby wieść przez Alaskę, wschodnie wybrzeże Azji i Indonezję. W różnych okresach w ciągu ostatnich milionów lat między tymi terenami występowało lądowe połączenie. Pozostawała także droga oceaniczna, prosto z Ameryki Północnej na Fidzi.

Na podstawie różnic genetycznych badacze oszacowali więc także czas rozdzielenia się linii *Dipsosaurus* i *Brachylophus* – na ok. 31-34 mln lat, co wykluczyło scenariusz obejmujący rozpad Gondwany. Biorąc pod uwagę także fakt, że skamieniałości przodków tych jaszczurek nie znaleziono na żadnej z domniemyanych dróg lądowych, autorzy uznali, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem kolonizacji Fidzi jest droga morska z Ameryki Północnej. Komputerowe symulacje przekonują zaś, że powinna się ona odbyć za jednym zamachem – bo takie zdarzenie jest bardziej prawdopodobne niż wielokrotnie powtarzana podróż na krótszych dystansach. Przebiegła ona raczej szybko – prądy morskie mogły zanieść naturalne tratwy z wybrzeża Meksyku do Fidzi nawet w ciągu trzech lub czterech miesięcy.

Jeśli scenariusz jest poprawny, a historia jak z „Błękitnej laguny” faktycznie się wydarzyła (choć z innymi bohaterami), to przodkowie *Brachylophus* odbyli najdłuższą znaną podróż na naturalnych tratwach spośród wszystkich lądowych kręgowców, zakończoną udaną kolonizacją nowego lądu. Tę wyprawę mogły im ułatwić przystosowania do życia na pustyni, skąd prawdopodobnie się wywodzili – odporność na temperaturę i niedobory wody pitnej. ©P



Brachylophus fasciatus, jeden z gatunków jaszczurek zamieszkujący wyspy Fidzi.

STANISŁAW

Mancewicz:

Nikt nie fika



CZŁOWIEK STERANY NUDĄ CODZIENNOŚCI lubi patrzeć na zmagania bliźnich. Weźmy dla przykładu polski futbol. Jest on na tle futbolu zagranicznego bardzo męczący w odbiorze. Nie lubimy takich ocen: nam polski futbol, a ściślej rzecz biorąc oglądanie repre-

zentacji krajowej, sprawia przyjemność. Widać, że każdy mecz, czy to z drużyną mocną, czy słabą, jest dla naszych kolosalnym wydarzeniem. Patrzenie na mękę, nieudawany mozół, z jakim nasi grają, jest zajęciem miłym. Oglądanie z perspektywy fotela szarpaniny z materiały ożywioną to po prostu rozrywka. Łątwo sobie wyobrażamy, że gdyby gra sprawiała naszym piłkarzom przyjemność, gdybyśmy widzieli jakąś podejrzaną w ich zachowaniu lekkość, to moglibyśmy pomyśleć, że pracują od niechcenia. Może nas lekceważą, nie traktują serio? Nie, dobrze jest, jak jest, bo widać, jak się starają, ale im nie wychodzi – trudno, tak bywa.

Ci ludzie ciężko trenują pod kierunkiem uznanych autorytetów myśli szkoleniowej. Wierzymy, że – z drobnymi wyjątkami – prowadzą zdrowy tryb życia, nie piją, nie palą, kładą się wcześniej spać. Do tego – jak słyszymy – znaczna część z tych ludzi ma talent i mentalność zwycięzców. A jednak przegrywają i sukcesów nie odnoszą. Są krytykowani, słyszą co rusz przykre słowa, muszą się zmagać z okrucieństwem złych ocen i z wulgaryzmami. Ciekawi nas także odbiór pracy reprezentacji piłkarskiej. Fundamentem kibicowania jest przecież nadzieja. To kolejna ciekawostka. W świecie sportu, w którym liczy się tylko zwycięstwo, nie ma wiele miejsca na niuansowanie, na subtelne rozważania i na delikatne słowa. Tymczasem nadzieja należy do tego pięknego

zestawu. „Miejmy nadzieję” – powiadają często komentatorzy polskiej piłki i to też bardzo lubimy. Życie nadzieją jest takie piękne. Jest w tym przecież mnóstwo dobrych i kojących emocji, choć na pierwszy rzut oka w futbolu zawodowym nie ma na nie miejsca.

Opisane tu emocje są podobne do tych w polskiej polityce. Słyszemy – owszem – rytmiczny łomot, a może naparzanek w jakimś baraku z blachy falistej działającej jak rezonator. Słychać krzyki. Słychać wrzaski. Widać buzie, jakby pod wpływem, a czasem w istocie mocno pod wpływem. Emocji. Można rzec, że polska polityka jest tak ładna jak nasi polityczni reprezentanci. I nie byłoby w tym nic ani nowego, ani godnego odnotowania, gdyby nie owa nadzieja. I to jest w polskiej polityce prawdziwie piękne i jakby nowe. Wiara, nadzieja i miłość do Ameryki.

Gdy trzeba coś powiedzieć o Ameryce, wszyscy jakby cichną, przestają ryczeć. Sytuacja jest bowiem poważna. Pozostaje – każdy to widzi – nadzieja, nasz sen z przeszłości, że Ameryka i jej prezydent to wciąż coś na kształt tamtej Ameryki i tamtych prezydentów, tamtych ministrów, z czasów naszego dzieciństwa, młodości i wczesnej dorosłości, naszej i waszej, też licznych prezesów i doktorów naszej polityki. Język naszych ciał jest w tej sprawie jakoś podobny, że jakoś to będzie, że się ułoży, byleby się nie wychylać. A nuż ktoś tam, spośród owych nowych Amerykanów zauważy, że się wychyliliśmy i wybuchnie chryja, będzie pasztet. Kicha – mówiąc wprost. Że nam zabiorą albo nie dadzą. Że każą – dajmy na to – oddać minerały.

Gdy już tu sobie ulżyliśmy, wyżyliśmy się i na piłkarzach, i na tutejszych politykach, rozejrzeliśmy się. Zauważyliśmy z niejakim zdumieniem, że lęk przed wychyleniem, owa wiara i nadzieja, panuje wszędzie, jak okiem sięgnąć. W Rosji i w Chinach też. Nikt tam nic nie wie, nikt niczego nie rozumie, wszyscy mają jakieś minerały w zanadrzu, i nadzieję, że się ułoży. Nikt nie fika. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

Redakcja „Tygodnika Powszechnego” z Nagrodą Specjalną Press Club Polska 2025

Nagroda jest wyrazem szacunku dla kontynuowanej przez nas historii pisma oraz dla autorek i autorów tworzących „Tygodnik Powszechny” od 1945 r. do dzisiaj. Dziękujemy za docenienie naszej pracy!

NAGRODĘ OTRZYMALIŚMY W 80. ROCZNICĘ POWSTANIA NASZEGO PISMA.





KULTURA

GRA W PRZEGRYW

Leszek Kołakowski twierdził:
„Życie każdego z nas jest porażką. Nieuchronną porażką”.
Nie doczekał czasu, kiedy przyszła moda na tę mądrość.
Wreszcie słysząc głos milczącej większości.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK



ALEKSEJ WITWICKI / FORUM

Biało-czerwony protest na placu Zamkowym.
Warszawa, 24 sierpnia 2024 r.

CHCIELIBYŚCIE CZASEM OPOWIEDZIEĆ Co własnych zmaganiach ze światem? Pewnie trudno wam zasłużyć na uwagę ludzi, którzy rozmowę traktują jak arenę autoprezentacji. Zmieniają się w słuchaczy tylko wtedy, kiedy uznają, że macie więcej atrakcyjnych doznań do zaprezentowania. Komuś żyjącemu zwyczajnie trudno przebić się przez chór monologistów, bo czuje – parafrazując słowa pewnego megalomana – że nie ma żadnych kart. Gdy wreszcie usłyszysz rytualne „Co u ciebie?”, zbywa

je, po amerykańsku, nic nieznaczącym „wszystko OK”.

A przecież nie wszystko jest OK. Wielu z nas żyje w społecznym i emocjonalnym cieniu. Z jednej strony są ludzie, którzy odmierzają czas kolejnymi napisanymi książkami, nagranyymi płytami, zrealizowanymi projektami i podróżami. Z drugiej – ci, którzy nie są szczególnie zdolni, ale za to pewni siebie. Pośrodku – milcząca większość.

Czy to, że dla innych jesteśmy tak prze-zroczyści, oznacza, że dla samych siebie też straciliśmy znaczenie? Jeśli odpowiedź nie przechodzi wam przez gardło, możecie ją zagwizdać. Jak Pablopavo z Ludzikami, bardowie nieznacznosci: „A przecież stoisz taki młody, taki młody / I podchodzi dziewczyna i pyta: czy mogę od pana ogień? / A Ty wiesz, że to niegrammatycznie i tylko popiół masz”. Można też zanucić razem z Sanah, idolką najmłodszych pokoleń: „Więc upadam i się ratuję krzykiem / Cichym, ciemnym kąci-kiem / Potem już cicho sza / Czy za błędy mogę przełać ci blikiem? / Ja mam problem z cennikiem”.

Ech, kto nie ma problemów z cennikiem, niech pierwszy rzuci w te rymy kamieniem. Kiedy oglądamy się na wy-czyny innych ludzi, mamy kłopot z oszacowaniem własnej wartości. Jakkolwiek by liczyć, wychodzi suma bliska zeru.

Schodzimy z radarów

W szukaniu dróg wyjścia pomoże nam literatura o porażce i nieistotności. Od noblistki Han Kang, Sigrid Nunez, Judith Schallansky, Grzegorza Bogdała, Urszuli Honek, Pawła Sołtysa, po kapłankę wszelkich przegrywów – Dorotę Masłowską.

Na jednym biegunie jest „Przegrany” Thomasa Bernharda, rzecz o spotkaniu z geniuszem, które odziera bliźnich ze złudzeń. Zmienia „dobrze zapowiadających się pianistów” w ludzi złamanych świadomością swej przeciętności. Na drugim biegunie leży pop-psychologiczna antyodyseja Ottessa Moshfegh „Mój rok relaksu i odpoczynku”, o młodej i dobrze rokującej Amerykance, która zawęza egzystencję do przestrzeni mieszkania na Manhattanie, a wreszcie do łóżka, gdzie przesypia początek XXI wieku. Modelowo? Zaraz, zaraz, przecież coś tu zgrzyta! Przecież to są uznani twórcy, nagradzani. Taki Bernhard już za życia był legendą, a i bohaterki Moshfegh nie ce-

lebrują swoich bezsilności w mikroka-walerkach, tylko w manhattańskich kamienicach. Gdzie tu przegrana, gdzie porażka?

Z odsieczą przychodzą nam autorki, które we współodczuwaniu „małego życia” włączają czytelników i zarzucają na nich sieć empatii. Przyszła właśnie moda na opowieści o jednostce, która celowo schodzi ze społecznych radarów, wypisuje się z systemu miar i wag sukcesu. W przeciągu paru miesięcy ukazały się trzy książki z różnych perspektyw przyglądające się losom „przegrywa”, jego przemijaniu i wyczerpaniu.

Czy płęć autorek ma znaczenie? Ko-bietom, przez wieki traktowanym jako mniej sprawcze społecznie, łatwiej jest powiedzieć kulturze „sprawdzam” i obnażyć obietnice składane przez nią bez pokrycia. Problem porażki wybrzmiewa też u nich jako forma narracji: nie feruje się rozstrzygających sądów i nie ma pretensji do nieomyślności. Charakterystyczne.

Projekt porażka

Agnieszka Dauksza w „Ludziach nieznaczących” pokazuje nam prawdziwą stawkę, o którą dziś gramy. Przytrafiła nam się podwójna kumulacja: szczyt nierówności społecznych i niebotyczna piramida oczekiwań, stawianych przed człowiekiem. Odmowa udziału w grze o takie stawki jest coraz częściej pozorna. Przemysław Czapliński w wydanych niedawno „Rozbieżnych emancypacjach. Przewodniku po prozie 1976–2020” diagnozuje: skoro zbiorowa emancypacja się nam nie udała, a różne tożsamości występują przeciwko sobie, to ratunkiem staje się indywidualna terapia. Problem w tym, że dyskursy terapeutyczne odzyskują „przegrywów” nie po to, żeby zdjąć z nich brzemień porażki, ale po to, by nawet nie ośmielili się być ludźmi zbędny-mi.

Nie widzę jednak Daukszy ani w drużynie emancypacji, ani w drużynie terapii. Nieznacznosc, która dla Daukszy jest przewodniczką po świecie porażkowiczów, ma tu dwa oblicza. Choć pozwala autorce wpisać się w „ogólne poczucie przegrywu” i bezsilności, to jednocześnie czyni zeń alternatywną taktykę bycia. „A gdyby uznać, że w zasadzie każdy może być nieważny, że można wybrać nieważność jako strategię

→ przetrwania? Przynajmniej byłoby to bliższe doświadczeniu większości” – proponuje Dauksza. O ile z początkiem cytatu można się zgodzić, o tyle druga część budzi wątpliwości. Jeżeli nieznaczność jest taktyką, to znaczy, że wymaga przejścia od pasywności do działania. To wymaga odwagi, którą mają tylko nieliczni nieznacznicy. No właśnie...

Na mistrzów nieznaczności autorka wybiera postaci, które wydają nam się jej zaprzeczeniem. James Baldwin, Anna Świrszczyńska, Björk i Kim de L’Horizon to osoby biorące konwenanse w nawias, ale przecież absolutnie niepasywne. Daukszę interesują sytuacje, kiedy porażka i bezsilność stają się „zapalnikami do działania”, które nie szuka pokłasku. Jej nieznacznicy głoszą niewygodne prawdy. Podejmują ryzyko „ucieczki z apatycznego ładu na niespokojny ocean”. Wśród nich znajdzie się miejsce dla aktywistów z Grupy Granica i Ostatniego Pokolenia, dziennikarzy radiowej Trójki protestujących przeciw upolitycznieniu stacji, dla Joanny Szczepkowskiej, Katarzyny Nosowskiej, Sylwii Chutnik, Jany Shostak, Sinéad O’Connor i innych „performerek bezsilności”. Dołącza do nich aktorka Jennifer Coolidge, długo czekająca na sławę i niebojąca się śmieszności, gwiazda serialu „Biały Lotos”. Pojawia się nawet Lady Gaga i jej wieloznaczna kreacja z argentyńskiej wołowy, w której wystąpiła na gali MTV Video Music Awards w 2010 r. W wywiadzie dla „Dwutygodnika” Dauksza tłumaczy obecność globalnej gwiazdy w tym gronie, mówiąc, że „w doświadczeniu nieznaczności nie chodzi wcale o stan konta”.

O co więc chodzi? O „umiejętność przeciwdziałania własnej bierności, zarządzania niezgodą, mobilizowania rezerw, dokonywania kolejnych zwrotów, płynnego przechodzenia od obrony przez unik, walkę, ucieczkę, aż do zależności”. Jednak znakomita większość opisywanych przez Daukszę przypadków to historie osób dysponujących czymś równie ważnym, jak pieniądze: kapitałem kulturowym i symbolicznym, rozgłosem i uznaniem. Działają w enklawie aktywizmu, zaangażowanej literatury i sztuki. Dlatego do wspaniałe napisanego eseju Daukszy wkrada się fałszywa nuta. Nieznaczność jest tu więc strategią elitarną, życiowym projektem dla wybrańców bogów i muz.

Potrzeba nam opowieści o jednostce, która celowo schodzi ze społecznych radarów, wypisuje się z systemu miar sukcesu.

Z pomocą przychodzą nam autorki, które we współodczuwaniu małego życia włączają czytelników.

Małe nie jest zbędne.

Jałowy jak antropocen

Z muzami droczy się za to Anka Wandzel w zbiorze esejów „Sztuka przetrwania”. Działalność artystyczną traktuje jak każdą inną pracę. Taką, która zmusza do gonitwy niewartej swej ceny i odpłaca się frustracją. Skoro dobrymi chęciami artystów można co najwyżej wybrukować piekło, lepiej zwrócić się ku działaniom bliższym ziemi. Wręcz w niej utarzanym.

Ale zanim Wandzel zanurzy się w poszukiwaniu, kłaczach i grzybnich, najpierw opowie nam o swoich ciężarach, które skończyły się zbyt szybko, i o porodach, które przyniosły zarówno szczęście, jak i depresję. Będzie wracać do pandemicznego lockdownu, który zdarzało jej się sabotować: „przemyskałam z wózkiem wzdłuż ogrodzeń zamkniętych państwowych dekretem parków. Z pęczkiem włoszczyzny w plecaku, żeby w razie czego móc nakłamać policjantom, że wcale nie wyszłam z dzieckiem na spacer, tylko po zakupy, co akurat było nadal dozwolone”.

Kiedy już legalnie wyjdzie na powietrze, trawa w centrum stolicy będzie wspinać się po jej kolanach, a żółta rewolucja forsycji, mirabelek i mniszków lekarskich nie pozwoli osunąć się w stan niemocy. „Czy wiedząc, że pod naszymi stopami – a także w naszych domach, miastach i instytucjach publicznych – nieustannie wije się taki żywioł, powinniśmy dalej uczyć nasze dzieci twardo stąpać po ziemi?” – pyta.

Jeśli nauczenni twardego stąpania po ziemi czytelnicy obawialiby się, że jest

to książka o przytulaniu drzew (w ostatniej dekadzie takich botaniczno-terapeutycznych wątków w polskiej literaturze nie brakowało), to rozwiewam te wątpliwości. Wandzel interesują rośliny „nieznaczne”, które w relacji z człowiekiem są na straconej pozycji, jak chwasty. Mediatorami ich świata są zaangażowane artystki. To Elżbieta Jabłońska z „Nie-użytkami sztuki”, grządkami uprawianymi przez ludzi z różnych światów społecznych i pokoleń. Potem zmarniały i uschły, bo skończył się projekt, dzięki któremu zawiąły do warszawskiej Królikarni. To działania drzewołazki Cecylii Malik, protestującej przeciw bezmyślnemu wyrębowi drzew. To „Chwasty” Karoliny Grzywnowicz, która przeniosła do nobliwej Zachęty łąkę z ziem pamiętających dramaty ludzi przesiedlonych wskutek Akcji Wisła. Zanim łąka trafiła do galerii sztuki, musiała zostać wyceńniona, odrobaczona i spakowana. Kiedy spełniła swoje zadanie, przesiedlono ją na nadwiślański skwer, gdzie, mimo intencji artystki, została skoszona.

Rozważania Wandzel największy ciężar mają wtedy, kiedy dotyczą porażki sztuki, niemocy i samooszukiwania się artystów, że wolno im więcej. To przypadek Joanny Rajkowskiej, która z nieczynnego budynku stacji transformatorowej chciała uczynić „infrastrukturę zieloną i błękitną” dla wszystkich istot. Prawie wszystkich. Trafostacja stała się schronieniem dla dwóch bezdomnych mężczyzn, których artyści „uprzejmie” wyprosił. Nikt nie czuł się w porządku, ale projekt trzeba było przecież wykonać. Artyści popełniają błędy, które nie ważą mniej ani więcej niż błędy urzędników. Są ludźmi, pracownikami, wyrobnikami i jadą na tym samym wózku, co inni „porażkowicze”? To nieprawda, mówi Wandzel. W pisaniu i działaniu artystycznym nie zrozumiemy ludzi, którzy nie mają dachu nad głową, ani tych, którzy przedzierają się przez lasy w poszukiwaniu nowego domu.

Wandzel podkreśla, że pisanie o poczuciu nieistotności i słabości jest przywilejem i nie daje moralnego prawa do reprezentowania niemego cierpienia innych. A jednak na swój sposób sama to robi i wraca do punktu wyjścia. Jest w tym kręceniu się w kołko szczerza i bezradna: „Dopóki przetrwanie będzie w Polsce sztuką dostępną tylko dla wybra-

Szkoła przetrwania dla każdego

■ Agnieszka Dauksza, **ŁUDZIE NIEZNACZNI**, Karakter i słowo/obraz terytoria, Kraków-Gdańsk 2024.



„A gdyby uznać, że w zasadzie każdy może być nieważny, że można wybrać nieważność jako strategię przetrwania? Przynajmniej byłoby to bliższe doświadczeniu większości” – proponuje autorka. Ale jeżeli nieznaczność jest taktyką, to znaczy, że wymaga przejścia od pasywności do działania. Mają ją tylko nieliczni nieznaczni. Sprawdźmy chociaż, jak sobie daje z tym radę taka Björk lub Lady Gaga.

■ Katarzyna Sobczuk, **MAŁA EMPIRIA**, Wydawnictwo Dowody, Warszawa 2024.



Oto forma testu na wczesną starość. Na każdego z nas znajdzie się tu paragraf. Okaże się, że niektórzy byli już starzy od pacholęcia, ale kiedyś tego nie dostrzegali. Nadużywanie słów „już” i „kiedyś” też należy do symptomów starości. Po lekturze „Małej empirii” na wszelki wypadek przestałam podpisywać maile zwrotem „serdeczności” – bo to również zdradza pewien etap życia.

■ Anka Wandzel, **SZTUKA PRZETRWANIA**, Karakter i MSN, Kraków-Warszawa 2025.



Autorka podkreśla, że pisanie o poczuciu nieistotności i słabości jest przywilejem i nie daje moralnego prawa do reprezentowania niemego cierpienia innych. A jednak na swój sposób sama to robi i wraca do punktu wyjścia. Jest w tym kręceniu się w kółko szczerza i bezradna. Język roślin, którym opisuje bolączki świata ludzi, maskuje tylko to, że walczy o przegrane sprawy.

© MNF

nych, każda, nawet najpiękniejsza i najbardziej wzruszająca baśń środowiskowa musi próchnieć i rozpaść się pod naporem widm, win i wstydu – aż wszystkie metafory pójdą w drzazgi”. Język roślin, którym opisuje bolączki świata ludzi, maskuje tylko to, że walczy się tu o przegrane sprawy.

Test na starość

Najuczciwszą propozycję składa przegrywom Katarzyna Sobczuk w „Małej empirii”. W pierwszych słowach dziennika żałobnego po samej sobie uprzedza, żeby szykować się na horror. Tutaj czterdziestka nie jest nową trzydziestką, lecz wstępem do apogeum porażkowania. Sobczuk przenosi uwagę na upływającą codzienność, kiedy nie gromadzi się już kapitałów, ale traci grunt. To czas,

gdy upodabniamy się do rodziców, a dla dzieci stajemy się ostrzeżeniem, jak nie skończyć.

„Mała empiria” przybiera formę testu na wczesną starość. Wydaje się, że niewinna, bo o niemal stuprocentowej zdawalności. Jeśli bywasz rozmarudzona, popadasz „w zadumę bez puenty”, opowiadasz te same anegdoty, wyznajesz miłość kotu, rozczulają cię kiczowate prezenty i szyfrujesz w kalendarzu wizyty u lekarzy – twój sezon przemijania już się zaczął. Pozbywasz się świadków twojej nieznaczności – unikasz starych przyjaciół i nielubianych krewnych. Irytują cię ludzie młodszy i starsi. Zamiast kupić nowe ubranie, jedziesz do Ikei po lampion i zapachową świeczkę. Na każdego znajdzie się tu paragraf. Okaże się, że niektórzy byli już starzy od pacholęcia, ale

kiedyś tego nie dostrzegali (nadużywanie słów „już” i „kiedyś” też należy do symptomów starości). Po lekturze „Małej empirii” na wszelki wypadek przestałam podpisywać maile zwrotem „serdeczności” – bo to również zdradza pewien etap życia.

„Być może jedna tylko rzecz jest naprawdę ważna w tej książce, a reszta jest napisana dla niepoznaki” – autorka zostawia wskazówkę tym, którzy chcieliby przebiec zbyt szybko przez ten zbiór scen z życia codziennego. Aforyzm służy jej za broń przeciw metaforom pacyfikującym prawdę o przemijaniu. To ono z obojętności czyni ostatnią przyjemność. Sentymalizmem kamufluje brak nowych pragnień i przeterminowanie dawnych. Trzymanie gardy służy za taktykę przetrwania czasu, gdy rodzice odejdą, a dzieci staną się obcymi. Jedyna wielka kumulacja, na którą mamy wygrany los, to „kruchota życia, świadomość śmierci i samotność”. Nawet lament nad zmarnowanym życiem został ludziom średniostarym odebrany, bo w kulturze psychoterapii nie ma życia, którego nie dałoby się przepracować.

Ostateczny cios złudzeniom, że starość o nas zapomni, Sobczuk zadaje wtedy, gdy pisze o powolnej utracie przyjemności z czytania. Nie chce się już znać młodych pisarzy. Nowe przekłady klasyki irytują. Stare też nie przynoszą ulgi. Musił, Broch i Proust nudzą, a z pierwszej lektury zostało mgliste wspomnienie i zapiski na marginesie, których dziś nie da się z niczym powiązać. A jeśli „cała humanistyka to tylko zbiór przekonań”? – pyta. Ten wyrzut łączy ją z Daukszą i Wandzel. Czyż literatura, sztuka i filozofia nie zabawiają się nami, z nieznaczności, bezsilności i przemijania czyniąc łatwo powielany topos?

Mimo to narratorka „Małej empirii” nadal trzyma przy łóżku stare książki, położyła kotwice sensu. Agnieszka Dauksza, upominając się o znaczenie małego życia, nie wychodzi z rozrastającej się biblioteki. Anka Wandzel wciąż prowadzi rozmowy z artystkami, a wieczorem wokuje samodzielnie wyhodowane zbiory. „Wiedomo, łatwo nie będzie, bo ze sztuką przetrwania zawsze jest masa roboty. Ale przynajmniej nie jesteśmy na tym polu same” – zachęca. Co począć – do dzieła! Wspaniała porażka nie doświadczy się sama.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Narodowy kapiszon

DARIUSZ KOSIŃSKI

Czas najwyższy, by zacząć prawdziwy zamach na narodowy stary teatr – nie tylko ten krakowski. Polska tradycja teatralna wyznaczana przez „Dziady” ma już przecież sto lat. Ale zamach wymaga amunicji.

DŁUGO PRZYSZŁO CZEKAĆ NA PRZEDSTAWIENIE, które można uznać za programową wypowiedź nowej dyrekcji Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Wprawdzie w tym sezonie na jego scenach odbyły się już cztery premiery, ale dopiero „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu”, napisany (wspólnie z Janem Czaplińskim) i wyreżyserowany przez dyrektora artystycznego Jakuba Skrzywanka, ma wszelkie znamiona inauguracyjnej deklaracji.

Kilka dokonań Skrzywanka, na czele ze „Śmiercią Jana Pawła II” w Teatrze Polskim w Poznaniu i „Spartakusem. Miłością w czasach zarazy” w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, uważam za najlepsze polskie dokonania teatralne, jakie można było zobaczyć w ostatnich latach.

Akt przerywany

Koncept wyjściowy ma mocny i atrakcyjny. Oto w trakcie premiery „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego do teatru wdzierają się zamaskowani napastnicy, zabijają kilka osób, a pozostałe biorą za zakładników. Nie wiemy i nie dowiemy się, kim byli ani czego żądali. Zobaczymy na scenie te pierwsze kilkanaście minut „Wyzwolenia”, ale tytułowego zamachu już nie. Tuż po tym, gdy Muza (Dorota Segda) wygłasza słynne „Wyzwolin ten doczeka się dnia...”, rozlegają się wprawdzie jakieś hałasy sugerujące strzały, ale na salę nikt się nie wdziera.

Zamiast tego scenę przesłania ekran, na którym pojawiają się wygenerowane przez AI materiały dotyczące ataku terrorystycznego: serwisy informacyjne, chłopackowato dumne orędzie prezydenta Dudy, miálko miękka wypowiedź premiera Tuska i odpowiednio propupitnowsko-antyeuropejska deklaracja prezydenta Trumpa. Całość pierwszej części

kończy się ćwiczeniami ewakuacji, publiczność powinna opuścić widownię Dużej Sceny.

Przedstawienie trwa poza nią: na podłodze sali Modrzejewskiej leżą czarne worki ze „zwłokami”. W głównym foyer zaczynają się obchody rocznicy zamachu z minutą ciszy, hymnem, apelem poległych i nieudolnym recytowaniem modlitwy Konrada z „Wyzwolenia”. Nieustanne tango i montaż wątpliwych atrakcji. Mamy żonglowanie znakami dla wielu jednak wciąż znaczącymi wiele. Nie tylko ja – kilka osób przechadza się nerwowo po sali Modrzejewskiej, nie patrząc na nikogo. Niegdysiejszy filar Starego przechodzi szybko z pochyloną głową, by zniknąć w znanych tylko sobie zakamarkach budynku.

Następne dwie części mają być analogiami kolejnych partii „Wyzwolenia”. Kabaretowo parodystyczna ceremonia obchodów piątej rocznicy zamachu przechodząca w sesję pseudoterapeutyczną. Ktoś gwałtownie domaga się rzetelnego śledztwa, bo nie wiadomo, ani kto i dlaczego dokonał zamachu, ani jak działały służby. Eksploduje ponownie stłumiona rozpacz ludzi, którzy utracili najbliższych. Ale wszystko to zostaje zatopione w parodii terapii, której kulminację stanowi scena nadmuchiwania i animowania lalek-fantomów przedstawiających ofiary.

W ostatniej części przedstawienia nad sceną umieszczono zegar, który pokazuje, że od zamachu minęło ponad osiem lat. W Starym Teatrze odbywa się próba przedstawienia poświęconego tamtym wydarzeniom. Nic się jednak nie udaje, więc próba zostaje zerwana. Pozostają tylko reżyser i Muza, która mówi, że ma dość traum i Konradów. Teatralny zegar wpada w galop, przelatują kolejne tysiąclecia, nad scenicznym projektem go-

reje czerwone słońce, a z ust Muzy leją się pseudopoetyckie deklaracje, mające sugerować, że zamiast traum i narodowych ran, trzeba zanurzyć się w życie Kosmosu i w nim szukać światła i ciepła.

Końca nie ma – jutro znów trzeba wrócić na próbę.

Żarty na pogrzebie

Trwające trzy godziny przedstawienie jest nieudane i nieudolne. Zachwyt efektywnym konceptem tak uwiódł twórców, że brakło im już energii, jakiej wymagałaby precyzyjna praca nad rozwinięciem jego potencjału. Dostajemy serię chaotycznych, wyprowadzanych w wiele stron naraz ciosów, z których żaden nie trafia w cel.

Pozornie głównym tematem przedstawienia są polskie katastrofy. Inicjują one procesy wytwarzania silnych wspólnot doświadczenia. Potem stopniowo przekształcają się we wspólnoty polityczne i ideologiczne. Te fascynujące zjawiska są w dzisiejszej Polsce znane przede wszystkim z dziejów katastrofy smoleńskiej.

W spektaklu kilkakrotnie pojawiają się odwołania do tych wypadków, ale kojarzą się z kiepskim kabaretem, chwilami zahaczającym o niestosowne żarty na pogrzebie. Złożoność i wielowymiarowość procesu, którego jesteśmy świadkami i uczestnikami od kwietnia 2010 r., w „Zamachu” zostaje sprowadzona do kilku klisz. A już na pewno nie ma tu nawet próby prześledzenia „narodzin narodu”, które przecież stanowiły jego efekt.

Deep fake

Sztuka współczesna, również teatr, wielokrotnie przekonywała, że potrafi mierzyć się ze złożonością procesu żałoby. Także Jakub Skrzywanek, choćby w „Śmierci Jana Pawła II” dowodził, że ma wycucie niejednoznaczności sytuacji granicznych. Czemu więc sprowadził ten proces do groteskowego kabaretu i kpiny z przymilnego budowania własnej kariery na trupach, co prezentuje prowadząca rocznicowe obchody w drugiej części postać, nazywana – a jakże! – Prezesem?

Przyjmuję życzliwie, że ta układanka z medialnych, memicznych stereotypów – zamach, polityka na grobach, żałoba, trauma i terapia – zbudowana jest świadomie i że świadomie zamiast dra-



NATALIA KABANOW / NARODOWY STARY TEATR IM. HELENY MODRZEJSKIEJ

Radosław Krzyżowski i Dorota Segda w spektaklu „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu”, reż. Jakub Skrzywanek, Kraków, premiera 21 marca 2025 r.

matycznego i wielostronnego zmierzania się z sytuacją katastrofy i jej konsekwencjami serwowany nam jest przegląd nieskuteczności znanych sposobów reagowania. Zakładam, że Skrzywanek świadomie nie próbuje analizować ani procesu utraty i żałoby, ani sposobów rekonstruowania wspólnoty i ustanawiania nowej wizji politycznej wokół tych doświadczeń, bo pragnie z całej siły wyzwolić się spod władzy ich wszystkich i zrobić coś zupełnie innego. No właśnie...

Końcowa deklaracja Doroty Segdy może być słyszana jako odpowiednik słynnego monologu Konrada „Chcę, aby w letni dzień...” – literacko wprawdzie nieudany, ale zrodzony z równie wielkiego marzenia o uwolnieniu od tych wszystkich męczących traum. To marzenie, a nie katastrofa i jej konsekwencje, tworzy prawdziwy rdzeń spektaklu. Problem w tym, że pojawia się ono nie – jak w „Wyzwoleniu” – jako efekt przeprowadzanego z całą ostrością i bez taryfy ulgowej wobec innych i siebie procesu konfrontacji ze współczesnością i podsuwanymi przez nią scenariuszami. Tu jest tylko deklaracja osób, które *a priori* „wiedzą lepiej” i przerzuciwszy serię ikon i memów o „tym kraju”, umieszczają na

teatralnym portalu własny post. Można zalaikować, ale co to zmienia?

Teatr trzeci

Tytuł spektaklu można czytać także dosłownie: objęcie dyrekcji Starego przez Dorotę Ignatiew i Jakuba Skrzywanek to zamach na teatr i narodowy (jako ideę), i Stary (jako tradycję). Jednak taka deklaracja jest jeszcze bardziej problematyczna. Bije z niej niemoc teatru, a właściwie – teatrów, których jest tu co najmniej kilka.

Po pierwsze – inscenizacja dramatu Wyspiańskiego, której kilkanaście minut tu pokazano, była tak okropna, że odczuwałem wręcz wdzięczność dla terrorystów, że ją przerwali. Oczywiście, zakładam życzliwie, że drapieżna kiczowatość inscenizacji i fatalna jakość aktorskich występów to świadoma stylizacja, której celem było wystawienie niemocy teatru dramatycznego we wszystkich jego wersjach. Diagnoza jest bolesna, ale niestety trafna: dawnych tekstów nikt nie rozumie, aktorzy, nawet wybitni, nie potrafią mówić wiersza, zaś reżyserzy goniący za prowokacjami tylko zagłuszają ich słowa i myśli.

To, że niemocą napiętnowany jest teatr drugi – teatr mediów, też nie dziwi i nie

zaskakuje. Nawet trochę szkoda, że poświęcono temu aż tyle czasu. Bardziej zastanawia atak na teatr trzeci – a więc zjawiska i procedury, które można wiązać z tym, czym tak niedawno z powodzeniem zajmował się Jakub Skrzywanek. Wyśmiewanie i negowanie teatralnej pracy wydało mi się wręcz aktem reżyserskiej samokrytyki.

Skrzywanek, jak każdy artysta, ma prawo zmieniać nastawienia i kierunki poszukiwań. Oby tylko nie odbywało się to na drodze uproszczeń dotyczących po równo tego, co się porzuca, jak i tego, czego się szuka. A tak się tu chyba sprawy mają, bo i teatr stary, i nowy, i tradycyjny, i krytyczny są tu odgrywane w rażących uproszczeniach. Ustawiono sobie przeciwników tak, żeby łatwo było ich trafić w najsłabsze miejsce. Bez przesady, każdy z odrzucanych tu teatrów wciąż „mocne ma podstawy”.

Wyjść ze świątyni

Największy problem mam jednak z rozpalaną w finale przyszłościową alternatywą. Znowu słyszę, że Konrad powinien zejść ze sceny, a wspólnotę polską trzeba zorganizować wokół czegoś innego niż przeżywana zbiorowo katastrofa. Te postulaty stawiano już tyle razy, że może wreszcie trzeba by zauważyć, że są one oparte na niedoczytaniu i niedomyśleniu własnej tradycji.

„Teatr Konrada” (zostańmy już przy tym kryptonimie) nie jest teatrem rozpałtowanej traumy i cierpiętniczego gestu, ale mocnego wobec nich sprzeciwu. Wyrasta z poszukiwania sensu i wartości przekraczających polityczną religię męki i ofiary. Przecież Konrad w „Wyzwoleniu” groził: „Krzyż przeklnę, Chrystus godło, gdy męką naród uwiodło!”. Zamiast unikać i umykać, czas by może był naprawdę serio wejść na drogę tego Konrada i pójść nią dalej niż tylko do kresu naturalnego bryku. Z nim trzeba porozmawiać, a nie z Prezesem i własnymi fantazjami.

Mnie też męczą masochistyczne tańce z traumami. Ale jeśli chce się rzeczywiście wyjść poza świątynię Polski umęczonej, trzeba poszukać tropów tych, którzy opuściwszy jej mury, zaszli daleko dalej, niż się wydaje. „Zamach na Narodowy Stary Teatr” sam się udaremnił. Ale przynajmniej można się z jego twórcami posprzeczać o kwestie fundamentalne. ©



Chuligani literatury

MICHAŁ SOWIŃSKI

Jako jedyne w Polsce wydawnictwo, ArtRage oferuje abonament na swoje książki. Ale w tym modelu wydawca nie może sobie pozwolić na błąd. Kredyt zaufania jest olbrzymi, więc i wpadka kosztuje więcej.

ARTRAGE TO FENOMEN. ZARZĄDZANE PRZEZ DWIE OSOBY WYDAWNICTWO publikuje zarówno noblistów i laureatów Nagrody Bookera, niesłusznie zapomnianych klasyków w nowych przekładach, jak i prozatorskie debiuty. Po trzech latach istnienia wyznacza literackie trendy i stało się punktem odniesienia dla jakości wydawniczych praktyk.

Delikatesy

Zaczął się wiosną 2022 r., gdy ukazała się powieść „Oni” Kay Dick (tłum. Dorota Konowrocka-Sawa) – nazywana zapomnianym arcydziełem. Wydana oryginalnie w Wielkiej Brytanii w 1977 r., mroczna i skomplikowana formalnie, była co najmniej nieoczywistym pomysłem na debiut wydawnictwa. Krzysztof Cieplik, tłumacz i redaktor ArtRage, tak wspomina heroiczne czasy: – To było trochę tak, jakby wpuścić dzieci do sklepu z cukierkami – o, fajne, kupujemy! Zrobiliśmy to, przeinwestowaliśmy i stąd wzięły się późniejsze problemy.

Nieustanne negocjowanie z realiami finansowymi to jedna ze specjalności ArtRage’a. Pomysł od początku był prosty, twierdzi drugi z założycieli wydawnictwa, Michał Michalski: – Zależało mi na pokazaniu, że z dobrą literaturą można podchodzić do czytelnika bez nadęcia. Przez lata byłem zrażony do ambitniejszych książek przez to, jak były podawane – z namaszczeniem, nadęciem, w akademickim sosie.

W czytelnicznym odbiorze zajmują się wyłącznie literatura wybitną. Nieomylnie odkrywają wybitne dzieła, które rodzimy dryf wydawniczy pominął albo prześlepił. Nawet, jeśli ktoś nie wie, kogo właśnie wydali i o czym to jest, kredyt zaufania do nich osiągnął ten pułap, że Polska Czytająca niezawodnie kupi.

Żeby się opłacało

W ostatnich 10-15 latach sposób funkcjonowania polskich wydawnictw uległ zasadniczej zmianie. Po anarchicznych latach 90. i chaotycznej pierwszej dekadzie XXI wieku, rynek został ostatecznie podzielony między dużych i małych graczy – popularne niegdyś wydawnictwa średniego rozmiaru albo zniknęły, albo – nieliczne – znalazły na siebie nowy pomysł. Ci duzi, zatrudniający nawet po kilkadziesiąt osób, budują swoją ofertę maksymalnie szeroko, inwestując w różne style i gatunki.

Ten model ma oczywiście swoje plusy i minusy – trudno go oceniać bez uwzględniania skomplikowanego ekosystemu współczesnej kultury, na który składają się media, procesy społeczne, zawirowania polityczne i wiele innych czynników. Jak pokazują najróż-

niejsze badania z zakresu socjologii literatury, mamy tu do czynienia z systemem naczyń połączonych – pozycjonowanie się jednych znacząco wpływa na to, jak definiują się inni. Mówiąc inaczej – najodważniejsi nie mogliby zaistnieć bez odniesienia się do kultury głównego nurtu. Dlatego pozycja, którą zajmują tacy wydawcy jak ArtRage, ma swoje oczywiste ograniczenia, ale jednocześnie daje dużą swobodę.

Wszędzie słysząc to tłumaczenie: „Wydamy chłam, który się na pewno sprzeda, dzięki czemu będziemy mogli wydać coś wartościowego”. – Nie zgadzam się z taką strategią – mówi Cieślík. – Wartościowe rzeczy giną potem w masie tego chłamu.

Nie, to nie jest dezynwoltura, tylko znak rozpoznawczy ArtRage. To nie jest tylko pozowanie na „chuliganów literatury” (choć obaj redaktorzy ewidentnie to lubią i do twarzy im z tym), ale element szerszego, przemyślanego pomysłu na obecność literatury w przestrzeni medialnej.

Mówmy, jak jest

Tak, to była sensacja. ArtRage opublikował niedawno zestawienie wszystkich sprzedanych w 2024 r. książek (zarówno w wersji papierowej, jak i ebooków). Bardzo rzadko ujawnia się takie dane – najczęściej jedynie wtedy, gdy wydawnictwo chce się pochwalić sukcesem. Informacje o wynikach można zdobyć jedynie półoficjalnymi kanałami wewnątrzbranżowymi, a wciąż są to zazwyczaj dane częściowe i wyrwane z kontekstu.

Dlatego raport ArtRage’a wzbudził duże poruszenie. Wydawcy na kilkunastu stronach pokazują zarówno swoje sukcesy, jak i porażki (w żargonie zwane „flopami”). Ta druga część zaczyna się od zdania: „Miało wyjść inaczej, a wyszło jak wyszło, czyli zakładaliśmy, że będzie super i nie było. Co nie znaczy, że nie było warto”. Michalski tłumaczy: – ZAiKS robi to od lat. Chcieliśmy zrobić podobnie – po prostu przekazać informacje. To nie jest chwalenie się ani żalenie. To są po prostu suche liczby.

Cieślík jednak dodaje: – Branża wydawnicza w Polsce to miejsce, gdzie nikt niczego nie mówi otwarcie. Wszyscy tylko się dziwią, że coś lub ktoś upada. No ale skoro przez lata nikt nie mówił o liczbach, to skąd miał się dowiedzieć, jak naprawdę wygląda ten rynek?

Liczbę bezwzględnie weryfikują wiele domysłów i fantazji. Na przykład – książka „Ja to ktoś inny” norweskiego noblisty Jona Fosse sprzedała się w nakładzie 4226 egzemplarzy, a jego „Białość” w liczbie 7480 sztuk (obie w tłumaczeniu Iwony Zimnickiej). „Czas starego Boga” irlandzkiego laureata Nagrody Bookera w przekładzie Agi Zano rozszedł się w nakładzie 3580 sztuk. To mało czy dużo? Bez zbudowania odpowiedniego kontekstu trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie.

„Rok był dobry i liczby też. Nie zbankrutowaliśmy” – brzmi konkluzja autorów raportu. Ich „flop” to na przykład powieść „Echeverria” argentyńskiego pisarza i reportera Martina Caparrósa, znanego u nas przede wszystkim z głośnego „Głodu” – 723 egzemplarzy (przełożyła Katarzyna Okraso). Jedną z najwybitniejszych – zdaniem wielu najwybitniejszą – powieść ubiegłego roku, czyli „Pasierb” Juana José Saera, dobił do 1100 egzemplarzy (tłumaczyła Barbara Jaroszuk).

– Bardzo liczyliśmy na efekt – żeby ludzie zobaczyli, jak to naprawdę wygląda. I faktycznie, nawet osoby, które siedzą w branży od lat, były zaskoczone tymi liczbami – przyznaje Cieślík.

– Wszyscy tylko powtarzają, że rynek książki się kurczy, że książka umiera, ale bez liczb to są tylko frazesy. Transparentność pozwala zobaczyć, co naprawdę się dzieje – dodaje Michalski.

W branży wydawniczej liczby nie tylko rzadko trafiają do publicznego obiegu, ale równie rzadko stają się punktem wyjścia do rozmowy o ekosystemie dystrybucji i sprzedaży książek.

– Księgarnie, wydawnictwa – wszyscy są w tej samej sytuacji. I praktycznie nikt nic o tym nie mówi – podbija Cieślík. Jego zdaniem brak otwartości nie dotyczy wyłącznie wyników finansowych, ale także warunków współpracy między poszczególnymi ogniwami rynku. Na końcu tego łańcucha często zostają księgarnie – zwłaszcza te niewielkie – które mierzą się z nieprzewidywalnością popytu i polityką zwrotów, a także z kurczącym się miejscem na półkach. Raport ArtRage’a, choć dotyczy tylko jednej oficyny, stał się pretekstem do ważnej rozmowy.

Byłe szczerze

– Społecznościowy aspekt naszej działalności jest kluczowy. Wydawnictwo jest

formą rozmowy z czytelnikami, w mediach społecznościowych, wszędzie, gdzie się da. Nie wyobrażamy sobie robienia wydawnictwa, które nie byłoby jakoś oddolne czy wspólnotowe – mówi Cieślík.

W tym przypadku komunikacja odbywa się na kilku płaszczyznach. Po pierwsze, podcast „ArtRage – wcale nie podcast”, w którym redaktorzy rozmawiają w swobodny sposób o najróżniejszych branżowych niuansach. Jednak dzięki specyficznemu poczuciu humoru, ale też bezkompromisowemu (co rzadkie w tym środowisku) diagnozowaniu najróżniejszych wypaczeń czy wręcz systemowych patologii. Można się wciągnąć, czego dowodzi spore grono wiernych słuchaczy.

Do tego dochodzą przykuwające oko pomysły promocyjne (odpowiada za nie szefowa promocji Ewelina Lebida), memy i regularne doniesienia z wewnętrznego życia wydawnictwa na grupie facebookowej. Ten ostatni element jest szczególnie oryginalny – redaktorzy często pokazują zapisy swoich chatów, gdzie przerzucają się pomysłami, ale też brawurowo się nawzajem krytykują i obrażają (wątek „Martwych Chilijszczyków”, wymyślony przez fanów, to już klasyczny lejtmotyw – zachęcam do śledzenia).

Obaj redaktorzy stanowią też dobraną (przynajmniej w wymiarze swoich publicznych person) parę – jeden co chwilę wynajduje kolejnego genialnego autora, którego koniecznie chce wydać, drugi brutalnie weryfikuje pomysły pod kątem mocy przerobowych i możliwości finansowych (czasem zamieniają się rolami). Do tego dochodzą długie konwersacje i spory z czytelnikami – nie tylko o książkach bezpośrednio związanych z ArtRage’em. W ten sposób wydawnictwo staje się wspólnotą czytelników.

– Jak książka nie idzie, mówimy wprost: „Ej, ta poszła słabo”. To nie jest żal, to jest informacja. A potem widzimy, że ci, którzy byli nią zafascynowani, zaczynają o niej mówić i książka znów zaczyna żyć – mówi Michalski. Cieślík dodaje: – Dzięki temu, że czytelnicy między sobą rozmawiają, książka ma prawo funkcjonować. To podstawa.

Standardowe działania promocyjne w dużych wydawnictwach są niezwykle kosztowne, a inwestycje często nie przynoszą satysfakcjonujących efektów. Do tego bywają problematyczne ➔

→ etycznie – co rusz wybuchają awantury o „opłacane recenzje” albo inne formy zaangażowania osób z dużymi zasięgami medialnymi. Dlatego ArtRage szuka alternatywnych rozwiązań, wnosząc nową energię do świata literackiego.

Kwestia nosa

Jako jedyne w Polsce wydawnictwo ArtRage oferuje abonament na swoje książki – w trzech wariantach, na 11, 22 albo 44 kolejne tytuły. Przy tych większych wolumenach nawet sami redaktorzy mają jedynie mgliste wyobrażenie, jakie książki trafią w końcu do prenumeratorów. To oczywiście system pokrewny różnym pomysłom subskrypcyjnym, a także crowdfundingowym – różni się jednak tym, że bazuje na klasycznej strategii wydawniczej, czyli po prostu sprzedawaniu pojedynczych książek.

– Prenumerata daje nam parę miesięcy spokoju w wydatkach. Mamy około 120 prenumeratorów, co przerosło nasze oczekiwania. To są nasi ludzie – osoby, które są z nami od lat – mówi Michalski. Ten w istocie bardzo prosty mechanizm – nawet w tak niewielkiej skali – ma ogromne znaczenie, a co do samej zasady posiada potencjał wręcz rewolucyjny.

Jeżeli uda się namówić czytelników na płacenie za książki z góry, pojawiają się znacznie większe możliwości działania dla wydawnictwa (na przykład pozyskiwanie droższych licencji, ale też budowanie stabilniejszego modelu rozwoju). Ale w tym modelu wydawca nie może sobie pozwolić na błąd, nie może zawieść oczekiwania abonentów. Kredyt zaufania jest olbrzymi, więc i wpadka kosztuje więcej.

No właśnie, wszystkie te pomysły byłyby niewiele warte bez dobrej literatury. A konkurencja jest duża i często dysponuje znacznie większymi możliwościami finansowymi oraz kadrowymi. Pomaga oczywiście dobre rozeznanie w tym, co dzieje się teraz w literaturze (albo działo się dekady temu), a także dobre oko i intuicja.

Świetnym przykładem jest tu Jon Fosse, który w ArtRage’u pojawił się niedługo przed Noblem. Michalski tłumaczy skromnie: – To najwybitniejszy i najbardziej ceniony współczesny norweski pisarz. Wyłapanie go nie było wyzwaniem. Mieliśmy go już przed nosem.

Podobnie było z Irlandczykiem Sebastianem Barrym: – Jest rekordzistą w no-



Krzysztof Cieślík
oraz Michał Michalski,
współzałożyciele Wydawnictwa ArtRage



Zapraszamy na spotkanie
**CO NAM SIĘ WYDAJE, CZYLI
RYNEK KSIĄŻKI W POLSCE**
z zespołem Wydawnictwa
ArtRage: Krzysztofem Cieślikiem,
Michałem Michalskim,
Ewelina Lebidą,
prowadzenie Michał Sowiński.
2 kwietnia (środa) o godz. 19.00,
Najlepsza Księgarnia, ul. Augusta
Cieszkowskiego 1/3, Warszawa.

minacjach do Bookera. I wygrał dwa razy Costa Award, a do tego Dublin Award, Walter Scott Prize. Na Wyspach jest naprawdę duży, w Stanach też. W Polsce miał dwa podejścia u dwóch różnych wydawców, ale najwyraźniej „nie zażarł”. Gdy się okazało, że jest wolny, napisałem do agenta: „dzień dobry, bierzemy wszystko”. Dał.

Z sympatią

To wciąż jednak za mało. Potrzebni są wyspecjalizowani w różnych obszarach kulturowych i językowych eksperci – czyli tłumacze. Według Cieślíka jedyni, którzy naprawdę znają się na literaturze obcej: – Jeśli ktoś zna hiszpańską literaturę, to na pewno tłumacz, a nie ja. Jak Kasia Okrasko mówi, że coś jest dobre, czy Tomek Pindel, czy Basia Jaroszek, to ja po prostu wiem, że jest dobre. Nie potrzebuję eseju na ten temat, wystarczą mi ich trzy zdania, żeby podjąć decyzję.

Ten szacunek i docenienie roli tłumaczy to oczywiście element dużo szerszego, nowego zjawiska. Ich rola nie ogranicza się już do samej translacji. Często stają się ambasadorami mało znanych literackich światów, a swoimi rekomendacjami bezpośrednio kształtują plany wydawnicze.

– Podobnie mamy z grafikami. Ufamy ludziom, którzy znają się na swojej pracy – mówi Cieślík. – Jeśli można mówić o jakimś naszym sukcesie, to jednym z kluczowych elementów jest seria „Cymelia”. I to jest ogromna zasługa Łukasza Piskorka, który zrobił jej projekt. Za każdym razem, gdy wysyłamy do akceptu okładki „Cymelii”, agenci i autorzy piszą nam, że są zachwyceni. Nie ma innej reakcji.

Nie ukrywamy swojej sympatii dla ArtRage’a. Daleko nam jednak do budowania prostych hierarchii, a jeszcze dalej do krytykowania kogokolwiek. Istnieje w Polsce wiele wydawnictw – większych i mniejszych – które oferują nam wybitną literaturę, posiadają wyraziste i oryginalne tożsamości, a także walczą (z dużą skutecznością) o lepsze warunki dla całego pola literackiego. Łączy je bez wątpienia szczerza, głęboka pasja twórców, którzy mają wystarczająco dużo sprytu i determinacji, by ją konsekwentnie realizować.

To opowieść o jednym z nich.

© © MICHAŁ SOWIŃSKI

ROBERT GARDZIŃSKI

AGATA KRAJEWSKA / KRESKA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ARTRAGE

■ **Arturo Pérez-Reverte,**
OSTATNIA ZAGADKA, tłum. Katarzyna Okrasko, wyd. ArtRage.
W księgarniach od 24 marca



GRATKA DLA MIŁOŚNICZEK I MIŁOŚNIKÓW klasycznych powieści detektywistycznych, szczególnie przygód Sherlocka Holmesa. Hiszpański pisarz zaszył tu odniesienia do ponad dwudziestu książek Arthura Conan Doyle'a. Bohaterowie nie tylko rozmawiają o poszczególnych wątkach z jego twórczości, sama akcja nawiązuje do rozwiązań stosowanych przez klasyka. „Ostatnia zagadka” to prawdziwie przewrotny traktat o „morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych”. Nic dziwnego – Arturo Pérez-Reverte w książkach z Sherlockiem zaczytywał się ponoć od ósmego roku życia. Głównym bohaterem powie-

ści jest niejaki Hopalong Basil, człowiek, który wiele lat grał Holmesa w Hollywood. To postać także inspirowana uniwersum Doyle'a, wprost wzorowana na Basilu Rathbone, angielskim aktorze wiele lat grającym detektywa w kinie. Gdy podczas wakacji na greckiej wyspie Basil staje się mimowolnym uczestnikiem dramatycznych zdarzeń, współmieszkańcy hoteliku, w którym nocuje, wybierają go na tymczasowego przedstawiciela władz. Jak to w klasycznych powieściach detektywistycznych bywa, całe towarzystwo odcięte jest od świata z powodu sztormu, zanim więc przypłynie policja, Basil szuka odpowiedzi na pytanie: kto, dlaczego i jak zabił. W swoją rolę wciela się nawet nieco dłużej, niż trwa dochodzenie.

©© MONIKA OCHEŃDOWSKA

■ **ANIOŁY W WARSZAWIE,**
Teatr Dramatyczny w Warszawie,
premiera 22 marca



DUET REŻYSERSKO-DRAMATURGICZNY Wojciech Faruga i Julia Holewińska, kierujący od tego sezonu Teatrem Dramatycznym, z rozmachem wszedł na scenę 22 marca premierą „Aniołów w Warszawie”. Wielowątkowa teatralna opowieść Holewińskiej o epidemii AIDS i stolicy z lat 80. zaistniała jako czterogodzinne przedstawienie, może nie porywające, ale na tyle atrakcyjne, wciągające, sprawnie wyreżyserowane i zagrane, że ma potencjał przyciągnięcia licznej i różnorodnej publiczności. Nie jest to wprawdzie dramat aż tak dobrze zrobiony jak słynne „Anioły w Ameryce” Tony’ego Kushnera

(przydałyby się ostrzejsze nożycki), a zespołowi trzeba dać trochę czasu na rozegranie się, ale jeśli chcecie zobaczyć, jak wygląda współczesny teatr dbający o sens i publiczność, to wybierzcie się do stolicy. Warto już dla samej Małgorzaty Niemirskiej, a to niejeden aktorski magnes tego spektaklu. Inna rzecz, że musi być z nami naprawdę źle, skoro obok próśb o wyłączenie telefonów przed spektaklem przypomina się, że troska o siebie jest ważna, i ostrzega, że przedstawienie może wywołać silne emocje. Twórcy najwyraźniej bardzo chcą, by do teatru wreszcie można było wejść bezkarnie. Czy to się nie skończy serwowaniem letniej zupy emocjonalnej – czas pokaże.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



■ **MachineGames, INDIANA JONES**
I WIELKI KRĄG, wydawca: Bethesda Softworks Inc., platformy: PC, PS5, XSX

WSZYSCY POSZUKIWACZE SKARBÓW – do boju! Indiana Jones wrócił w najlepszej formie w pierwszoosobowej, przygodowej grze akcji. Wraz z nim przypomnieli o sobie zaginione artefakty ludzkości i, oczywiście, poszukujący ich naziści. Nowa przygoda rozgrywa się tuż po „Poszukiwaczach zaginionej arki” i przed „Ostatnią krucjatą”, dla wielu z nas jest więc wielką wyprawą do świata dzieciństwa albo po prostu spełnieniem marzeń. To nie jest jednak taka gra jak popularne „Uncharted” albo „Tomb Raider”. Zabawa o wiele bardziej nastawiona jest na kreatywność i improwizację, choć elementów typowo zręcznościowych również w niej nie brakuje. Gracze z całego świata po dwóch miesiącach od premiery pokochali wspaniały, epicki scenariusz, świetnie zaprojektowane, malownicze lokacje, a przede wszystkim mnogość taktyk w eksploracji Watykanu, piramid w Gizie czy himalajskich przełęczy. Nie brakuje oczywiście romansu, wielkiej spiskowej teorii, a każdy pistolet Walter wytrącony z nazistowskiej dłoni za pomocą lasa przyprawia o dreszcz emocji. Podoba się ponoć nawet tym, którzy zupełnie nie wiedzą, kim jest Indiana Jones (a i tacy już chodzą po świecie). © KONRAD JANCZURA

FOT. KUBA KAŻMIERCZAK // GRAZYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWÉ, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęli na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ocheńskiej z **DAWIDEM TYSZKOWSKIM**



Bong w stylu Bonga

ANITA PIOTROWSKA

Twórca wywrotowego „Parasite” powraca nowym filmem do sprawdzonych futurystycznych metafor.

W ŚWIECIE PRZYSZŁOŚCI NIEŚMIERTELNOŚĆ może mieć wiele praktycznych zastosowań – poprzez utylizowanie tak zwanych zasobów ludzkich, choćby w nieskończoność. Dlatego Bong Joon-ho przenosząc na ekran powieść *science fiction* „Mickey 7” Edwarda Ashтона (w tym przypadku również współscenarzysty), zwiększył liczbę wcieleń tytułowego bohatera do aż osiemnastu. I nie ukrywa, że w filmie „Mickey 17” niemal wszystko, co na pierwszy rzut oka wydaje się podszyte współczesną technofobią, staje się natychmiast polityczne – dziś bardziej niż kiedykolwiek. Szkoda tylko, że twórca „Parasite” znacznie gorzej sobie radzi z krytyką dzisiejszego technofeudalizmu czy nowego imperializmu niż ze społeczną satyrą. Mimo że nadal ma w sobie tamten anarchizujący nerw, a za sobą publicystyczne zaplecze, które samo dla siebie jest krzywym zwierciadłem.

Niflheim w mitologii nordyckiej było miejscem wiecznej zimy – rejonem za światów, dokąd trafiali ci, którzy nie zginęli śmiercią bohaterską. U Bonga to nazwa kolonizowanej planety, dokąd wysyłani są różnej maści desperaci, którzy podpisali kontrakt na własną „wymie-

nialność”. Na przykład bardzo nieheroiczny Mickey, ścigany przez gangsterów za niespłacony dług zaciągnięty na poczet feralnego biznesu (czytaj: sklepu z makaronikami).

Siedemnaste wcielenie bohatera poznamy w momencie, kiedy po raz kolejny przeżywa własną śmierć. Chwilę potem za pomocą zaawansowanej drukarki 3D jego ciało będzie raz jeszcze odtworzone i zostanie mu wszczepiona pamięć oryginału, nazywana tu „kopią zapasową osobowości”. Nowa wersja ma być nie do odróżnienia od poprzedniej, lecz okazuje się, że Mickey 17 jednak nie umarł, uratowany przez lokalne stwory nazywane przez kolonizatorów Paskudami. Będzie zatem istniało dwóch Mickeyów równocześnie, numer 17 i 18, całkowicie wbrew regułom systemu. Tak zaczyna się konspiracyjna walka o jedynego prawdziwego siebie, swoisty egzamin dojrzałości wiecznego chłopca i zarazem rebela przeciwko dyktaturze uosabianej przez Marshalla, zdegenerowanego polityka i międzyplanetarnego dewelopera w jednej osobie.

Brzmi znajomo? Grający tę kabotyńską postać Mark Ruffalo nie pozostawia wątpliwości, z czyją karykaturą (albo z jaką hybrydą) mamy do czynienia. W spełnionej przez szalonego wizjonera społeczno-ekonomicznej dystopii liczy się przede wszystkim siła, optymalizacja, wydajność, czyli nie taka znowu pieśń przyszłości. „Wymienialni” dostają minimalne i zsyntetyzowane racje żywnościowe, są poddawani rozmaitym eksperymentom i nieustającej kontroli, a żywot każdego z nich może trwać ledwie piętnaście minut.

Jednocześnie Mickey jest dość groteskowym narratorem tej historii. Jeszcze jednej filmowej opowieści o tym, do czego zmierza nasz świat w morderczej walce o zasoby, tanią siłę roboczą, totalną władzę nad ciałami i umysłami. Oraz o tym, że gdzieś w odległej galaktyce, w wyizolowanej „wolnej amerykance”, na wszelkie wątpliwości prawne, etyczne, religijne związane z drukowaniem ludzi czy eksterminacją tubylców można przymknąć oko. Albo, jak Bong, złośliwie je przymrużyć.

Kpiąc po równo z powagi sytuacji i konwencji s.f., twórca wywrotowego „Parasite” powraca do swoich wcześniejszych futurystycznych metafor, z czasów anglojęzycznego „Snowpiercera: Arki przyszłości” i „Okji”. Pierwszy rozgrywał się w podobnym złodowaciąłym pejzażu postapokaliptycznej Ziemi, gdzie garstka ocalańców w pociągu bezustannie okrążającym naszą planetę tworzyła metaforę globalnych i społecznych podziałów. W drugim z filmów o tytułową świnię, sklonowaną w laboratoriach i oswojoną przez koreańską dziewczynkę, toczy się wielka batalia ekologiczna, wegetariańska, humanitarna i oczywiście antykapitalistyczna.

W swoim lewicującym kinie reżyser nie bierze jeńców, bywa ono beczelnie przerysowane, rozrabiackie, wręcz slapstickowe. Pod grubą warstwą gatunku (komedii, fantastyki, kina przygodowego) można sobie odpuścić dobry smak i subtelności światopoglądowe. Toteż w „Mickey 17” walka między dwiema wersjami tej samej postaci, jak i walka bohatera z systemem, jest w pierwszej kolejności szaloną zabawą, szkoda jednak,



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



PETER HARTWIG / MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

MICKEY 17

– reż. Bong Joon-ho.

Prod. USA/
/Wielka Brytania
2025.
Dystryb.
Warner Bros.
Entertainment.
W kinach.

Bong Joon-ho, południowokoreański reżyser i scenarzysta, zadebiutował w 2000 r. filmem „Szczekające psy nigdy nie gryzą”. Rozgłos przyniosły mu nakręcone w USA „Snowpiercer: Arka przyszłości” (2013) i „Okja” (2017). Bank rozbił zrealizowanym w ojczyźnie „Parasite” (2019), nagrodzonym m.in. Złotą Palmą w Cannes i czterema Oscarami, w tym dla najlepszego tytułu.

Na zdjęciu: Naomi Ackie i Robert Pattinson

że ani specjalnie śmieszną, ani wystarczająco straszną.

Podobno Robert Pattinson (on zawsze, bez względu na rolę, ma w sobie coś androidalnego) odtwarzając kolejnych Mickeyów, nie wiedział, którą wersję za chwilę będzie grał. Owa dezorientacja mogła być dobrym pomysłem na film, wszak mało co budzi taki niepokój jak „dolina niesamowitości”, czyli nieodróżnialność istoty ludzkiej od jej wiernej kopii.

U Bonga oraz w samej kreacji aktorskiej różnica bywa mniej lub bardziej zaznaczona, sprowadzając się do czegoś w rodzaju psychomachii, aczkolwiek filmowo wnosi niewiele. W przeciwieństwie do pozaziemskich Paskud, których gąbczasto-włochata cielesność odrzuca zrazu swą powłoką, by z czasem okazać się nadspodziewanie ludzka i swojska.

Co innego dzisiejsza i przyszła rzeczywistość, która w rękach szaleńca, w żelaznym uścisku technologii i polityki, może przybierać formy tak kuriozalne, a zarazem tak łatwo oszwalne, że domaga się nowego języka. Po Bongu można było spodziewać się co najmniej przewrotności bądź większej realizacyjnej brawury. Nie dostarcza tego w pełni wątek erotyczny (czy kochając się z Mickeyem 18 strażniczka zdradza Mickeya 17?), kulinarny (grana przez Toni Colette żona Marshalla to drwina z wyrafinowanej konsumpcji), podobnie jak wzmiankowany program rasowej czystości czy sama kosmiczna ekspedycja i wpisana w nią eksploatacja. Wszystko już było, a Bong zachowuje się tak, jakby dopiero odkrywał Amerykę – i jeszcze zaklinał wynik wyborów prezydenckich.

Jako bezpretensjonalna rozrywka ten wysokobudżetowy film też nie do końca się sprawdza, nie przyniósł zresztą oczekiwanych zysków. Pozostaje dziełem pomiędzy – polityczną satyrą i pastiszem gatunku, inscenizacyjną zuchwałością (za kamerą wielki Dariusz Khondji) i reżyserską zachowawczością, między koreańskim serialem „Squid Game” i hollywoodzką superprodukcją. Niektórzy upatrują w tym oryginalności „Mickeya 17”. Ja miałam wrażenie recyklingu znanych skądinąd pomysłów, podanych na ekranie w taki sposób, jakby Bong nie tyle nakręcił film po swojemu, ile przyjął zamówienie, żeby nakręcić film dokładnie w stylu Bonga. A stąd już krok do bycia wymienialnym. ©

Lektor: Po końcu świata



■ Przemysław Pawlak
WITKACY. BIOGRAFIA
Wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2025, ss. 560.

TYLKO 54 LATA – CÓŻ TO ZA WIEK! A PRZECIEŻ TYLE WŁAŚNIE lat miał autor „Pożegnania jesieni” w chwili samobójczej śmierci. Półwiecze wypełnione niesamowicie intensywną pracą pisarską i malarską, dyskusjami filozoficznymi i obfitą korespondencją. Przyjaźniami nawiązanymi i zrywami, romansami i doświadczeniami, które starczyłyby na kilka życiorysów. Zakopane, Paryż, podróż do Australii, wojenny Petersburg i służba w lejbgwardii, bitwa nad Stochodem, rewolucja, II Rzeczpospolita, druga wojna... Dynamikę tej biografii Przemysław Pawlak stara się oddać nie tylko nagromadzeniem faktów i świadectw, ale także rytmem narracji.

„»Auga« – tak mówi mały, który teraz nazywa się: »Graf Kakin-Razsiusiajew«. (...) Boski jest i nadzwyczajny” – pisze zachwycony Stanisław Witkiewicz-senior do matki. Między dzieciństwem utalentowanego chłopca a ostatnimi godzinami zrezygnowanego mężczyzny, który pod dębem w poleskich Jeziorach mozolnie nacina sobie żyły, rozciąga się cała epoka. „Czy to rzeczywiście przerażenie pcha Witkacego rankiem, 18 września 1939 roku, na ostatni w życiu spacer? – zastanawia się biograf. – Czy może jednak trzeźwy, choć pozbawiony nadziei osąd sytuacji (...)”? Porucznik Witkiewicz od ponad dwudziestu lat odsuwa od siebie obrazy znad Stochodu: oczu wyklutych bagnetem, trupich pagórków porośłych świeżą trawą. Żyje przecież po końcu świata, który raz już widział, którego w kategoriach filozoficznych doświadcza ciągle, poszukując – bezskutecznie – odpowiedzi na pytanie o sens ludzkiego istnienia”.

Witkacy zdaje się dzisiaj znowu mieć swój czas. Może być nie tyle przewodnikiem, ile towarzyszem w epoce zamętu, który nas znów ogarnia. Pawlak sumiennie zebrał źródła, nakreślił barwnie historyczne tło, a swojego bohatera stara się zrozumieć także w jego najbardziej ekscentrycznych czy wątpliwych poczynaniach. W „Appendiksie” zebrał wypowiedzi świadczące o niezrozumieniu Witkacego przez współczesnych oraz irytacji, jaką w nich budził. Prawem paradoksu, to właśnie ten twórca doczekał się po latach grona oddanych badaczy, tworzących międzypokoleniową wspólnotę wtajemniczonych. W podziękowaniach autor przywołuje ich nazwiska: Anna Mićńska, Konstanty Puzyna, Jan Błoński, Stefan Okołowicz, Piotr Piotrowski, Wojciech Sztaba... Przemysława Pawlaka zaś namaszcza na okładce prof. Janusz Degler, kończąc rekomendację słowami: „Trudno się od tej książki oderwać, trudno o niej zapomnieć”. © P

PAWEŁ

Bravo

Nie rozbijając jajek

MINUS DWIE SETNE, WŁAŚCIWIE PRAWIE ZERO. Z TAKIM współczynnikiem jajko traci wszelką elastyczność. Stop, proszę, nie wstawajcie z hukiem od stołu, traktuję was całkiem poważnie i nie zamierzam wam tu odkrywać prawdy, że gdy ściśniemy tylko odrobinę za mocno, to skorupka pęka, a spodnie idą do prania. Mówię o tak zwanej elastyczności cenowej, która obrazuje, jak zmienia się popyt, kiedy rośnie cena. Im bliżej zera, tym mniej ludzie chcą lub mogą zrezygnować z zakupu, nawet jeśli coś bardzo zdrożało.

W Ameryce – głównie z powodu ptasiej grypy skutkującej hekatombą kurników, ale też z powodu drapieżnej polityki karteli drobiarskich – jajka zdrożały w ciągu roku ponad dwukrotnie (w niektórych miesiącach skok był jeszcze większy). Co było zresztą ważnym tematem kampanii prezydenckiej, jednym z wielu argumentów „z życia bidoka” rzucanym w twarz wyobcowanym elitom. Otóż pomimo tego sprzedaż właściwie nie drgnęła. Jajko okazuje się nie do zastąpienia – tak jak np. sól i cukier oraz używki dla osób uzależnionych – a nie kosztuje znów aż tak wiele, żeby znacznie wyższa cena powodowała poważną wyrwę w budżecie.

Wskutek drożyzny nagle się okazało, że jajka są potrzebne nie tylko w domu i potrafią rozwalić biznesplan niejednej firmy spożywczej. Wiele sławnych polonijnych przybytków w Chicago i Detroit musiało w ostatnie ostatki zredukować ofertę *Polish paczki*. Może to i lepiej, szkoda wspominać, co te Amerykańce robią naszemu pączusiowi. Truflą go nadzieją i posypują płatkowym złotem, biedaczka.

Ptasia grypa jest też w Polsce, jajka drożeją, ale nie tak dramatycznie. Dlatego zapewne nie odczujecie tego przed świętami, bo wielkie sieci ten dodatkowy koszt wezmą na siebie, byle zwabić ludzi promocją na zakupy całej świątecznej reszty, żeby potem było co marnować. Jako klienci jesteśmy, niestety, prości jak lodówki, otwieramy się na kilka dobrze przetestowanych zakłęk. Z marketingiem politycznym jest trudniej, jako wyborcy jesteśmy mniej przewidywalni i nie wiadomo dlaczego tylko czasami działają na nas bardzo głębokie,



PUNYAWEEZ / ADOBE STOCK

podprogowe skojarzenia, na przykład te wywołane przez stół i posiłek.

Bywa i tak, że obrazki z politykiem wcinającym kiełbasę jak Karol Nawrocki albo zapiekankę jak Rafał Trzaskowski (w dodatku udającym, że robi to po kryjomu przed żoną) budzą tylko zażenowanie. Zapiekanka musiała być tematem jakiegoś niedawnego seminarium szkoleniowego dla branży politologicznej, bo kampanijne ciamaжды posłały także kandydatkę lewicy (tej rządowej) po przypaloną bułę, tym razem do budki Endziora w samym centrum turystycznej Gwiazdy Śmierci na Kazimierzu, miejsca, które – świetnie to pamiętam – było bardzo *cool*, ale za zamierzchłych czasów, gdy szef owej partii trzymał władzę.

Bywa i tak, że jakiś obrazek jedzącego polityka, *nomen omen*, „zażre”, ale nawet profesor Jarosław Flis nie będzie w stanie od razu powiedzieć, czy to się obróci na korzyść. W chwili, kiedy piszę te słowa, licznik rozmowy ze Sławomirem Mentzenem w Kanale Zero przebija dwa miliony – swoją drogą, musi panować w Polsce niezdiagnozowana epidemia nudy, skoro tyle ludzi mogło swobodnie zmarnować dwie godziny z życia na ten potok banałów przetykany akcentami jaskiniowymi. A może, tak jak ja, wszyscy klikali tylko, żeby obejrzeć te parę minut, kiedy Mentzenowi kazano usmażyć jajecznicę? W zamysłu miała to być lekka, ale bezpieczna prowokacja, bo potrawa łatwa, właściwie nie do zepsucia, a przy tym pięknie ociepla, jest rodzinna, domowa, opiekuńcza. Tatusz smaży dla córeczki.

Mentzen deklarował kiedyś, że smaży nawet pancake w kształcie Sponge Boba, ale w studiu ledwie sobie jednak poradził z podstawową jajecznicą. Na początek nie umiał



GRACZYNA MAKARA



Jajecznica dla dorosłych

Pisanie na serio, jak zrobić „idealną” jajecznicę, przypomina udzielanie rad, jak należy właściwie brać prysznic. Każdy i każda potrafi po swojemu. Jajecznicę często robi się w porannym pośpiechu, więc i czasu brak na subtelności. Ale może kiedyś przy niedzieli zechcecie wycisnąć maksimum z procesów koagulacji owo-transferyny między 60. a 72. stopniem Celsjusza, kiedy owo białko się „ściska”, zatrzymując w swojej strukturze parę wodną. Po podgrzaniu o kilka stopni więcej para zacznie nam uciekać. Tak się dzieje np., kiedy po wyłączeniu ognia przenosicie jajecznicę na gorącej patelni na stół.

OKSANA BRATANOVA / ADOBE STOCK



włączyć płyty indukcyjnej. Czy ja przegapiłem jakąś zmianę kulturową? Oto młody, sprawny mężczyzna odwołujący się do równie młodego, dziarskiego elektoratu nie umie wcisnąć symbolu kółeczka z pionową kreską. Kiedyś macyzm kojarzył się jednak z siłą w równym stopniu, co z pewną zaradnością techniczną. Widocznie wraz z rozwojem coraz bardziej samodzielnych sprzętów do wszystkiego nastąpił uwiad także i w tym obszarze.

Mentzen z gracją cyborga, uważając, żeby nie poparzyć mankietów, rozbełtał dwa jajka i przelał na patelnię, gdzie uprzednio przesmażył pobieżnie cebulę i szynkę. Były już pokrojone, i słusznie, niektórym politykom lepiej nie dawać noża do ręki. Pomieszał raz i drugi szpatułką, i gotowe. Był to wielki pokaz niechęci do gotowania, ale może taki ma właśnie być atrakcyjny polski samiec, niezbadane są ścieżki psychologii społecznej.

Z rozmowy wynikało, że jajecznica wyszła sucha. Takie było życzenie prowadzącego program, równie dużego jak Mentzen chłopca. Nie dziwi mnie to. Jako malec też nienawidziłem półpłynnej konsystencji, prawie lejącego się żółtka. Potem jako ojciec słyszałem przy śniadaniu wołanie latorośli, że „ma nie być gluta”, więc smażyłem im na wiór. Trzeba być bardzo dużym, by docenić jedyną w swoim rodzaju kremowość, jaką daje dobrze obrobione jajko. Ale to nie jest wcale już takie proste, utrafić w punkt równowagi między glutem a wio-rem. Jak to zwykle ze środkami, dlatego są najcenniejsze, że złota.



Zapisz się na newsletter
– co piątek przepisy
na Tygodnikowy lunch,
obiad i deser w Twojej
skrzynce: powszech.
net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest
barmanem, tłumaczem
i redaktorem.
Współautor
„Kuchni Dantego”,
autor „Czekolady
i kapuśniaku” (Nagroda
Literacka im. Leopolda
Staffa 2023).

SKŁADNIKI: 2 jajka 1 łyżka masła
2 łyżki śmietanki 1 łyżka skrobi ziemniaczanej
(ale nie mówcie nikomu) ■ sól ■ pieprz
■ szczypiorek ■ estragon...

Po pierwsze: starannie rozbijamy jajka w miseczce i od razu solimy, po czym zostawiamy je na 15 minut. To zwiększa elastyczność przy późniejszym smażeniu. Po drugie, smażyjemy na jak najwolniejszym ogniu, na ledwo stopionym maśle, żeby koagulacja trwała jak najdłużej i można było wyłapać właściwy moment. Lepiej zgasić ogień ciut za wcześnie niż ciut za późno. I wtedy, radzi nieśmiertelny Auguste Escoffier, natychmiast dodajemy zimną śmietankę i lekko mieszamy. To skutecznie zahamuje dalsze ogrzewanie jajecznicy (oraz doda aksamitnej konsystencji). Zamiast śmietanki mogą być wiórki zimnego masła, ale to mniej wygodne. A teraz pomysł wzięty z kuchni chińskiej: do rozbełtanych jajek dodajemy skrobię ziemniaczaną rozrobioną w 1 łyżce letniej wody. Z takim „nielegalnym” dodatkiem jajecznica nigdy nie wyjdzie za sucha. ©

WIDOK Z GÓRY

Właśnie ukazała się siódma odsłona „Cywilizacji”.

Czy dzięki grze wideo można przeniknąć współczesną geopolityczną wojnę?

Zrozumieć Donalda Trumpa?

Albo wyobrazić sobie świat, w którym

Włosi ścigają się w kosmosie z Inkami?

Spróbujcie w to zagrać.

MICHAŁ WALKIEWICZ

JEŚLI MYŚLICIE, ŻE TO DONALD TRUMP ZAMIEŃIŁ POLITYKĘ w wolną amerykanekę, poczekajcie, aż opowiem wam o Konfucjuszu. Facet urodził się kilka wieków przed naszą erą. Żył dwa i pół tysiąca lat. Był Chińczykiem, ale władał Cesarstwem Rzymskim. Królową Hatszepsut nauczył kaligrafii, Machiavellemu podarował manuskrypt „Księcia”, a potem poszedł z Napoleonem na Moskwę. Wysyłając człowieka na Księżyc, zagrał na nosie Aztekom. Odpalając głowice nuklearne na Hiszpanów, miał powiedzieć: „Zamiast przeklinać ciemność, zapal małą świeczkę”.

Na wypadek, gdybym coś pomieszał, nie cytujcie mnie na maturze. Korzystam jednak ze sprawdzonych źródeł, czyli z gry strategicznej „Sid Meier’s Civilization”. Wydana właśnie siódma odsłona popularnego cyklu stała się przedmiotem kontrowersji (też ubolewam, że zabrakło w niej Gandhiego, który zbrodnie przeciw ludzkości popełniał z wilczym uśmiechem na twarzy). Mimo tego pozostaje punktem wyjścia do zasadniczej dyskusji. Czy dobrze być Bogiem?



MATERIAŁY PRASOWE FIRAXIS GAMES

Kim jesteś naprawdę?

Wszystko zaczęło się od „Santa Paravia en Fiumaccio”. Fone-tyczny powab sugeruje jakiś zaginiony utwór Petrarcki, albo dekret Piusa II, ale to tylko gra wideo z 1978 r. Rozpoczyna ją plansza z tekstem: „Jesteś zarządcą XV-wiecznego włoskiego państwa-miasta. Jeśli będziesz władał nim sprawiedliwie, dostąpisz zaszczytu politycznego awansu. Wygrywają pierwszy Król lub pierwsza Królowa. Pamiętaj jednak, że w czasach renesansu ludzie żyli krócej i możesz nie dożyć swojej koronacji...”. To ważna przestroga – większość graczy kończyła zabawę przedwcześnie, w głodzie, ubóstwie i ogniu rebelii.

Tradycja gier pozwalających na uzurpację boskich mocy jest niemal tak samo długa, jak historia cyfrowego medium. W latach 80. doprowadziły one do wysycenia rynku w równym stopniu co siermiężne adaptacje filmowych hitów z epoki. Za przełom uważa się jednak „Populousa” z 1989 r. autorstwa brytyjskiego programisty i projektanta gier Petera Molyneux ze studia Bullfrog. Kariera Molyneux, namaszczonego na jedną z pierw-



Plansza z gry „Sid Meier's Civilization VII”

szych medialnych gwiazd elektronicznej rozrywki, rymowała się z naturą zabawy w Boga. Opowieść o nieposkromionym żywiole kreacji wyszła w końcu spod ręki wizjonera gier wideo.

Jako bezcielesne, bezimienne i bezwstydne bóstwo, gracz trzymał pieczę nad cywilizacją praludzi. Swoich poddanych traktował jak tanią siłę roboczą, na świat sprowadzał klęski żywiołowe, zaś z konkurencyjnymi bóstwami tłukł się o wyznawców. W tym niewrażliwym dla rozwoju gier momencie „Populous” był niezwykle ciekawym przypadkiem. Naraz stało się jasne, że jedną z fundamentalnych metanarracji w grach będzie pytanie o relację mocy i odpowiedzialności (czy raczej: mocy i bezkarności). Kolejna gra Molyneux, „Black & White” (2001), prowokowała do refleksji już w podtytule: „Odkryj, kim naprawdę jesteś”. Tak, to jest ta sama sentencja, która towarzyszyła wyroczni w Delfach.

W kolejnych latach i dekadach „symulatory Boga” były stałym elementem w ewoluującym krajobrazie gier wideo; choć nie na tyle istotnym, by decydować o kierunku rozwoju branży.

W „Spore” (2008) powtarzaliśmy boski akt stworzenia w całej rozciągłości – od jednokomórkowych organizmów, aż po całe galaktyki. W „WorldBox” (2012) świat przypominał dzieło boskiej instytucji planowania i rozwoju; nawet narzędzia kreacji podzielono na kategorie: Dzieło Stworzenia, Cywilizacje, Istoty, Natura i Klęski, Moce Destrukcji, Inne. Wreszcie, w popularnych „Sim-sach”, kierowani empatią bądź sadyzmem, a najczęściej jednym i drugim, organizowaliśmy życie przedstawicielom pośledniego gatunku *homo sapiens*. Nie jest bez grzechu ten, kto nigdy nie zostawił ludka w basenie i nie zwinął drabinki.

Wiedz, że coś się dzieje

Choć Watykan określa się wobec gier wideo nieco mniej gorliwie niż wobec sztucznej inteligencji, co jakiś czas jacyś księża próbują nam zepsuć zabawę. Jakaś diecezja wyda broszurę informacyjną, lokalna kuria odkurzy indeks dzieł zakazanych, a portal tematyczny ponarzeka na gry jako na symbol laickich czasów. Starcie Kościoła z branżą gier wideo nigdy nie było tak dramatyczne, jak

→ wojna graczy z rządem federalnym Stanów Zjednoczonych albo zatroskanymi o „dobro naszych dzieci” mediami, ale i tak stworzyło własne legendy.

Na rozmaitych listach gier antykatolickich znajdziemy nieśmiertelne evergreeny w rodzaju „Mortal Kombat”, „Dooma”, czy „Call of Duty”. Są tam również tytuły wykorzystujące satanistyczną ikonografię, opowieści o światach zasilanych magią, albo adaptacje tego wstrętnego gnostyka, Howarda P. Lovecrafta. Nie mówiąc już o perełkach w rodzaju „Bible Fight”, czyli bijatyki, w której, sterując Marią Magdaleną, możemy pogruchotać kości Jezusowi, Noemu albo Mojżeszowi.

„Symulatory Boga” zajmują wśród tych produkcji szczególnie miejsce. Nie bez powodu pojawiają się obok gier o zarządzaniu parkiem rozrywki, bankiem, albo jakimś wielkim kapitałem. W równym stopniu opowiadają bowiem o nadużyciach władzy. Ile kliknąć myszką potrzeba, by zamienić aksjomat o nieomyślności i wszechdobroci Boga w fałsz?

Za sprawą interaktywnego charakteru zabawy pytanie o moralność gracza staje się kluczowe. Działamy bowiem nie tylko w zgodzie z boskim planem stworzenia, ale i zniszczenia. Swoboda naszych działań oraz ich konsekwencje wpisane są oczywiście w konkretne założenia oraz ramy rozgrywki. Lecz przyjmując wyzwanie i wcielając się w wirtualne bóstwo, rzadko kiedy tworzymy utopię, w której wszyscy trzymają się za ręce. Boga kreujemy w końcu na własne podobieństwo. W najlepszym wypadku jest to starotestamentowy ojciec, z którym nie ma dyskusji. W najgorszym – krnąbrny dzieciak, który buduje dom z klocków tylko po to, by podłożyć pod niego petardę.

Współczesne gry przyzwyczyły nas do binarnych systemów moralnych. Stając przed rozmaitymi dylematami, możemy zazwyczaj opowiedzieć się po stronie światła bądź mroku. Czasem bywa i tak, że wkraczamy w rozmaite strefy szarości. Scenarzyści stawiają nas wówczas w sytuacjach, w których wybór „mniejszego zła” staje się przedmiotem ciekawego moralnego kompromisu. Większość „symulatorów Boga” pochodzi jednak z czasów, w których nikt nie prowadził nas za rękę przez świat pełen takich dylematów. Świadectwa wszechmocy lub/i wszechdobroci podsuwała nam wyłącznie wyobraźnia. Jeśli więc zamieniliśmy historię fikcyjnego ludu w kronikę totalitarnego terroru, musieliśmy ocenić nasze działania na drodze autorefleksji.

Co by było, gdyby

Alternatywne ścieżki dziejów to w grach wideo częste fabularne rozdanie. Jeśli nigdy nimi nie podążyliście, to spieszę donieść, że wasza wiedza historyczna kuleje. Dla przykładu – skąd mielibyście wiedzieć, że tuż po wojnie Albert Einstein, za pomocą zmontowanego w garażu wehikułu czasu, przeniósł się do roku 1924? I że poraził prądem opuszczającego mury więzienia Landsberg Hitlera, dusząc tym samym nazizm w zarodku? Z gry „Command & Conquer: Red Alert” dowiadujemy się, że nagle geopolityczne przetasowanie wykorzystala Rosja. W prologu widzimy, jak czerwona fala rozlewa się na całą Europę.

Kiedy następnym razem
będziecie się wahać, czy wcisnąć
czerwony guzik,
**pomyślcie, co na waszym
miejscu zrobiłby Gandhi.**

Kilka wieków wcześniej Leonardo da Vinci zaprojektował maszynę latającą, dzięki której tajemne Bractwo Asasynów mogło ukatrupić Cezara Borgię („Assassin’s Creed: Brotherhood”). Wiele stuleci później katastrofa w Czarnobylu doprowadziła do powstania niebezpiecznych anomalii czasoprzestrzennych, a miasto Prypeć zamieniła w strefę zmilitaryzowaną

(„S.T.A.L.K.E.R”). Niesłabnące popkulturowe notowania naziistów pchnęły ich w grze „The Wolfenstein II. The New Colossus” do ataku na Stany Zjednoczone. Niedługo później w McDonalдах pojawiły się Wurstburgery, a wytwórnia fonograficzna Neumond Records wydała cover największego hitu Beach Boysów – „Weltraumsurfen”.

Wszystko to fantazje z gier akcji, przygodówek czy strategii czasu rzeczywistego – zazwyczaj rozegrane na styku powagi oraz pastiszowego luzu. Seria „Sid Meier’s Civilization” nie jest w tym względzie wyjątkiem. Wyjątkowa jest natomiast skala naszych działań. Jako przywódca pradawnego ludu, prowadzimy go od epoki starożytnej aż do współczesności (a czasem i w daleką przyszłość). Decydujemy o tempie jego rozwoju, o strategii ekspansji, dbamy o dobrostan poddanych, wybieramy ustrój i respektujemy jego zasady. Kto grał, ten wie, a grali chyba wszyscy. Podobnie jak „Mario”, „Tomb Raider” czy „Diablo”, popularna „Cywilizacja” jest jednym z wielkich międzypokoleniowych doświadczeń.

Niby „Civilization” nie jest „symulatorem Boga”, ponieważ żadnego z ekonomicznych, gospodarczych, politycznych czy społecznych problemów nie rozwiązujemy tu na drodze boskiej interwencji. Klóciłbym się jednak o gatunkową proveniencję tytułu, ponieważ nawet w butach historycznych postaci pozostajemy czymś w rodzaju bezcielesnej siły, która nadaje rytm dziejom. W sercu rozgrywki tkwi interesujący paradoks. Choć gra przedstawia nam zróżnicowane kryteria „zwycięstwa”, niemal wszystkie wpisane są w szerszą, kolonialną narrację. Aby wygrać, trzeba w ten czy w inny sposób wziąć pod but mniejsze cywilizacje.

Zwycięstwa związane są z gromadzeniem dorobku kulturowego, ze zwrotem w stronę sztuki, edukacji, nauk ścisłych; ich symbolami są odkrywane w starożytności Cuda Świata lub konstruowane we współczesności satelity. Ale „tryumf ekonomiczny” ma związek z gospodarką, handlem oraz gromadzoną przez tysiąclecia bogactwem. A „sukces militarny” mówi sam za siebie: liczą się potencjał naszego arsenału, granice naszego terytorium oraz ustroje zmieniające wojnę w lukratywny biznes.

Sęk w tym, że bez względu na obraną ścieżkę, już w pierwszej fazie zabawy gra zmusza nas do rządów silnej ręki. Do ekspansji, anektowania, radzenia sobie z barbarzyńskim plemionami na drodze wojny. Ścieżka naukowa wymaga ostrożniejszego planowania, dyplomacja jest zajęciem niewdzięcznym, hegemonowi może zaś wydawać się zupełnie nieprzydatna. To ciekawy moralny punkt wyjścia. Odtwarzanie rzeczywistych demokratycznych procesów oraz mierzenie się z ich konsekwencjami jest w końcu znacznie trudniejsze, niż nakładanie zabójczych ceł, szpiegostwo przemysłowe oraz nuklearne „ataki prewencyjne”.

„BOSKIE” SYMULATORY

MATERIAŁY PRASOWE X4



■ **BLACK & WHITE**
(2001)
Twórcy: Lionhead
Studios / Peter
Molyneux

Biel i czerń, altruizm i egoizm, dobro i zło. W kultowej produkcji twórców pionierskiego „Populousa” niemy bożek ma swojego zwierzchnika – to jest nas. I tylko od nas zależy, jak ukształtujemy jego naturę, jakie wyznaczymy mu priorytety i kim ostatecznie okaże się dla swoich wyznawców – Zbawcą czy Zgubą.



■ **SPORE**
(2008)
Twórcy: Maxis

Od mikroskopijnego zbioru komórek, przez inteligentną i samoswiadomą istotę jako fundament społeczeństwa, po kosmiczny byt szukający obcych cywilizacji. W świetnym „Spore” odpowiadamy za rozwój życia w dostownym sensie.

Ale to przede wszystkim opowieść o jednostce i wspólnotce.



■ **THE SIMS 4**
(2014)
Twórcy: Maxis

Z klasyką nie ma dyskusji. Popularne „simsy” mogą żyć własnym życiem albo naszym. Mogą spełniać swoje ambicje albo cudze. Można być wobec nich Stwórcą empatycznym lub sadystycznym. Ale pamiętajcie – mówią o nas więcej, niż chcielibyśmy przyznać.



■ **SID MEIER'S CIVILIZATION VII**
(2025)
Twórcy: Firaxis
Games

Jeszcze turowa gra strategiczna, czy już „symulator Boga”? Entuzjaści serii trwają w wiecznym sporze, ale kogo to tak naprawdę obchodzi? Najważniejsze, że tym razem możemy wcielić się w Harriet Tubman i poprowadzić Egipcjan do walki z rosyjską królową Himiko. Co wam się nie zgadza?

Wygrać w historię

Na wypadek, gdyby zrobiło się zbyt poważnie, gry z szacownego cyklu przypominają o swoim rozrywkowym rodowodzie kolorową grafiką oraz utylitarnym założeniem, że w historię w ogóle „da się wygrać” (w czym pomaga uproszczona wersja heglowskiej logiki historycznej). Pozwala to spojrzeć łaskawszym okiem zarówno na samą konwencję „zabawy w Boga”, jak i na kontrowersyjny wybór jego namiestników. Czy Krystyna Wazówna, która skróciła o głowę dyplomacie Monaldeschiemu, doprowadziła kraj na skraj ekonomicznej zapaści i porzuciła tron, na pewno powinna reprezentować interesy Szwedów?

Obserwując rozrastające się niczym grzybnia alternatywne wersje historii, siłą rzeczy zastanawiamy się, gdzie leży faktyczna granica takiej symulacji. I czy można za jej pomocą zrozumieć skomplikowane historiozoficzne mechanizmy? Wyobrazić sobie świat, w którym Rosja jest rozkwitającą demokracją? Rzeczywistość, w której Włosi ścigają się w kosmosie z Inkami, a rozbrojenie nuklearne jest realną kolektywną inicjatywą największych państw? Czy można dzięki grze wideo przeniknąć współczesną geopolityczną grę? Zrozumieć Donalda Trumpa albo konflikt w Strefie Gazy?

Profesor Rafał Szczerbakiewicz z Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie nie wierzy w taką możliwość. W swoim świetnym opracowaniu „Cywilizacja» vs cywilizacja. Kłopoty gier strategicznych z historią” pisze: „Proces dziejowy symulowany w grze w dużej mierze opiera się na historii jedyne go znanego cywilizowanego świata. Dzieje ludzkości są naturalnym wzorem dla konstruowanego przez gracza wirtualnego modelu historii. Wydaje się jednak, że narzucony przez autorów gry sztywny gorset symulowanego przebiegu historii nie jest prostym odwzorowaniem neutralnej wiedzy o mechanizmach dziejowych rządzących ludzkim światem. Symulacją kieruje nie tyle obiektywna wiedza o mechanizmach, które determinują rozwój ludzkich społeczności, ile wyraźnie narzucany graczowi światopogląd, a nawet ideologia”.

Co to oznacza dla nas, użytkowników?

„Wytrawny gracz szybko odkrywa, że gra stwarzając pozory wielotorowości, możliwości tworzenia światów alternatywnych, tak naprawdę oferuje tylko jeden model rozwoju, który powtarzany jest w każdej rozgrywce. Różnice pomiędzy kolejnymi symulacjami mają charakter drugorzędny, nie dotyczą zasadniczego problemu – za każdym razem tej samej koncepcji mechanizmów rządzących historią”.

Czyni to zarówno „symulatory Boga”, jak gry strategiczne produkcjami o mniejszym potencjalnie edukacyjnym. Stają się jednak wówczas nieco pojemniejsze artystycznie. Możemy dzięki nim ukierunkować jakoś frustrację związaną z kształtem świata; udowodnić złożonemu z pikseli ludkom, że „boskim planem” można usprawiedliwić najokropniejsze zbrodnie.

I nawet jeśli gry wideo oferują nam jedynie iluzję kontroli, choć przez chwilę mamy sposobność, by w cywilizacyjnym chaosie dostrzec jakiś porządek. A gdy następnym razem będziecie się wahać, czy przekreślić klucz i wcisnąć czerwony guzik, pomyślcie, co na waszym miejscu zrobiłby Gandhi.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

TOMASZ

Stawiszyński:

Bez odpowiedzi



STWORZONY PRZES JACKA THORNE'A i Stephena Grahama serial „Dojrzewanie” nie dostarcza jasnej odpowiedzi na pytanie o źródła dziecięcej – i nie tylko dziecięcej – przemocy. Dzieje się to z niewątpliwą korzyścią zarówno dla jego artystycznej, jak i poznawczej

wagi. Gdyby bowiem zastygł w teoretycznej konstelacji, w której za całe zło obwinia się, dajmy na to, „toksyyczną męskość”, „patriarchat”, „smartfony”, „kapitalizm”, „lewactwo” albo dowolny inny rekwizyt, pozostałby wyłącznie efektywnym produktem rozpowszechnionego dziś ideologicznego stylu myślenia. Opartego na układzie dogmatycznych założeń, z których wyprowadza się obraz świata i narzuca go na realia społeczne, polityczne, psychologiczne czy biologiczne, nie bacząc wcale, czy pasuje. A potem gorączkowo tłumi wszelkie pojawiające się nieuchronnie oznaki niedopasowania.

Szczęśliwie, „Dojrzewanie” zżecznie omija tę pułapkę, czego z kolei nie można powiedzieć o wielu recenzjach pączkujących w sieci. Owszem, w tej brawurowo nakręconej opowieści wyraźnie pojawia się ów najczęściej przywoływany kontekst. „Incele”, „manosfera”, słowem: wirtualny świat wykołajonych influencerów w stylu niejakiego Andrew Tate'a, wspomnianego tam zresztą *explicitie*. Czy jednak trzynastoletni Jamie zabija po prostu dlatego, że znalazł się pod ich wpływem? Czy też raczej jest to jeden z wielu elementów tej tragedii, składników środowiska, w którym przepaść pokoleniowa staje się nieprzekraczalna, kompletnemu rozkładowi ulegają wszelkie pozytywne wzorce i role, a na ich miejscu pojawiają się rozmaite antyideały?

Do tego jeszcze brak tu obiegowych „parametrów” zbrodni, jakich mnóstwo w podobnych produkcjach. Jamie nie pochodzi z patologicznej rodziny, jego ojciec nie jest przemocowy, przeciwnie: troskliwy i zaangażowany, zdeterminowany, żeby oszczędzić synowi tego, czego sam zaznał w dzieciństwie. Matka to z kolei osoba rozumiejąca i nad wyraz dojrzała. Cóрка, wychowywana w tym samym domu przez tych samych rodziców, w żadnym aspekcie nie przypomina swojego brata. Między innymi dlatego widzowie nie mogą powiedzieć sobie: „to nie my, to jacyś inni, oni”. Przeciwnie – podkreślają Thorne i Graham – to właśnie jesteśmy my, takie rzeczy zdarzają się w „normalnych domach”, nie ma na to algorytmu, nikt z nas nie jest bezpieczny.

Sceny, w których rodzice Jamiego zastanawiają się, co zrobili źle, i nie znajdują na to pytanie klarownej odpowiedzi, nie dlatego, że cokolwiek wypierają, lecz że jej naprawdę nie ma, zdają

mi się głębokim i uczciwym opisem tych aspektów życia czy ludzkiej natury, których nie sposób ośwoić żadnym zero-jedynkowym kodem (choć bardzo by się niekiedy chciało).

Ale „Dojrzewanie” to także akt oskarżenia wobec masowych procesów kształtujących współczesną kulturę. Znowu jednak – nieosuwający się w utarte polityczne koleiny. „Toksyyczna męskość” nie zostaje tu stuprocentowo utożsamiona z tradycyjnymi męskimi rolami. W co najmniej równym stopniu jest produktem rozpadu tych ról, przepuszczonym następnie przez młyny rozbuchanego narcyzmu, kultu siły, przemocy i bogactwa (nakręcanego dodatkowo przez media społecznościowe), ale też poppsychologiczno-tożsamościowych mitologii.

Jak celnie zwróciła uwagę Mary Herrington (na łamach portalu Unherd), „toksyyczna męskość”, wbrew niektórym definicjom, charakteryzuje się nie tyle „represją emocji”, ile raczej na odwrót – ich nieskrępowaną ekspresją. Kultura, która kształtuje w mężczyznach zdolność do samokontroli impulsów oraz emocji – czego bez wątpienia brakuje Jamieu – a jednocześnie podsuwa im sensowne, konstruktywne wzorce wykorzystania siły i agresji w słusznej sprawie, może znacznie skuteczniej zapobiegać tego typu tragediom niż kultura, w której wyrażanie emocji zawsze jest dobre, ich tłumienie zawsze złe.

Podobnie rzecz się ma w „Dojrzewaniu” z internetem i „manosferą”. Owszem, Jamie bez wątpienia nasiąka propagowanymi tam miazmatami, ale to nie tłumaczy jego czynu. W anarchicznym, nabuzowanym, skrajnie hermetycznym – także z powodu technologii i wytwarzanego przez nią kodu komunikacji niezrozumiałego dla starszych – środowisku szkolnym funkcjonuje mnóstwo innych młodych chłopców dorastających w analogicznych warunkach. Często – trudniejszych niż Jamie. Z realnie toksycznymi ojcami czy matkami, ze znacznie mniejszym kapitałem kulturowym i społecznym. Wystawionych na te same pokusy i wpływy. Ale to właśnie on staje się mordercą. Dlaczego? Podobnie jak dobra literatura, tak i „Dojrzewanie” odmalowuje mozaikę przyczyn, mozaikę zjawisk składających się na rzeczywistość, w której formują się jednostki takie jak Jamie.

Jeśli zatem ku czemuś zdecydowanie ten serial skłania, to ku głębszej, wolnej od ideologicznych tabu dyskusji na temat ról społecznych, męskości i kobiecości, internetu i mediów społecznościowych, funkcji i znaczenia wzorców. A także na temat dobra, odpowiedzialności, współczucia, honoru, odwagi czy bohaterstwa. To wszystko bowiem są jakości i wartości, które w wersji karykaturalnej mogą prowadzić ku najciemniejszemu otchłanowi zła, w wersji konstruktywnej mogą natomiast przed osunięciem się w te otchłany skutecznie chronić. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od beznadziei”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



WYCIEZKI OBJAZDOWE

Chiny

Będzie co wspominać

 Poleć bezpośrednio z Warszawy

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz. Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

„Tygodnik Powszechny” – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®

– płacisz tylko za tygodnik, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**

To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży.

Przy zakupie na **6 miesięcy**:

366 zł zamiast ~~390 zł~~
(z **blisk** rabat **6%**)

Przy zakupie na **12 miesięcy**:

686 zł zamiast ~~780 zł~~
(z **blisk** rabat **12%**)

OFERTA SPECJALNA

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat®
otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – oszczędzasz 357 zł
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczuć” z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów od autorów i autorek Tygodnika



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**,
otrzymasz wyjątkową książkę ks. Adama Bonieckiego
„Vademecum” z autografem autora.



dowiedz się więcej!